

BUKA nr 16





10,5 4Work

Mocna lina o niskim wydłużeniu i z dużą wytrzymałością na zrywanie. Lina -10,5 - 4 WORK jest przeznaczona do prac wysokościowych w systemach dostępu linowego i do zabezpieczenia pracowników przed upadkiem z wysokości.

10,5 4Work



średnica (mm)	10,5
waga (g/m)	69
min. ilość odpadnięć	20
masa zewnętrznego opłotu (%)	36
posuw opłotu (%)	-3
wydłużenie 50-150 kg (%)	2
skurczenie (%)	1,9
wytrzymałość na rozciąganie (kN)	30
min. wytrzymałość na rozciąganie na węzłach (kN)	min. 15
użyty materiał	PA
typ	A

Fatra Hurtownia, Ul. Podgórze 1,
Sandomierz 27-600, ☎+481 583 246 26,
E-mail: info@hurtowniafatra.pl

LANEX Polska Sp. Z o.o., Ul. Rapackiego 22,
Dąbrowa Górnicza 42-520, ☎+483 226 478 81-3,
E-mail: lanex@lanexpolska.pl

Do lin są dodawane elektroniczne mikroczipy, działające w systemie TeNOTE (Tendon electronicnote system)-do każdego 200 metrów są dołożone 4 czipy, które sprzedawca, lub użytkownik powinien wprowadzić pod opłot w końcówce liny.

System ułatwia właścicielowi liny nadzór nad ich wykorzystaniem i nad terminowym wykonywaniem okresowych badań technicznych.

Kolor liny jest biały.Kombinacja czerwonych i zielonych splotek kontrolnych ułatwia wzrokową kontrolę stanu technicznego opłotu.

LANEX a.s. Hlučínská 1/96, 747 23 Bolatice, Czech Republic
Phone: +420 553 751 111, Fax: +420 553 654 130, E-mail: info@mytendon.com, www.mytendon.com

**TENDON**
feel it

Wstępniak – Jakub Radziejowski	2
Od Prezesa – Marek Kaliciński	3

WSZYSTKO IDZIE ŹLE

Praktyczny poradnik pod wielce zachęcającym tytułem: „Jak zepsuć sobie wyjazd wspinaczkowy”	
– Andrzej Mecherzyński-Wiktor	4
Rzut monetą – Marcin Tomaszewski	7
Misterny plan – Bogusław Kowalski	8
Słoneczna Podlenica	
– Marcin Wernik	11
Wszystko idzie źle	
– Adam Pustelnik	12

TATRY

Podsumowanie tatrzańskie AD 2013/2014 – Maciej Kowalczyk	14
Tatrzańska impresja	
– Agata Sosnowska	22
Róbcie zdjęcia – Jacek Patrzykont	23

SPORT

Podsumowanie sportowe UKA 2013 – Bartosz Jarosiewicz	24
AGAMA – podsumowanie AD 2013	
– Małgorzata Kusztelek	34
Zabawy drągiem, czyli efektywna suplementacja treningu panelowego	
– Przemysław Dankiewicz, Łukasz Korzeniewski	36

ŚWIAT

UKA w górach Świata	
– Maciej Kowalczyk	44
Śniegi i lody Alaski. Przygoda na Mt. Huntington	
– Michał Kasprzowicz	50
Cassin. Letnia przygoda	
– Marek Kaliciński	58
Snake Dike od kuchni	
– Agata Sosnowska	62

RÓŻNOŚCI

Różności – Jakub Tkaczuk	66
„Jakoś to powstawało”. Historia warszawskich ścianek	
– Jagoda Schmidt, Arek Koszek, Łukasz Korzeniewski	70
Przygody z triathlonem	
– Mikołaj Albrycht	74
Nowy w Klubie. Co dalej? Kilka uwag nowego klubowicza	
– Mateusz Kluźniak	77

50 LAT UKA

Wspominki byłych prezesów	
– Tadeusz Słupski, Wiesław Krajewski, Karol Sulej, Jacek Czabański, Jakub Radziejowski	78
Zawody na 50 lecie UKA	
– Wojtek Ryczer	90
Rzecz o zawodach	
– Zbyszek Warakomski	92

NA KONIEC

Uwagi o świecie otaczającym	
– Jarek Mazur	96

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego „BUKA” nr 16, kwiecień 2014; ISSN 1730-0754
Nakład 1000 egz.

Redakcja: **Mariusz Gładysz** (projekt graficzny), **Krzysztof Kowalczyk** (skład), **Jakub Radziejowski** (naczelnictwo), **Agnieszka Tyszkiewicz**, **Katarzyna Szcześniak** (sekretariat redakcji), **Aneta Brzozowska**, **Agata Sosnowska**, **Mikołaj Albrycht**, **Ryszard J. Burek**, **Jakub Karp**, **Paweł Orłowski**, **Andrzej Szewczyk** (korekta), **Marcin Wernik**, **Jacek Patrzykont**, **Agnieszka Karpińska** (koordynatorzy cykliów).
Okładka: Wspinaczka na Alasce. Pierwsze polskie wejście na Mount Huntington, fot. **Michał Kasprzowicz**

Stanowiska wyrażone w artykułach oddają poglądy ich autorów, a niekoniecznie poglądy Redakcji lub Zarządu UKA.

Wspinanie jest sportem niebezpiecznym, którego uprawianie wymaga specjalistycznego przeszkolenia i przestrzegania zasad bezpieczeństwa.

Redakcja ani UKA nie ponoszą odpowiedzialności za ewentualne wypadki wynikłe przy okazji uprawiania aktywności opisanych na łamach BUKI.

Wspinasz się na własne ryzyko.

Czasy się zmieniają, my się zmieniamy: truizm jak mało co.

A jednak truizmy też czasem muszą być wypowiedziane.

Lata, kiedy można mnie było zakwalifikować do tak zwanych „młodych gniewnych”, dawno już minęły. Tej wiosny, trochę dziwnie się do tego przyznać, mija 20 lat od kiedy się wspinam. Jeszcze całkiem niedawno nie wyobrażałem sobie, by głównym celem wakacji nie była jakaś wyprawa, alpejska ściana, czy trudna droga w skałach. Plany wakacyjne, rodzinne, były z zasady podporządkowane pod „cel”. Dzieci spędzały wakacje tam, gdzie mogliśmy się z Anią powspinać. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy wyobrażam sobie wakacje bez wspinania, to bym popatrzył na niego jak na... , zresztą nieważne.

A tu proszę, właściwie cały 2013 rok minął mi na zupełnie innym rodzaju aktywności i co więcej – wspinania wcale mi nie brakowało. Wiem, że to nie jest najlepsze wyznaczenie, jak na wstępniak do biuletynu Klubu, bądź co bądź Alpinistycznego, ale pokazuje, jak wiele może nas samych w nas zaskoczyć.

2 Kiedy patrzę na młodszych kolegów (bo koleżanki mają jednak wszystko w życiu lepiej poukładane) uskuteczniających ćwiczenia na тренаżerach (patrz str. 36), kiedy słyszę jak planują kilka kolejnych weekendów na wspinaniu w skałach (patrz str. 24), to widzę siebie sprzed lat (str. 2, patrz zdjęcie). Ale już niekoniecznie siebie dzisiejszego.

Wszystko ma swój czas. Tym bardziej, że odpoczynek od wspinania jest niezbędny i sprawia, że po przerwie dobrej energii jest więcej. Tej zimy na wspinanie w Tatrach jeździłem z dużo większą przyjemnością niż poprzedniej.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? A bo i Klub się zmienia. W 2013 roku stuknęło 50 lat od kiedy Maciej Popko z kolegami założył Uniwersytecki Klub Alpinistyczny. Zarząd w ramach obchodów zorganizował wielkie zawody – **50 baldów na 50-lecie** (patrz str. 90). Z tej okazji, znajdziecie w BUCE wspominki o byłych prezesach i byłych prezesów (patrz str. 78). Warto poczytać o tym, jak było kiedyś... A było... hmm... inaczej.

Co jeszcze znajdziecie w Biuletynie? Poza tradycyjnymi podsumowaniami, nawiązaniem do okrągłej rocznicy Klubu, poradami treningowymi i relacjami ze wspinaczek w górach świata (str. 44)? BUKA nie byłaby sobą gdybyśmy nie zaprosili do współtworzenia jej treści znakomi-



foto. Krzysztof Goździewicz

tych polskich wspinaczy. Są to jednocześnie pierwsze pióra środowiska. Tym razem praca domowa związana była z tematem „Wszystko idzie źle” (patrz str. 4). Polecam!

Pozycją obowiązkową dla miłośników różnorakich smaczków około wspinaczkowych jest historia pierwszych warszawskich ścianek (str. 70). Obecnie, kiedy warszawski wspinacz – bez znaczenia, profesjonalny czy niedzielny – ma do wyboru przynajmniej sześć poważnych obiektów (o pomniejszych nie wspominając), historia pierwszych ścianek brzmi dość surrealistycznie.

Zapraszam do poczytania szeregu impresji klubowiczów, tak górskich, życiowych jak i z zakresu innych dyscyplin. Warto też dowiedzieć się, jak widzi swój status w Klubie nowy klubowicz (str. 77).

Wracając jeszcze do momentu do przemijania i zmian – obecny numer jest tego najlepszym dowodem. Wreszcie, po 16 latach od pierwszego numeru, mogę spokojnie zacząć myśleć o zasłużonej emeryturze. Biuletyn jest efektem pracy wielu osób (nie myślę tu tylko o autorach), a ciężar przeniósł się zdecydowanie na sekretariat. Agnieszko i wszyscy pozostali – dziękuję.

A BUKA to przecież tylko jeden z przejawów Waszego zaangażowania w Klub (o innych pisze obok Marek). I nie jest tego mało!

Tym pozytywnym akcentem, kończę kolejny wstępniak szesnastej już BUKI.

Niech i za rok będzie o czym pisać!

Od Prezesa

Marek Kaliciński



W tym UKA to mają zasięgi! fot. A. Koszek

Kolejny rok za nami.

Tym razem szczególnie: zamykając 50 lat działalności naszego Klubu. Z jednej strony, był to rok obfitujący w dodatkowe imprezy, a z drugiej – dość spokojny. Na pewno kluczowym wydarzeniem, pod względem obciążenia zarządu i finansów Klubu, były zawody zorganizowane z okazji obchodów 50-lecia UKA. Przy okazji, jeszcze raz dziękuję kilkudziesięciu wolontariuszom pomagającym przy ich organizacji. Również dzięki nim wsparliśmy organizację zawodów „Biegu Granią Tatr”, a Gosia Kusztełak wraz z sekcją Agama zorganizowała aż dwie edycje zawodów dla dzieci i juniorów. To jest właśnie siła Klubu!

Mimo dość mocnego początku (wsparcie Bloco Open, objanie skał czy weekend zimowy) obecny rok na pewno będzie spokojniejszy. Jak wszystko w przyrodzie, również Klub potrzebuje zebrania sił. Oczywiście liczę na Wasz czynny udział we wszystkich organizowanych imprezach, pozwalających na integrację członków Klubu. Przed nami obóz majowy, górski, wypad weekendowy czy zawody wigilijne. Na pewno nie zabraknie możliwości do spotkań.

BUKA ukazuje się jak co roku. Tym razem tematem przewodnim są wspominki Prezesów. Jako że jeszcze nie zakończyłem swojej działalności w Klubie, nie chcę pisać o tym, co było. Dla mnie te kilkanaście lat pracy w Zarządzie nie różni się wiele od kilku lat prezesowania. Ważne tylko aby mieć motywację do pracy, a nic tak nie motywuje człowieka jak sukces. Dla mnie podczas pracy w Klubie największym sukcesem jest wysoka frekwencja na organizowanych imprezach. Liczę na was!



0 klubie



Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest stowarzyszeniem o ponad pięćdziesięcioletniej już historii, skupiającym ludzi czynnie uprawiających wspinanie we wszystkich jego postaciach. UKA jest jednym z największych klubów w Polsce, obecnie liczy sobie około 450 członków; zrzeszony w **Polskim Związku Alpinizmu**.

Chcesz do nas wstąpić?

Do Klubu zapraszamy wszystkie osoby, które posiadają już pewne umiejętności wspinaczkowe, czyli ukończyły kurs wspinaczkowy lub w inny sposób zdobyły wspinaczkowe doświadczenie. Jeżeli jesteś dopiero początkujący to oferujemy odpowiednie kursy. Pełna informacja o zasadach przyjmowania, kursach oraz o zaletach przynależności do UKA dostępna jest na naszej stronie www.uka.pl

Możesz też do nas napisać: uka@uka.pl

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny – zwiąż się z właściwym środowiskiem

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny

Stowarzyszenie kultury fizycznej
Organizacja pożytku publicznego
ul. Bohaterewicza 5/7, 03-982 Warszawa
www.uka.pl uka@uka.pl

KRS 0000108308

Konto bankowe: Nordea Bank Polska S.A.
16 1440 1299 0000 0000 0187 7801

Zarząd: Marek Kaliciński (prezes), Agnieszka Tyszkiewicz, Bartosz Jarosiewicz, Maciej Kowalczyk, Michał Łodziński, Wojtek Ryczer, Zbyszek Warakomski, Marek Wierzbowski

Komisja Rewizyjna: Tomasz Chudy, Jarosław Kamer, Karol Sulej

1% PRZEKAŻ JEDEN PROCENT SWOJEGO PODATKU!

Od października 2004 Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest zarejestrowaną przez sąd organizacją pożytku publicznego. Status ten umożliwia darczyńcom przekazywanie jednego procenta swojego podatku na rzecz Klubu.

Wszystkie informacje dotyczące procedury przekazywania 1% na rzecz UKA oraz najczęściej zadawane pytania znajdują się na naszej stronie www.uka.pl

Wybierz Uniwersytecki Klub Alpinistyczny!

Praktyczny poradnik

pod wielce zachęcającym tytułem:

„Jak zepsuć sobie wyjazd wspinaczkowy”.

Andrzej Mecherzyński-Wiktor

Pamiętacie „Sposób na Alcybiadesa”? W cudownej tej książce pojawia się osobliwy pomysł: pośród szeregu specjalnych, opracowywanych przez pokolenia uczniów, sposobów radzenia sobie ze szkolną rzeczywistością, jest też – gruntownie teoretycznie opracowany – „sposób na osiągnięcie wyników niedostatecznych”. Pozorny paradoks, którego ostrze tępieje, gdy przypomnimy sobie własne szkolne lata. Czyśmy naprawdę nie spotkali w życiu jegomościów, którzy nie tylko nie oblali nigdy najmniejszej kartkówki, ale wręcz nie byli to tego zdolni, co skądinąd niekoniecznie pozytywnie wpływało na ich rozwój duchowy i relacje towarzyskie?

4 Wbrew pozorom – wspinacze są takimi właśnie jegomościami, aczkolwiek *à rebours*. Wrodzona nam dezynwoltura, połączona z niemalym doświadczeniem w żulerce wszelakiego rodzaju i zasadniczo pogodnym stosunkiem do otaczającej rzeczywistości sprawia, że ludek wspinaczkowy w każdych niemal warunkach potrafi znaleźć okazję do dobrej zabawy, zaś zupełna nawet ruina najśmielszych planów jest zdolna zamienić się w wyjazd życia, w opowieści, które krążą potem latami po środowisku, ku uciesze występujących w nich bohaterów. Zarazem dezynwoltura ta skutecznie wpływa na niezbyt pochlebną opinię o nas, w jakiej celują tzw. „szerokie koła”, to znaczy drobniomszczaństwo.

Niemniej jednak, istnieją pewne stare, sprawdzone sposoby, dzięki którym wyjazd wspinaczkowy może się naprawdę nie udać – nie zostaną z niego ani wiekopomne przejęcia, ani mrozące krew w żyłach historie, ani nawet kupa śmiechu na wspomnienie włamania do zakrystii wiejskiego kościółka celem znalezienia noclegu podczas zamieci (autentyczne). Oto kilka spośród wspinaczkowych „sposobów na osiągnięcie wyjazdów niedostatecznych”.

1. Na „koleżankę” (dla mężczyzny).

Stare i sprawdzone. Najlepiej, jeśli koleżanka nigdy w życiu się nie wspiwała, zarazem właśnie w związku ze wspinaniem wodzi za nami tęsknymi oczyma. Dobrze, żeby pochodziła z rodziny określającej samą siebie jako „przedstawicieli klasy średniej”, to znaczy była przyzwyczajona do kafelków w łazience także podczas wakacji w górach czy na Mazurach.

Plan jest prosty i nietrudny do przeprowadzenia. Koleżance proponujemy wyjazd życia, opowiadamy o rozkoszach krzonowania, subtelnym uroku zimnej wody ze strumienia, niepowtarzalnej atmosferze rozmów przy winie i innych używkach, wspaniałych, otwartych ludziach o szerokich horyzontach i swobodnym stosunku do życia. Jednocześnie zapewniamy ją, że w rejonie do którego zmierzamy (stopem) znajduje się prawdziwa kopalnia prostych dróg, na których łatwo rozpocznie swoją przygodę ze wspinaniem, najwspanialszym sportem pod słońcem (dotychczas była jedynie na *fitnessie*). Dla pewności nie sprawdzamy tej informacji w żadnym przewodniku.

Efekty mogą być wspaniałe. W rzeczonym rejonie istotnie znajduje się kopalnia czwórek i piątek, tyle że kruchych i obitych dosyć lotnie, co nie przeszkadza nam upierać się, że „wędka to nie jest wspinanie” i tracić kolejnych cennych godzin nudnego dnia na podpowiadanie popłakującej „koleżance” jak należy wykonać drugi ruch.

**Przyjaciele również nie
zawodzą - koleżanka jest
atrakcyjna, ale już przez
nas zajęta, w związku
z czym nie widzą żadnego
interesu w nawiązywaniu
pogłębionej znajomości.**

Jako jedyne towarzystwo młodej damy, skazani więc jesteśmy na opuszczanie cowieczornych balang i „pasjonujących dyskusji do świtu”. Narastająca frustracja pogłębiania jest przez naciski koleżanki, która za nic w świecie nie zgadza się dłużej krzonować i kategorycznie żąda przenosin na jedyny w okolicy kemping, na szczęście kosztujący zaledwie 20 euro za noc.

Ratując resztki honoru uszczuplamy budżet, szczęśliwie zbilansowany wcześniejszym powrotem do kraju ze znajomymi, którzy akurat mają wolne miejsce w samochodzie.

2. „Na silniejszą” (dla pań).

Znajdujemy sobie miłego kolegę, przy okazji ambitnego wspinacza. Przyrodzone wdzięki sprzyjają szybkiemu pogłębieniu znajomości, zaś fakt, że wspina się lepiej od nowego mężczyzny naszego życia zdaje się tylko dodawać sprawie „dżenderowej pikanterii”. Zapowiada się wspaniały wyjazd, po raz pierwszy to my będziemy wieszać komuś ekspresy i występować w roli mentora, licząc w dodatku na wdzięczność zainteresowanego.

Rzeczywistość szybko sprowadza nas jednak na ziemię. Kolega okazuje się tyleż ambitny, co uparty. Kolejne godziny spędzone przez niego na wizeniu pod trzecim przelotem drogi, na której rano zaliczyłyśmy spektakularnego oesa, powodują postępujące skostnienie palców, uniemożliwiając atak na następne śmiałe cele. Nie pomagają pożyczone po kilku dniach rękawiczki.

Łapiemy się na tym, że systematycznie opuszczamy sobie wspinaczkową poprzeczkę, w strachu przed powtarzającą się co dzień gehenną. Musimy przy tym wysłuchiwać tyrad wyrażanych w języku, o którego znajomość podejrzewaliśmy dotychczas osoby pracujące w innych, niż kolega, zawodach.

Na kempie też nie jest przyjemnie. Urok osobisty, dzięki któremu dotychczasowe wyjazdy kazały nam cieszyć się wianuszkami wielbicieli, stał się nagle celem zawistnych spojrzeń partnera od liny (i nie tylko). Ten ostatni zaś odbija sobie ewidentną słabość wspinaczkową na pozostałych sferach wyjazdowego życia.

Okazuje się, że po dziesięciu latach obozowania w krzakach nie mamy pojęcia, jak należy wybrać miejsce na nocleg, zaparkować samochód, rozbić namiot, osłonić kuchenkę przed wiatrem, pokroić czosnek. Wszystko to robi lepiej „nasz mężczyzna”, prawda że wspinaczkowo słabszy, ale przecież nadal obrońca stada i opoka niewiasty. Niezbyt pełen portfel nie przeszkadza mu przy tym upierać się, że za wszystko będziemy płacić sam, w związku z czym jadłospis nasz z dnia

na dzień uboższe; dojadamy po znajomych, odwiedzanych wszakże potajemnie. Plusem pozostaje rozwiązanie wątpliwości co do pomysłu zakupu wspólnej liny oraz mieszkania.

3. „Na samochód kolegi” (dla wszystkich).

„Jedziemy na tripa” – te słowa elektryzują, niestety nazbyt licznych, a wieloletnia znajomość zobowiązuje. Jest nas ewidentnie za dużo na jedno auto, zarazem trochę jakby przymało na dwa, a kosztą – rzecz niebiaha. Na szczęście znajduje się rozwiązanie.

Otóż jeden z nas ma siostrę, siostra zaś chłopaka, którego kolega ofiaruje się pożyczyć auto swojego wujka, pozostawione mu do swobodnej dyspozycji. Samochód jak znalazł – przestronny van z dużym bagażnikiem, ze trzy osoby mogą spać w środku, a po imprezie to nawet i pięć. Niemiecki wóz, stan znakomity, tylko skrzynia trochę sprzęga, ale od dziesięciu lat tak jeździ i nic się nie stało. Jasne, że był niedawno u mechanika; nie mógł się chłop nadziwić, w jak dobrym stanie jest samochód. No, to jedźmy!

Kłopoty zaczynają się pod Częstochową, chociaż już w Zgierzu humory delikatnie popsuła pierwsza konstatacja – „ileż ten smok pali!”.

Tymczasem trzeba zjechać na poboczne, bo „dwójka” nie wskakuje. Telefon do kolegi chłopaka siostry nas uspokoja – owszem, tak się czasem dzieje, ale wystarczy lekko przycisnąć raz i drugi drążek ku dołowi, a bieg zaskoczy. Rzeczywiście, zaskakuje; jedziemy dalej.

Wakacyjna przygoda zaczyna się na dobre w Sośnicy. Pierwsza na ziemiach Rzeczypospolitej krzyżówka autostradowa tak silnie przyciąga naszą uwagę, że nie słyszymy owych dźwięków osobiwanych, a przecie znajomych, dobywających się z silnika. Te zaś po chwili cichną, by ozwać się z całą siłą dwa kilometry dalej. Szczęściem, jesteśmy właśnie na wiadukcie, a zaraz za nim błyska znajome logo stacji benzynowej, więc kiedy samochód gaśnie, staczymy się spokojnie na parking koło McDonalda.

Nerwy zagrały nam właśnie po raz pierwszy, ale nic to – uciszamy je *cheesburgerem* i dalej za telefon. Kolega chłopaka siostry dziwi się, ponieważ silnik był niedawno wymieniany, niemniej obiecuje zadzwonić do wujka i odezwać się za jakiś czas. Zamawiamy McZestawy. Po dwóch godzinach Wielkiej Dolewki i paczce czerwonych Marlboro odzywa się komórka. Okazuje się, że silnik jednak nie był wymieniany (choćby były takie plany), ale nie należy się przejmować, stary działa jeszcze całkiem sprawnie i na pewno wizyta u mechanika rozwiąże ten drobny problem. Kolega chłopaka siostry przeprasza i życzy udanych wakacji. Jest już po ósmej, więc w oczekiwaniu na otwarcie warsztatów zakupujemy na stacji to i owo postanawiając sprawdzić, ile osób naprawdę jest w stanie nocoować w pożyczonym aucie po imprezie.

Poranna wizyta zakładzie naprawczym każe pojąć w wątpliwość rzekome zachwyty wujkowego mechanika nad stanem technicznym bolidu. Próbuje nie stracić ducha tłumaczymy fachowcowi, że na wymianę większości elementów zawieszenia nie mamy ani czasu ani pieniędzy, zaś tym bardziej ochoty, niemniej skłonni jesteśmy wysupłać pewne środki na doprowadzenie auta do chwilowej używalności. Zgodnie też ruszamy na wycieczkę do bankomatu, po drodze odbywając małą naradę.

Jasnym jest, że ambitne plany odwiedzenia południa Francji należy odłożyć do lamusa, ale może przynajmniej uda się uniknąć rodzimej Jury. Postanawiamy jechać na Franken; niedaleko, a niemieccy mechanicy mają dobrą opinię. Autostrada Kraków - Niemcy jest znakomita, dzięki czemu nasze auto nie zostaje narażone na poważne sprawdziany terenowe, cóż to jednak dla niego. W okolicach Legnicy nie ma, jak wiadomo, pasów awaryjnych, jedynie zatoczki, lecz szczęście nas nie opuszcza i awaria ma miejsce tuż przed jedną z nich.

Podróż lawetą nie należy do pasjonujących, westowych historii, więc ktoś rzuca pomysł, żeby przynajmniej wrócić do Warszawy stopem; zostaje jednak zakrzyczany. Czas w pociągu upływa nam podzielony na równe, półlitrowe interwały. Po ostatnim z nich dworzec Warszawa Centralna aż nazbyt wyraźnie daje do zrozumienia, że z *westu* tym razem nieci.

4. „Na sprzęt” (uniwersalne, chociaż panom czemuś łatwiej).

Zapomnieć uprząży, butów czy liny – rzecz niestrasza, szczególnie na wyjeździe sportowym. Buty można kupić (na *weście* taniej), uprząże pożyczyć od restujących, na kempie zawsze znajdzie się ktoś z liną,

ale bez partnera *etc.* Nawet zostawienie w kurtce wiszącej w domu wszystkich pieniędzy i kart bankowych nie skutkuje kląpą, przynajmniej jeśli ktoś utrzymuje w miarę poprawne relacje ze znajomymi i nie jest znanym, chronicznym dłużnikiem. Zabawa zaczyna się, kiedy niedbałość sprzętowa dotyczy wyjazdu górskiego.

Po pierwsze – kompletowany od miesiąca zestaw własnej asekuracji, po części zakupiony, po części zaś napożyczany u kolegów, to już wydatek nie lada i za zwyczaj po prostu nas na niego nie stać. Po drugie – górski wyjazd posiada tę nieprzyjemną cechę, że angażuje pospół nas i naszego partnera, zarazem wymagając nienagannej współpracy. Informacja, że zostawiliśmy w domu połowę betu może być znakomitą preludium do narastającego od tej chwili napięcia.

Co gorsza, jeśli nawet uda nam się mimo to wbić w ścianę, błąd ów będzie powracał echem za każdym razem, kiedy brak tego czy innego elementu ekwipunku da się mocniej we znaki. Jeśli zaś partner nasz nie wykazuje odpowiedniego wyczucia kwestii honorowych, może posługiwać się tym argumentem nawet w sytuacjach zupełnie niezwiązanych – tak, że nagle każdy problem wynikły podczas wspinania (na przykład koniec tytoniu) okaże się efektem braku *friendów*, za które byliśmy odpowiedzialni.

Biorąc pod uwagę, że wyprawy górskie wymagają zazwyczaj zwiększonych nakładów finansowych, jak również dłuższego okresu przygotowań oraz dni spędzanych pod ścianą w oczekiwaniu „warunu” (dni za-trutych pogłębiającą się konfuzją obojga, której my jesteśmy winni i na którą nie ma już rady) – skuteczne położenie takiego wyjazdu jest w skutkach dalece bardziej uciążliwe, niż to ma miejsce podczas wypraw czysto sportowych. Konsekwencją może być nawet niemal zupełny brak wspinania podczas wakacji.

5. „Na śpiwór” (powszechne).

Proste, ale urocze. Na wyjazd letni zabieramy, jakże by inaczej, letni śpiwór. Po piątej nieprzespanej nocy ostatecznie rezygnujemy z planów pokonania „drogi życia”, zwiększamy natomiast nakłady na alkohol.

Nieprzyjemna woń ubrań, które zalegają na nas licznymi warstwami w dzień i w nocy, dodatkowo negatywnie wpływa na uprzednie zamierzenia odnośnie atrakcyjnej koleżanki.

★★★

Powyższe propozycje stanowią, rzecz jasna, zaledwie pewną część arsenału środków, jakimi dysponuje trudna i piękna sztuka kładzenia wyjazdów wspinaczkowych na łopatki. Żadna z opisanych sytuacji

nie jest wprost autentyczna, wszystkie jednakowoż powstały w oparciu o wieloletnie obserwacje i liczne opowieści.

Mimo wszystko jednak, totalne roztrymbalenie wspinaczkowej podróży nie jest rzeczą prostą. Niemal zawsze istnieją drogi ucieczki, zazwyczaj do innego rejonu, a związku z tym – także do innych ludzi. Nawet w sytuacjach, w których pozornie uwiązani jesteśmy na smyczy (miłość), można przecież odwołać się do rozwiązań radykalnych i ostatecznych (zerwanie), jeśli tylko ratowanie upadających wakacji stanowi dla nas wystarczająco dużą wartość.

W większości jednak przypadków, jak to zostało na początku powiedziane, trudno jest wspinaczom zupełnie zożydzić sobie pobyt na wyjeździe. Przy minimalnej dozie elastyczności (choć czasami wymagać ona będzie zrezygnowania ze wspinania w ogóle i przedstawienia się na „tryb towarzyski”) unikniemy kaplicy i – lepiej czy gorzej – ale przecież ostatecznie szczęśliwie i radośnie uda nam się spędzić zaplanowany, westowy czas. Jeśli jednak orientujemy się, że nic już nam pomóc nie zdoła, pozostaje jeszcze jedno wyjście. Jak najszybciej zrobić coś, o czym przynajmniej będzie potem można opowiadać.



fot. Wojtek Ryczer

Rzut monetą

Marcin Yeti Tomaszewski

Indie 2004 rok. Wraz z *Krzykaczem* (Krzysztof Belczyński) wybraliśmy się na drogę *Shark's Fin* na północno-zachodniej ścianie szczytu Meru. Cel bardzo ambitny. Świeżo po sukcesie na Alasce, na której wytyczyliśmy wraz z Dawidem Kaszlikowskim *Ostatni Krzyk Motyla* na ścianie Citadel, nabraliśmy wiatru w skrzydła. Wsparci Nagrodą Mugsza Stumpa czuliśmy się szczególnie zmotywowani, by osiągnąć cel naszej wyprawy.



Co wypadnie? fot. arch. M. Tomaszewski

W trakcie wyprawy góry udzieliły mi jednak jednej z najważniejszych lekcji. Gdy po kilku dniach karawany osiągnęliśmy bazę i pożegnaliśmy naszych tragarzy, wybraliśmy się na rekonesans pod ścianę. Bardzo ciepła nas wspaniała słoneczna pogoda i perspektywa mitycznej wręcz wspinaczki piękną skalną pletwą. Bezchmurne w tym okresie niebo dotrzymywało nam towarzystwa przez następne kilka tygodni.

Stojąc pod
szczytem,
obserwowaliśmy
kamienie
spadające ścianą
i wielkim
podejściowym
polem śnieżnym.

Wytapiane przez słońce, uniemożliwiały podejście pod kluczowy monolit. 1000 metrów nietrudnego terenu okazało się dla nas barierą nie do przejścia. Spadające z dużą częstotliwością odłamki skały, intensywnie oddziaływały na naszą wyobraźnię oraz instynkt samozachowawczy.

Po tygodniu oczekiwania na poprawę pogody, która w naszym przypadku oznaczała zachmurzenie i zimno, zdecydowaliśmy się dołączyć do sąsiedniej polskiej wyprawy na Bhagirathi. Gdy doszliśmy pod ścianę okazało się, że dysponujemy zbyt małą ilością sprzętu, by zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem. Wszystko układało się nie tak jak trzeba, nastawieni na Meru nie byliśmy w stanie przestawić się na inny cel. Rzuciliśmy monetą, myśleliśmy i debatowaliśmy.

Po kilku dniach znów wróciliśmy pod Meru. Niestety ściana nadal nie miała zbyt dobrego humoru,



Rzut monetą fot. arch. M. Tomaszewski

więc spakowaliśmy się i z wielkim odczuciem porażki postanowiliśmy wrócić do kraju.

Wszystko szło źle, choć może nie do końca, bo jednak wróciliśmy cali i zdrowi ☺

www.marcintomaszewski.com

Misterny plan

Bogusław Kowalski

8

Wszystko było doskonałe. Podróż do Chamonix. Wino. Nocleg w uroczym hoteliku. Podejście lodowcem do schroniska. Pogoda. Aż wreszcie ten pierwszy, długo wyczekiwany dzień w ścianie. Wspaniała forma, wyszlifowana w Tatrach i na bunkrach, pozwalająca na rozwinięcie świetnego tempa. W ciągu pierwszego dnia dotarli do wysokości około jednej trzeciej ściany. Przy zapadającym słońcu – niestety widzianym tylko na przeciwnych ścianach – zaczęli mościć się do biwaku. Wszystko przebiegało ze starannie opracowanym planem. Na ich twarzach gościł uśmiech, bo przygoda zaczęła się wyśmienicie. Zaraz zaczęli gotować, pogadają o tematach, które omówili już dziesiątki razy i w końcu zasypiają w swoich śpiworach. Powiększyli w śniegu półkę biwakową i nieśpiesznie rozpoczęli przygotowania do...

– JA PIERDOLĘ! – O KURWA! – JA PIERDOLĘ! – JAK MOGŁEŚ?! Zszokowani patrzyli na plecak, który nabierając prędkości, podążał do podstawy ściany. – ŚPIWÓR! – GAZ! – KURWA – PALNIKI! – WODA! – JEDZENIE! – TY GŁĄBIE! – JAK TO JA, PRZECIEŻ CI PODAWAŁEM! – DUPA ZJEŻDŻAMY! – TO PIERDOLĘ! ŚPIĘ, A ZJEŻDZAĆ ZACZNĘ JUTRO!

Długo się jeszcze kłócili. Pięknie zapowiadająca się przygoda przerwana została w tak głupi sposób. Skwaszeni zaczęli ratować co się da, jeden śpiwór, jeden plecak, płachta biwakowa, kurtka stanowisko, kilka batonów i paczka cukierków. Obrażeni na świat i siebie wcisnęli na siebie – mimo wszystko solidarnie – co tylko mieli. Wpełzli do płachty biwakowej, przycupnęli przy sobie i pograżyli się w smętnych rozmyślaniach. Ogromne rozczarowanie, które nimi zawiadnęło, nie pozwalało rozpocząć sensownej rozmowy.

Zaczęło robić się zimno. No przecież! Dotarli na wysokość około 3500 m n.p.m. w środku lutego i zostali bez ciepłego jedzenia. W okolicę pleców nieśpiesznie, ale nieuchronnie zawiłał mróz. Lodowate dłonie lubieżnie ocierały się o okolicę nerek Edwarda. To jemu trafiła się kurtka i plecak, który założył na nogi.

Minuta po minucie zimno docierało w najdalsze zakamarki jego ciała. Zaczął dygotać. Po godzinie zapadł w letarg - na przemian zasypiał i budził się, poprawiając na półce i próbując znaleźć nieco ciepła.

Ocknął się odrętwiały i zziębnięty. Przed nim migotał monitor komputera. Zmieniające się fotografie przedstawiały najszlenniejsze ściany świata.

**Poruszył nerwowo
myszką i na ekranie
pojawiło się forum
rotwailer.pl.
Rzucił szybko
okiem, czy nie ma
nowego wpisu na
wszystkich
czternastu
podforach.**

Nie było. Od dwóch godzin nikt nic nie napisał. Natychmiast przełączył się na doberman.pl. – Jest – uśmiechnął się w duchu. Jakiś idiota zdecydował się mu odpowiedzieć. – Zaraz go zmiażdżę – powiedział do siebie. Rozejrzał się po pokoju. Pchnął swój fotel na kółkach w kierunku uchylonego okna. Na szybko osadził się pazurki mrozu. Prędko zatrasnął skrzydło i momentalnie podjechał w kierunku stolika z komputerem. Nie ma nowego wpisu! Sięgnął po kubek z kawą i pociągnął łyka. Natychmiast wypłul zawartość na ekran komputera. Nie dość, że kawa była zimna, to jeszcze spetował w niej kilkanaście papierosów. – CO ZA SYF! Znalazł jakiegoś starego T-shirta i spróbował wytrzeć monitor. Niestety jego ogromny brzuch nie pozwolił mu na sięgnięcie do wyświetlacza. Żeby wytrzeć ekran musiał podjechać fotelem z boku stolika. Zaczął rozglądać się za czymś do jedzenia. Na łóżku leżało pudło z pizzą XL. Niestety była zimna i twarda jak kamień. W duchu uśmiechnął się do siebie, chwyląc za pomysł zainstalowania w pokoju mikrofali. Nie będzie musiał wstawać z fotela, żeby pójść do kuchni. Po minucie zjadł się odgrzaną pizzą i zaczął pisać posta w wątku o niedawnym wejściu na wschodni wierzchołek Kunyang Chhish. – Co za cymbał tu się wypowiada, przecież ja szesnaście lat temu pisałem wniosek o dofinansowanie na tę górę. Kto może wiedzieć o niej więcej niż ja? Uderzając z zawrotną prędkością w klawisze, pozostawił zgłiszczą po interlokutorze i jego toku rozumowania. W pew-

nym momencie musiał przestać, bo pogrążając się w amoku, dostał zadyszki. Ponownie podjechał do okna, żeby wpuścić do pokoju świeżego powietrza. Po chwili drzemał już w swoim bolidzie. Z jego ust wydobywało się donośne chrapanie.

Przebudził się. Zaczął zastanawiać się nad stopami. Nie czuł ich, a próba poruszenia palcami się nie powiodła. Przypomniawszy sobie, że w kieszeni plecaka powinny być podgrzewacze chemiczne. Tylko w którym plecaku?! Nerwowo zaczął sprawdzać kolejne kieszenie. Są! Po krótkim masowaniu stóp wrzucił podgrzewacze do środka butów, a w ślad za nimi wcisnął nogi. Powoli po ciele zaczęło rozchodzić się przyjemne ciepło. Znowu zaczął drzeć.

Obudził go hałas. Początkowo nie rozumiał, co się dzieje. Na próżno poszukiwał źródła dźwięku. W końcu dotarło do niego, że trzeszczy modem, który powinien stać na stoliku obok monitora. Ale nie stał, tylko bezradnie leżał na boku, a spod pokrywy wydobywał się trudny do określenia hałas. Uświadomił sobie, że przez sen musiał zahaczyć o kabel i zrzucił modem na podłogę. Zaraz! Rzucił się na myszkę. Nie ma połączenia! Nie wie, czy ten kretyn, który nie ma zielonego pojęcia o Chhishu, coś odpisał. Omijając stół, dojechał do mo-



rys. Biszon

demu i wcisnął wtyczkę, która nieznacznie wysunęła się z gniazda. Z nerwowym sapaniem wrócił do myszki i sprawdził... Cisza, od 1:47 żadnego wpisu. – Wiedziałem – tryumfalnie się zaśmiał – nie miał argumentów. Za chwilę dopisze mu parę zdań, żeby nie myślał sobie. Spojrzał na zegarek – 4:12, niedługo na ulicy zacznie się ruch, ale jeszcze długo będzie ciemno. Postanowił udać się do łazienki. Sama ta myśl napawała go wstrętem. Będzie musiał dźwignąć z krzesła swoje sto sześćdziesiąt osiem kilogramów. Chodzić? Obrzydlistwo!

Czuł mocne parcie. Gorączkowo wygrzebywał się ze swojego kokonu, aż w końcu udało mu stanąć na nogi. – Nie oblej płachty! – usłyszał stłumiony głos Alojzego. – Sam się nie oblej! – odburknął i zatapiając się w błogim otępieniu patrzył na kontury okolicznych szczytów. Jak mogli to tak spieprzyć! Tyle przygotowań, wyczekiwania na warunki, okno pogodowe i wszystko na nic. Cały misterny plan w pizdu! Chyba sobie nie wybaczy takiej okazji. Nienawidząc świata, wpłynął do swojego gniazda. Po głowie snuły mu się same ponure myśli.

Wrócił przed monitor, przyspieszony oddech był wspomnieniem po wycieczce do ubikacji. Jak on nie nienawidził wstawać z krzesła! Poruszył myszką i na ekranie pojawił się jego ostatni wpis. – Boi się melepe-ta jeden. Nie chce ze mną dyskutować! Wiadomo, przecież niecałe piętnaście lat temu podciągałem się siedem razy na drążku, a w skałkach potrafiłem poprowadzić sześć półtora po patentowaniu. – To były czasy – westchnął z rozrzewnieniem. Co prawda Internet wtedy raczkował, ale i tak nikt nie był w stanie pokonać go w dyskusjach ideologicznych. Był w swoim przekonaniu największym znawcą alpinizmu polskiego. Znał na pamięć wszystkie ważniejsze przejścia z ostatnich dwudziestu trzech lat. A w górach ze swoim przyjacielem przechodził naprawdę trudne zimowe drogi. Nagle syknął z wściekłości. Przypomniawszy sobie zarzuty, że nie poprowadził żadnego trudnego wyciągu. Nie musiał. Gdyby partner tego potrzebował, on zawsze był w gotowości!

Powoli zaczęło robić się jasno. Henryk i Alojzy powoli zaczęli się zbierać z biwaku. Przemarznięte i zesztywniałe obce ciała nie pozwalały na sprawną akcję, poza tym nie mieli gdzie się spieszyć.

Po wczorajszej katastrofie wiedzieli bez słów, że muszą zjechać. Nastroje mieli minorowe,

bo choć byli w doskonałej formie fizycznej, to jednak wiedzieli, że po drugiej, trzeciej takiej nocy bez jednego śpiwora i bez ciepłego posiłku ich wspinaczka musi zakończyć się źle. Gdy tylko rozwidniło się na dobre, spoglądali co chwilę w dół, próbując dojrzeć pod ścianą upuszczony plecak. Niestety prawdopodobnie wpadł do szczeliny brzeżnej i ciężko go będzie odzyskać. No nic, okaże się gdy zjadą te bagatela czterysta metrów. Półtorej godziny później Henryk asekurowany liną powoli zniknął w kazamatach lodowca. Namierzili plecak na małym mostku śnieżnym na głębokości około dwudziestu metrów. Trzeba było tylko do niego dotrzeć. Metr po metrze zsuwał się w czeluść, pomagając sobie przy tym dziabkami. Stała powstrzymać lęk i wstręt do okoliczności, z którymi się mierzył. – Gdyby człowiek miał żyć pod ziemią, to urodziłby się kretem – szepnął do siebie tak cicho, jak to tylko możliwe. Stał w końcu na docelowym mostku i powoli sięgnął po plecak. Gdy miał już założoną jedną szelkę usłyszał trzask i zapadł się w dół. – CO TY KURWA ROBISZ?! – Nie mógł zrozumieć co się stało. U góry Alojz poczuwszy luz na linie zdecydował się wzmocnić stanowisko, i tym momencie poczuł szarpnięcie. Jedna z śrub lodowych wyskoczyła. On sam zawisł na stanowisku tylko, że dwa metry niżej. Z dołu dobiegł ryk...

Bolało we wszystko. Nie wiedział gdzie jest. Otworzył oczy i powoli zaczęło do niego docierać, co się stało. Spadł na podłogę! Leżał wcisnięty między łóżko a kaloryfer, a dodatkowo nogi mu się zaplątały w krzesło. – O FUCK! JAK JA TERAZ WSTANĘ? – zaczął szukać pomysłu na wygrzebanie swoich stu sześćdziesięciu ośmiu kilogramów. Przede wszystkim niezgrabnym kopnięciem odepchnął od siebie swoje ukochane krzesło. Chwycił oburącz jedno z żeberek kaloryfera i zaczął ruchem robaczkowym próbować wyrwać cielsko z pułapki. Po kilku minutach jego tyłek znalazł się na łóżku. Teraz wystarczyło mocno odepchnąć się od kaloryfera i już siedział. Ponuro spojrzał na krzesło. Szczrzyło się do niego złamane mocowania jednego z pięciu wspianych kółek. Cudownie! Szlag by trafił! Z mozołem postawił swój bolid, a później sapiąc ogromnie, wgramolił się na siedzenie. Delikatnie podjechał do biurka, stając się obciążać tylko sprawną kółka. Poruszył myszką i... na rotwailerze nic nie było, na dobermanie... również. – TCHÓRZE! CIENIASY! NIEDORAJDY! TYLKO SPRÓBUJcie SIĘ POJAWIĆ, TYLKO SPRÓBUJcie, A ROZNIOSĘ WAS! – Spojrzał na zegarek, właśnie minęła szósta więc przez najbliższe kilka godzin nikt nie podejmie rękawicy. Kliknął w ulubione, wyszukał pizzerię, po czym zamówił zestaw XXL z colą i frytkami. Następnie otworzył worda i zaczął stukać w klawiaturę: *Założył drugą szelkę plecaka, spiął pas biodrowy i zaczął się wspinać po ścianie szczeliny, pokrzykując co chwilę – ALOJZY! WYBIERAJ!*

Słoneczna Podlenica

Marcin Wernik

Wszystko idzie źle – to tytuł tego bloku tematycznego tegorocznej Buki. Historii okraszonych „wernikami” mam na swoim koncie wiele. Początkowo myślałem, żeby opisać ostatni wyjazd tatrzański, gdzie dotknął mnie skumulowany atak „pechuńcia”. Jeden dzień, dwa wycofy, zatrucie, stłuczone kolano i wypadnięte stanowisko ☹. Ostatecznie zdecydowałem się jednak opisać historię ostatniej majówki.

W tym sezonie zaplanowałem, że pojadę do Val del Orco rozwijać umiejętności wspinania w rysach. Niestety, przedłużająca się zima i zalegający śnieg wymusiły konieczność zmiany planów i na dwa dni przed rozpoczęciem długiego „tykendu” zostałem bez celu i pomysłu gdzie jechać. W końcu postanowiłem dołączyć do Ukochanej, która wraz ze znajomymi zaplanowała wyjazd do Paklenicy. Na szczęście było jeszcze jedno wolne miejsce w aucie dla mnie i mojego stalowego partnera – Irenki. Kiedy już potwierdziłem swój udział, siedząc w pracy zacząłem przemyślać szczegóły wyjazdu. Pierwsza myśl to: czym jedziemy, szybki mail i odpowiedź Agi – *Jedziemy busem. Ale jakim busem? Poczekaj zaraz Ci wysłę link.* Otwieram załącznik i przerażenie zaczyna się pojawiać w mojej głowie, na zdjęciu prezentuje się kilkudziesięcioletni Lublin wysprejowany w hippisowskie kolory. *Aga, czy ten bus w ogóle gdziekolwiek dojedzie? Spoko, wszystko będzie dobrze, jakby miał nie dojechać to chłopaki nie proponowaliby takiego wyjazdu.*

**Przeczcucie
mówi mi, że będą
jaja, ale nic,
słowo się rzekło,
nie mam innych
opcji, więc
jedziemy.**



Hipibus fot. M. Wernik

W sobotę rano zabieramy się z ekipą do hippibusa i ruszamy Katowicką na południe. Pod Piotrkowem chłopaki podpuszczają kierowcę, żeby sprawdził ile nasz bus wyciągnie z góry i... zabawa kończy się postojem, bo w silniku zaczyna coś stukać. Kierowca rzuca hasło, że w Kroczykach zna mechanika i może warto podjechać zobaczyć, czy to coś poważnego. Małe opóźnienie, ale w sumie przy tak długim wyjeździe to nic wielkiego, jedziemy do Kroczy. Mechanik nawet nie musiał jakoś specjalnie dłużyć, żeby stwierdzić, że na naszym miejscu w tak długą podróż, to by się nie wybierał.

Przy okazji wychodzi, że nasz wieloletni bus nie miał zrobionego większego przeglądu przed wyjazdem. Gdyby takowy przeszedł, to moglibyśmy szukać innych opcji transportu. Super podejście – „jakoś to będzie” – dobrze, że nie rozkraczyliśmy się gdzieś w polu w Rumuni. Jedziemy do Podlesic i zaczyna się dyskusja co dalej. Jeden z chłopaków proponuje, że może od szefa wypożyczyć busa, koszt wyjazdu po jakieś 100 PLN na osobę. Przy całości kosztów wyjazdu to niewielka różnica. Wszystkim pasuje, oprócz jednego, który twierdzi, że nie może sobie pozwolić na zwiększenie kosztów. Cóż, zrozumiałe, każdy ma jakieś swoje ograniczenia finansowe.

Po krótkiej dyskusji decydujemy się, że jego część podzielimy na pozostałe 7 osób, przynajmniej będziemy mogli jechać dalej. Gość z początku godzi się na to rozwiązanie, ale potem zaczyna się łamać i wymyślać historie, żeby tylko się móc wycofać, niby dziecko chore i musi wracać. Atmosfera robi się coraz bardziej napięta. No i zaczyna się. Drugi stwierdza, że mieli się wspinąć razem więc też rezygnuje. Trzeci, że jak oni nie jadą, to też odpuszcza. Monika, partnerka Agi stwier-

dza, że też wraca, z początkowej ósemki zostajemy my i Aneta z Piotrkim. Piotrek rzuca hasło, że może skolować auto i możemy jechać we czwórkę. W międzyczasie czekając na wieści, czy ta opcja wchodzi w grę, Aga stwierdza, że nie mamy podwójnej liny, a w sumie na wielowyciągówkę by się przydała. Na ten wyjazd linę brała Monika, która stwierdziła, że na naszej cienkiej sznurówce wspinać się nie będzie (sic!). W takim razie Aga prosi o pożyczanie liny, ale dostaje odpowiedź odmowną, bo... liny się nie pożycza.

Wkurwienie sięga zenitu, Adze puszczają nerwy i przez łzy zaczyna wyrzucać żale. Kiedy emocje opad-

ły, nadal przemysłiwujemy, co zrobić, żeby jednak jechać gdzieś dalej. Niestety, okazuje się, że autem Piotrka nie możemy. Obdzwaniam wszystkich możliwych znajomych szukając możliwości, ale ostatecznie zostajemy w Podlesicach, gdzie po dwóch dniach rozpoczyna się ciągły opad deszczu. Nie mając nic innego do roboty, garujemy ze spotkanym Biszonem w mokrym lesie spędzając czas na spacerach, picu piwa i paleniu wilgotnego ogniska. To była niezapomniana majówka w słonecznej Podlenicy. ☺

A morał z tej historii jest powszechnie znany... z niesprawdzonymi ludźmi się nie umawiamy ☺.

Wszystko idzie źle

Adam Pustelnik

Szczęśliwie taki temat nie kojarzy mi się z tym, jak źle może układać się samo wspinanie. Z kolei podróż, dotarcie na miejsce, owszem. I dobrze, bo nie ma przygody, kiedy wszystko układa się wedle precyzyjnie skonstruowanego planu. A bez przygody samo wspinanie nie ma takiego smaku.

Nie pamiętam dokładnie, w którym to było roku. W ekipie ze Sławkiem i Fijałem wybraliśmy się na dwa prawie identyczne wyjazdy zimowe na południe Francji. Podobieństw między tymi podróżami jest na tyle dużo, że mogą mi się one teraz lekko mieszać. A ponieważ oddzielone były od siebie niecałym miesiącem i jechaliśmy dokładnie tą samą trasą, całą tą „przygodą” zlewa się w jedną całość.

Byliśmy wpierw w Calanques na Boże Narodzenie i Sylwestra, a następnie w Claret na ferie zimowe. Przemieszczaliśmy się na trasie Łódź – Zgorzelec nieśmiertelnym PKP. Dalej Gorlitz – Basel modnym i wygodnym Wochenende Ticket. A potem w stylu „light and fast” stopem na południe. Droga „do” na ogół szła dobrze i bez specjalnych ciekawostek. Choć zdarzały się śmieszne momenty. W końcu za drugim razem staliśmy w trójkę ubrani dokładnie tak samo, w tym samym miejscu, o tej samej porze, tego samego dnia tygodnia, co 28 dni wcześniej. I kiedy naszą drogę przecięła ta sama starsza pani, jadąca na mszę z Bazylei do Mulhouse, na jej twarzy dało się odczytać niedowierzanie. Fijał na przykład trafił na ekipę reggae z okolic Lyonu o dumnie brzmiącej nazwie „Daj Piwo”. Było to brzemienne w skutki, bo na rondzie, na którym wysiadł z vana, zamiast na południe, skierował się na północ. Następnie drzemał albo pod daszkiem, albo w budce telefonicznej - już nie pamiętam. Na pewno kiedy otworzyła się pierwsza Boulangerie, został z niej wyproszony, bo wyglądał „niewyjściowo”. Koło południa spotkaliśmy się pod skałami, które były wyjątkowo zasnute



Pozdro z podróży fot. arch. A. Pustelnik

mgłą, a z gęstych chaszczy, bynajmniej nie tam, gdzie znajdowała się ścieżka podejściowa, wyłonił się nasz kompan. Na pytanie, czy nie chce się przespać, odpowiedział: „co ty, napieramy, walnę sobie tylko kawę”. Walnął dwie, po czym zasnął snem sprawiedliwego.

Wyjątkowo mocno w pamięci pozostały mi powroty. O tyle ważne, że trzeba było zdążyć na sobotę rano na Wochenende, a jak to jest ze stopem - wiadomo. Wyjątkowo te etapy podróży szły nam dość sprawnie. Na tyle, że raz we Fribourgu, a raz w Bazylei, musieliśmy spędzić o wiele więcej czasu niż się spodziewaliśmy. Cały dzień na dworcu to murowane spotkania z wyjątkowymi postaciami. Tym bliższe, kiedy dworzec zamykają, a wszyscy oczekujący przenoszą się do „budek” na peronach. We Fribourgu do takiej budki dołączył do nas Włoch, najprawdopodobniej pochodzący z południowej części tego kraju. Wnioskowaliśmy po tym, że ubrany był w jeansową kurteczkę i 10-stopniowe mrozy słusznie skomentował stwierdzeniem „freddo”. Poczęstowaliśmy go herbatą i pożycziliśmy karimatę, bo na ławkach nie było już miejsc siedzących. Włoch momentalnie otulił się dookoła betonowego kosza na śmieci i zaczął chrapać na całego. Towarzyszący nam Niemcy skwitowali to lekkimi uśmiechami i postanowili nawiązać z nami kontakt.

- Do you speak English?
- Yes.
- Shit. Fuck. Keine Hajcung.

Następnie w związku z dobrym nastrojem zaproponowali toast. Słusznie zaalarmowani gęstniejącą za szybami naszej budki atmosferą Sokiści szybko zawitali w nasze skromne progi. Zanim jednak zdążyli ogarnąć to, co dzieje się w środku, ze strony naszego kolegi ściskającego w ręce „kieliszek” zostali zaatakowani serią pytań bez odpowiedzi. Panowie po krótkiej chwili zostawili nas samych. A skoro poznaliśmy się tak dobrze,

drugi z Niemców nie mógł nie podzielić się z nami chociaż tytułami najlepszej muzyki w jego „kasetografii”. Niebanalne tytuły pozostaną mi w pamięci na zawsze: „Disco Dance 21” oraz „Disco Dance 22”.

Kiedy już udało się ruszyć w Wochenende, niewiele mogło człowieka zaskoczyć. A jednak... Nie wyglądaliśmy zbyt wyjściowo. Dwa tygodnie w skałach zawsze odbijają się na garderobie i wizażu. Na jednej z przesiadkowych stacji vegetarianin Fijał wrócił ze sklepu ze sporym kawałkiem mięsa i pieczywem. Rzecz jasna nie zakupionym samemu a sprezentowanym przez obsługę sklepu. Ale źle nie było. Oprócz tego jednego razu.

Nie spodziewałem się, że Niemiecka Kolej może mnie zaatakować tak bardzo z „przyczajki”. W końcu w ubikacji człowiek powinien się czuć bezpiecznie. Przebrany w „podróżny” strój zrobiłem swoje i przycisnąłem przycisk odpowiadający za spłukanie wody. Jakś szum, jakieś zamieszanie, ale w zasadzie nic się nie stało. Przyciskam ponownie... Klozet zamienił się w wulkan. Wyrzucił w górę całą swoją zawartość, precyzyjnie oblepiając ściany i zdziwionego mnie. W tym samym czasie pukanie do drzwi przypomniło mi, że nie jestem jedynym będącym w potrzebie. Doprowadziłem się do znośnego stanu, po czym wyszedłem ogłaszając wszem i wobec, że toaleta jest „out of order”. Zszokowany, załamany i wkurzony do granicy możliwości przebrałem się z powrotem w te same ciuchy, w których wspinałem się przez ostatnie dwa tygodnie.

Granice w Zgorzelcu przekraczaliśmy pieszo. Była zima, leżał śnieg. Przed nami przechodziła wesola ekipa z Bolkowa – wszyscy trafili na rewizję osobistą. My byliśmy kolejni w kolejce. Pomijając szczegóły zdarzenia uwagę celnika zwrócił Fijał, ubrany w sandały.

„Dlaczego pan nie założy skarpetek?”

„Bo śmierdzą!”

I tak trafiliśmy na kontrolę. Ale to już inna historia.

Wszystko idzie źle... Czasem pewnie tak się czułem, ale z perspektywy czasu wszystkie takie scenariusze były nieodzownym elementem przygody. I tylko takich „złych” scenariuszy chciałbym wszystkim życzyć.



W trasie fot. arch. A. Pustelnik

Podsumowanie tatrzańskie

Lato AD 2013 i zima 2013/2014

Maciej Kowalczyk

W tym roku patrząc na wykaz, ciężko oprzeć się wrażeniu, że znudziło się nam już trochę coroczne wyjazdy do Moka i postanowiliśmy poszukać przygód u naszych południowych sąsiadów. W wykazie znaleźć można dużo ciekawych przejść na ścianach znanych, jak np. Kieżmarski czy Galeria Gankowa, ale też mniej znanych jak Veza pod Skokom.

Zaczynając od końca, czyli sezonu zimowego (2013/14), odnotować da się kilka naprawdę ciekawych przejść, z których wyróżnić można zimowe podboje naszego eks-prezesa **Kuby Radziejowskiego**. Kuba w tym roku pokonał tylko 4 drogi, lecz aż 3 z nich mają w sobie pewien element nowości. Już na początku 2014 roku, wraz z innym klubowiczem **Mariem No-**

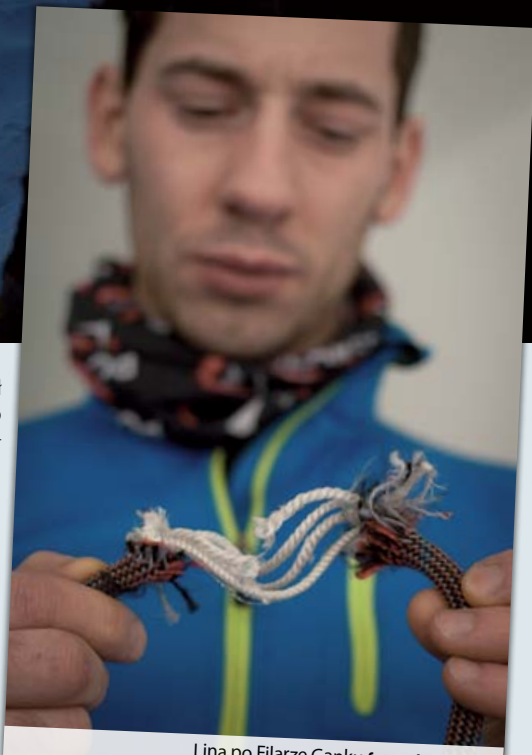
wakiem, udało się odhaczyć drogę *Zasnuby* na Kaczym Mnichu zamieniając pierwotne A1 na klasyczne 6/6+. Następnie wraz z **Marcinem Tomaszewskim** dokonał pierwszego zimowo-klasycznego przejścia tajemniczej Kazalnicy pachnącej Miętusią... Nowa kombinacja otrzymała nazwę *Łowca Jeleni*, a chętni do powtórzeń będą musieli sobie poradzić z ósemkowymi trudnościami i wykazać się silną psychą. Na koniec wraz z **Maćkiem Ciesielskim** przeszli nowy wariant na wsch. ścianie Łomnicy. Sam Maciek tej zimy mocno starał się zaszcześcić na tatrzańskim gruncie idee speed-climbingu wykręcając niesamowite czasy na bardzo poważnych drogach jak Filar Ganku czy Kazalnicy lub też łącząc w ciągu jednego dnia 3 długie drogi na Hali.



Cofając się do lata AD 2013 – mocno działał **Michał Dziędzic**, czego efektem było nie tylko przewspinanie ósemkowych dróg, takich jak *Patagońskie Lato* na Łomnicy i *Cesta Do Hor* na południowej ścianie Kieżmarskiego, ale również solowe obłężenie Wołowej Turni.

Jednym z partnerów Michała był **Wojtek Ryczer**, który latem skupił się na trudniejszych drogach (wspomniana *Cesta do Hor* czy *Wachowicz* na Mnichu i trudna kombinacja na Kazalnicy w najczystszy styl).

Zimą Wojtek przeszedł kilka pięknych tur, wśród których wyróżnia się Filar Ganku. Droga na pewno na długo pozostanie mu w pamięci (patrz zdj. obok).



Lina po Filarze Ganku fot. arch. W.Ryczer

Wspomnieć trzeba też na pewno o niestrudżonym **Wernixie**. Marcin od lat wspina się dużo w Tatrach i również w minionym sezonie wpisał do kapowniczka kilka nowych pozycji, jak np. *Szewska Pasja* na pięknej zerwie Młynarczyka czy *Kucharova Cesta* na równie urodziwej Galerii Gankowej.

Tak bawiła się w tym roku stara gwardia.

Jeśli chodzi o młode wilki – niestety jest trochę gorzej. Po swoim spektakularnym pierwszym sezonie, **Bartkowi Kurowskiemu** sprzęża starczyło tylko na wyjścia na naprawdę honorne ściany: udało się zaliczyć dwa filary – Galerii Gankowej oraz Kazalnicy (z obejściem). Warto wyróżnić liczne wspinaczki klubowego wychowanka – dziecka GMUKi **Macusia Korzeniaka**, który od poprzedniego roku zdecydowanie się rozkręcił i dokonał wielu wartościowych przejść – szczególnie zimą. Z różnymi partnerami Maćkowi udało się przejść zarówno kilka trudnych dry-toolowych klasyków (*Szare Zacięcie* na Czołówce MSW czy *Paradę* na Kotle), jak i spróbować dłuższych tur (*Filar Kopy Spadowej*).

Smucić może trochę fakt, że w wykazie poza nielicznymi wyjątkami, brakuje nam przejść młodych, górskich napieraczy i tak naprawdę od lat widzimy w wykazie wciąż te same nazwiska. Stara buła w UKA na pewno nie rdzewieje, ale może już czas zademonstrować też tę nową i zacząć deptać starym wyjadaczom po piętach? ☺

16

Wykaz przejść tatrzańskich 2013

Legenda

KWW – KW Warszawa	
KWK – KW Katowice	KWB-B – KW Bielsko-Biała
KWR – KW Rzeszów	KWZak – KW Zakopane
KWS – KW Szczecin	n – niezrzeszony

LATO 2013

TATRY POLSKIE

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA

Kombinacja Wędrówki Dusza + Kant Filara (VIII)

Wojtek Ryczer, Piotr Xięski (KWK), OS

Filar z obejściem (z Ostroga) (VII)

Bartek Kurowski, Waldek Kwiatkowski (KWW), OS

MNICH

Wachowicz (VIII-VIII)

Wojtek Ryczer, Piotr Xięski (KWK), OS



Patagorijskie lato na Łomnicy fot. M. Dziedzic

NIŻNIE RYSY

Tomkowe Igły (V)

Bartek Kurowski, Waldek Kwiatkowski (KWW), Piotr Sienkiewicz (KWW), OS

ZAMARŁA TURNIA

Prawa Pilchówka (V+)

Magda Pachulski, Jarek Mazur, Marcin Wernik, RP

Lewi Wrześniacy (V)

Agata Sosnowska, Agnieszka Tyszkiewicz, OS

ZACHODNIA KOŚCIELCA

Lobby instruktorskie (VII)

Grzegorz Gawryszewski, Krzysztof Brosz, OS

Lewy Działielewicz (VI-)

Grzegorz Gawryszewski, Krzysztof Brosz, OS

TATRY SŁOWACKIE

GALERIA GANKOWA

Filar Centralny (VII)

Bartek Kurowski, Waldek Kwiatkowski (KWW), RP

Kucharowa Cesta (VI+)

Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik, OS

Puskas (V)

Agata Sosnowska, Agnieszka Tyszkiewicz, OS

Jarek Mazur, Marcin Wernik, OS

Paweł Orłowski, Grzegorz Rutkowski (KWW), OS

KIEŻMARSKI SZCZYT**Płyty Pochylego** (VIII-)

Marcin Księżak, Tomek Adamczyk, RP

Cesta do Hor (VIII-)

Michał Dziedzic, Wojtek Ryczer, FI

Święcicki – Lipka (V) + **Zacięcie Fiali** (VI+)

Michał Kasprowicz, Waldek Żyliński, OS

Zacięcie Fiali (VI+)

Maciek Korzeniak, samotnie OS

Prawy Puskas (V+)

Grzegorz Gawryszewski, Marek Fliśnik, OS

ŁOMNICA**Patagońskie Lato** (VII+/VIII-)

Michał Dziedzic, Maciej Ostrowski (KWW), RP

Pseudowa cesta (VII-)

Michał Dziedzic, Marcin Wernik, OS

Hokejka (VI+)

Grzegorz Gawryszewski, Marek Fliśnik, OS

Puklina w Platni (V+)

Agnieszka Tyszkiewicz, Justyna Rajtar, Marcin Wernik, OS

Michał Kasprowicz, Waldek Żyliński, OS

Ania Radziejowska, Jakub Radziejowski, OS

Droga Puskasa (V)

Justyna Rajtar, Agnieszka Tyszkiewicz, OS

OSTERWA**Pavlin-Kracalik** (VI+)

Beata Bubik, Rafał Nawrot,

Michał Włodarczak, OS

WOŁOWA TURNIA Płd.**Orolin** (VII)

Michał Kasprowicz, Waldek Żyliński, OS

Stupid Wall (VII)

Michał Dziedzic, samotnie RP

Morobindus (VII-)

Michał Kasprowicz, Waldek Żyliński, OS

Michał Dziedzic, samotnie RP

Cesta platnami (VII-)

Michał Dziedzic, samotnie RP

Estok-Janiga (VI+)

Michał Dziedzic, samotnie RP

Puskas (VI+)

Michał Dziedzic, samotnie RP

Hviezdova Cesta (VI+)

Michał Dziedzic, samotnie RP

VEZA POD SKOKOM**Prostriedkom Z Stieny** (VI+)

Beata Bubik, Rafał Nawrot, OS

MŁYNARCZYK**Szewska pasja** (VII+)

Marcin Wernik, Wojtek Michalski (KWW), RP



Solista Korzeniak na zawsze w UKA fot. arch. M.Korzeniak



Morobindus, Valdi na prowadzeniu, Wołowa Turnia
 fot. M. Kasprowicz



Waldek Żyliński na *Orolinie*, Wołowa Turnia
 fot. M. Kasprowicz



Wojtas Michalski na *Szewskiej Pasji*, Młynarczyk
 fot. M. Wernik

ZIMA 2013/2014

TATRY POLSKIE

BULA POD BAŃDZIOCHEM

Kombinacja Jaspera (M8+)

Maciek Ciesielski, Adam Pieprzycki, Robert Rokowski,
 OS/RP

CZOŁÓWKA MSW

Księżęcy Raport (nowa droga 6, A1+)

Marcin Księżak, samotnie

Szare Zacięcie (7/7+)

Maciek Korzeniak, Maciek Ostrowski (KWW), OS

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA

Filar z Ostrogą (6, A1, 10.5h do szczytu)

Maciek Ciesielski, Rafał Mikler

Climb Machine (6+, z własnym war. prostującym za 7)

Marcin Księżak, samotnie

KAZALNICA MIĘTUSIA

Łowca Jeleni (nowa kombinacja + nowe 150m, pierwsze zim-klas przejście ściany, 8-)

Jakub Radziejowski, Marcin Tomaszewski (KWS), OS/RP

Jarek Kamer i zabawy na śniegu, Obóz UKA, Biała Woda
Zdjęcie zostało nagrodzone II miejscem w Konkursie UKA
w kategorii Zdjęcie okołowspinaczkowe
fot. Michał Kasprowicz



Na Szarym Zacięciu
fot. W. Ryczer

Aga Tyszkiewicz na Puklinie w Płatni – Łomnica
fot. Justyna Ratajczak

Łowcy Jeleni
fot. M. Tomaszewski

M. Tomaszewski na Łowcy Jeleni
fot. J. Radziejowski



KOCIOŁ KAZALNICZY**Parada Jedynek** (7+)

Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), OS

KOPA SPADOWA**Filar** (6-)

Maciek Korzeniak, Maciek Bedrejczuk (KWR), Maciek Ostrowski (KWW), OS

KOŚCIELEC**WHP 114** (5+)

Wojtek Ryczer, Maciek Ostrowski (KWW), OS

KOZI WIERCH**Filar Leporowskiego** (5+)

Wojtek Ryczer, Maciek Ostrowski (KWW), OS

MNICHOWE PLECY**Rysa Strzelskiego** (5)

Maciek Korzeniak, Maciek Janczar (KWW), RP

Wesołej Zabawy (4)

Maciek Korzeniak, Jacek Kierzkowski (KWW), OS

ŁAŃCUCHÓWKA**Filar Staszka** GRANATY + **Filar Leporowskiego**

KOZI WIERCH + **WHP100** ZADNI KOŚCIELEC

Maciek Ciesielski, Przemek Cholewa (n), Kuba Hornowski (KWZak)

TATRY SŁOWACKIE**GANEK****Filar** (6-)

Maciek Ciesielski, Przemek Cholewa (n), Kuba Hornowski (KWZak) (6.5h)

Michał Kasprówicz, Wojtek Ryczer, Maciek Ostrowski (KWW)

KACZY MNICH**Zasnuby** (6/6+ odhaczenie z V, A1)

Jakub Radziejowski, Mariusz Nowak, Grzesiek Figura (KW B-B), OS

KIEŻMARSKA KOPA**No a co** (5)

Jakub Radziejowski, Mariusz Nowak, OS

GÓRNY KIEŻMARSKI STRAŻNIK**Spomenka** (M6)

Jarek Gawrysiak, Adam Bielecki (KWKr), Jan Kuczera (KWK), OS

DOLNY KIEŻMARSKI STRAŻNIK**Rebel** (M5)

Jarek Gawrysiak, Adam Bielecki (KWKr), OS

ŁOMNICA**Kombinacja** dróg na wsch. ścianie, w tym nowy teren (6)

Jakub Radziejowski, Maciek Ciesielski, OS (7h)

OSTERWA**Ślimak** (4)

Wojtek Ryczer, Maciek Ostrowski (KWW), OS



Mariusz Nowak na *Zasnubach* na Kaczym Mniechu
fot. J. Radziejowski

Tatrzańska wariacja...

Agata Sosnowska

A jednak się rozpadało.

A przede mną ostatni, właśnie TEN piątkowy wyciąg Motyki.

Pochmurnym myślom mówię *arrivederci*.

Mgły przelewają się przez grań, deszcz zacina, słyszc niewyraźne grzmoty.

System rysek, woda tworzy w nich małe kolektory.

Balansowanie ciałem wyostrzone, stopnie sprawdzane dwukrotnie.

Ratuje myśl, gdzieś pojawiająca się z tyłu głowy, że to tylko V-tka.

Podniesienie ręki powoduje, że woda wpływa do rękawa, i swobodnie przemieszcza się pod moim mokrym ubraniem.

Jak jakiś obcy drenuje moje ciało.

Top. Lata praktyki – auto, stanowisko, lina gotowa do sprowadzenia partnera.

Już po bólu. Już nie ma strachu. Już nic nie może się stać.

★★★

Gdzie jestem? Jak długo trwał ten sen? Boże. Jaki ten sen był mocny!

W mieście tak nie śpię!

Gdzie jestem? Góry? Góry!

Jakiś dziwny zapach siarki (...).

Jakie góry? Jakie góry? Tak wyglądają tylko Tatry.

No dobra, jestem w Tatrach, ale co robię??

Ciągle ten zapach siarki (...).

Rozglądam się – stanowisko, lina, na stopach buty wspinaczkowe.

Tak ... pewnie się wspinam.

Z kim?

Jaka droga?

Zapach siarki słabnie (...).

Zaraz, zaraz, po kolei, bez paniki, bez paniki (...).

Chyba Zamarła Turnia, droga Motyki.

Ale z kim ja się do diabła wspinam!

Nie wiem, no nie wiem!

Dobra, zacznę wybierać linę, to się dowiem.

Jeszcze tylko czoło strasznie boli. Dotykam. Krew na dłoni.

Macam – rana nie jest zbyt duża, krwawienie nie jest obfite.

Hmmm... ki diabeł...

Wybieram linę.

O! I jest drugi członek zespołu. Mocno zdziwiona twarz wyłania się zza krawędzi.

Zapach siarki już się ulotnił (...).

★★★

Schodzimy. Już nie pada.

Szybka dwójka pobiegła pierwsza w dół przyprowadzić samochód spod Wiktorówek na Palenicę.

My zostaliśmy z tyłu trzymając umiarkowane tempo.

Tempo, które pozwala swobodnie rozmawiać, przy którym nie łapiasz powietrza jak ryba.

„Ty, sprawdź mi co mam z tyłu głowy. Jakiś taki dziwny guzek. Może kleszcz się wkręcił?”

Rozgarnianie fryzury. Spalona kępka włosów o powierzchni paznokcia małego palca.

Właściwie to stopiona kępka włosów i zaczerwieniona skóra.

„Wiesz, to nie było zaśląbnięcie. Rozumiesz. To był piorun. Walnął cię piorun, przez dziurę z tyłu kasku!”

★★★

– Imię najbliższej Ci osoby? (...) Tak, zgadza się.

– Jaki rok mamy? (...) Tak, zgadza się.

– Do jakiego klubu wspinaczkowego należysz? (...) Tak, zgadza się.

Nie widzimy niepokojących oznak, ale wracasz z nami jako pasażer, nie kierowca.

Ki diabeł wie...



... po uderzeniu pioruna fot. M. Wernik

Róbcie zdjęcia

Jacek Patrzykont

Czasem, wśród nawału ważnych i mniej ważnych codziennych działań, zdarzają się takie chwile, że sięgam do szuflady i wyjmuję z kopert stare fotografie i cofam się w czasie. Wprawdzie każda fotografia jest już historią, ale przy niektórych zatrzymuję się dłużej. Zapisane na nich chwile pamiętam lepiej.

Dziś są dwie, obie z zachodnią Kościelca w tle. Nie ma podpisu, ale wiem, że musi być to 1986-87 rok. Wrzesień? Byłem wtedy częstym gościem w Betlejemce, gdzie szefem był Piotrek Malinowski (Maliniak), późniejszy pierwszy naczelnik odnowionego TOPR-u. Miałem tam zdeponowany sprzęt i potrafiłem przyjeżdżać co dwa tygodnie. Tym razem byłem z Krzyskiem Bigdą (Bidonem) i z Piotrkim Waloszczykiem (Kukuła).

Dzień wcześniej, siedzący też w Betlejemce Janek Wolf i Ludwik Wilczyński, zrobili nową drogę na zachodniej Kościelca. Wieczorem opowiadali o drodze, że piękna skała, asekuracja dobra, ale rzadka. Zachęcali nas do powtórzenia. Cóż, gdy starsi koledzy proponują, nie wypada odmawiać. Dostaliśmy schemat narysowany przez Janka, dość lakoniczny i oszczędny w szczegóły.

Następnego dnia była lampa. Nie spiesziliśmy się z podejszciem. Lina – podciąg z Beزالinu – dawał poczu-

cie komfortu. Pierwszy wyciąg V+, potem kluczowy VI+. Prowadzenie kluczowego padło na mnie. O cholera, tego się nie spodziewałem. Wyszedłem nad stanowisko, asekuracja słaba i psucha też nie najmocniejsza. Zjechałem z jakiegoś haczyka do stanowiska i zaproponowałem zmianę na prowadzeniu. Nikt się nie kwapiał, ani Piotrek, ani Krzysiek. Ja też nie widziałem się dalej w roli lidera.

Zjechaliśmy w momencie, kiedy pod ścianą przebiegał Piotrek Malinowski. Cyk – zrobiłem zdjęcie Piotrka, cyk – zrobiłem zdjęcie zjeżdżającym chłopakom. Aparat Smiena był przez lata moim podstawowym elementem sprzętu. Światło było świetne w tym momencie i nie zawahałem się poświecić kilku klatek, choć „karta pamięci” miała tylko 36 klatek.

Poszliśmy na Kajkę, wszystko odbyło się sprawnie i szybko.

Po powrocie w Betlejemce, przyciśnięci pytaniami, Janek z Ludwikiem zeznali, że faktycznie może było więcej niż deklarowane VI+ , że w trudnościach Janek łapał się haka. Uff, chyba nie było z nami tak najgorzej.

Jedno, dwa zdjęcia, a tyle wspomnień.

Dwóch Piotrków i Janka już nie ma, Krzysiek od lat siedzi w Niemczech, Ludwik na wspinaczkowej emeryturze.

Tylko Kościelec stoi niezmienny.

Róbcie zdjęcia, proszę.

Wróćmy tu.
Zdjęcie wyróżnione
w Konkursie fotograficznym UKA
fot. Jacek Patrzykont





Podsumowanie sportowe UKA 2013

Bartek Jarosiewicz

Stefan Madej
na Sportlandzie
na Mściwoja
fot. W.Ryczer

Miniony rok był kolejnym bardzo udanym w wykonaniu naszych klubowiczów. Po dwóch poprzednich sezonach wiadomym było, że podniesienie poprzeczki będzie bardzo trudne. W tym roku było odrobinę słabiej, ale to „słabiej” oznacza nadal bardzo dobrze!

Mieliśmy udane starty i miejsca na podium Pucharu Polski oraz zwycięstwa w zawodach towarzyszkich. Mamy Mistrza Polski Młodzieżowców w Prowadzeniu. W klasyfikacji klubowej zajmujemy drugie miejsca w Prowadzeniu i Boulderingu, ustępując tylko Koronie Kraków. A to wynik uzyskany pod, spowodowaną kontuzjami, nieobecność kilku naszych zawodników.

W skałach najlepsza zawodniczka zrobiła 8a, a kilka innych dziewczyn dołożyło 7c. Faceci – bez zmian, tzn. padły kolejne V1.7 i 8c oraz boulderowe 8A+.

Marta Czajkowska przez większość sezonu borykała się z kontuzjami. Ale początek roku wykorzystała rewelacyjnie – w El Chorro poprowadziła drogę *El salto del tigre* wycenianą na 8a. Do tego dołożyła dwa zwycięstwa w zawodach towarzyszkich! Czyli sezon nie całkiem stracony.

Podobnie było z **Kubą Jodłowskim**. Gdy go spytałem czy coś zrobił w zeszłym roku, padła szybka odpowiedź: „nie, pokasowany byłem, prawie się nie wspinałem”. Jodłoś jednak po raz kolejny wygrał na Bloco ReOpen – obecnie najmocniej obsadzonej imprezie towarzyskiej w kraju. A na koniec chyba zaczął odzyskiwać formę, bo złapanie się do finału boulderowych Mistrzostw Polski na KFG nie może być przypadkiem.

Do finałów dużych imprez udało się awansować także **Ewie Załuskiej**. Do tego poprowadziła V1.5 na naszej Jurze, jednym słowem – dobry sezon.

Kolejna zawodniczka, która zapisała na swoje konto 7c to **Agnieszka Cudna-Ryczer**. Aga miała już poprowadzone V1.5, ale na „weście” do tej pory nie wspinała się na takim poziomie. Jej łupem padły dwie drogi w tym stopniu trudności: *Lany que ve tambe* w Rodellar i *Pint* w Ospie.

Kolejny udany sezon na swoim koncie odnotowała **Ania Thiele-Wieczorek**. Najmocniejszym prześciem Ani jest *Tele Tabbia Tanja* wyceniona na 7c, do której dołożyła kilka 7b+ oraz dwie 7b OS-em.

Wśród facetów w skałach najlepiej radził sobie **Szymon Łodziński**. Udało mu się poprowadzić drogę *Face de rat* 8a+ w Ceuse. Do tego w stylu RP przeszedł między innymi: *Floride* 8c i *Tripa de Conejo* 8b+. Warto dodać, że Szymon był także stałym finalistą Pucharu Polski w Prowadzeniu, w najlepszym starcie zajmując piąte miejsce.

Odrobinę słabiej (dosłownie o „plusika” w stylu OS) radził sobie **Stefan Madej**. Dwa najmocniejsze przejścia z tego sezonu to *Nie dla psa kielbasa* V1.7 na Pochylcu i *Missing Link* 8b+ w Ospie oraz trzy drogi w stopniu 8a OS-em na Sycylii. Stefan znów wykazał się niesamowitą konsekwencją jeśli chodzi o ilość trudnych przejść. Zawodnik ten ma w tej chwili na koncie (wśród klubowiczów) największą liczbę dróg w stopniu V1.6 i wyższym.

Do elitarnego grona 8c dołączył w tym roku **Maciek Bukowski** prowadząc drogę *Florida* w Rodellarze. Maciek ma na koncie także Mistrzostwo Polski w Prowadzeniu w kategorii młodzieżowców. Co prawda konkurencja w tej kategorii nie była bardzo silna, jednak warto zaznaczyć, że Maciek świetnie radził sobie w rywalizacji z seniorami. Na Mistrzostwach Polski w Krakowie był 11, co daje dobre prognozy na kolejne lata.



Maciek Bukowski w Siuranie fot. Artur Bukowski

Kolejny, bardzo mocny i równy sezon zanotował **Kuba Głównka**. Kuba był finalistą wszystkich imprez Pucharu Polski w Boulderingu, dwa razy kończąc rywalizację na trzecim miejscu. Poza dobrymi startami, Kuba wspinał się także na boulderach w skałach. W szwajcarskim Magic Wood zrobił *Unendliche Geschichte* 1 – 8A+. Trzeba zaznaczyć, że po *Kheopsie* Ziółka jest to drugi najlepszy wynik klubowicza na boulderach.

Swoją życiówkę OS-em podniósł w tym roku **Rafał Pawiński** wpinając linę do łańcucha na *Black Mama* 8a w St. Leger. Oczywiście nie jest to jego jedyne mocne przejście.

Świetny sezon startowy w juniorach młodszych zaliczył **Filip Chrapowicki**. Filip jest wicemistrzem Polski w Prowadzeniu, a w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski zajął pierwsze miejsce.

Drugim mocnym juniorem jest **Jerzy Laskowski**. Jerzy zajął 3. miejsce w Mistrzostwach Polski w Boulderingu, a w skałach poprowadził *Rain Man* 8a w Zillertalu.

Uff, wymienilem tylko ciekawsze przejścia i najlepsze wyniki, a i tak "trochę" się tego zebrało. Chciałbym jednak, aby kolejny sezon ułożył się trochę lepiej. Tak, żeby do „bardzo dobrze” dorzucić coś naprawdę ekstra ☺.

Zestawienie przejść sportowych 2013

Marta Czajkowska

OS

7b *Los siete Larrys*, El Chorro

Flash

7b+ *L'heure d'ete*, Gorges du Tarn

7b+ *The speed kings*, El Chorro

7b *El diablo perverso*, Gorges du Tarn

RP

8a – *El salto del tigre*, El Chorro

7c/c+ *Le zerquestreur*, St. Leger

7c *Action discrete*, Gorges du Tarn

7c *La napouse*, Gorges du Tarn

7c *Flash dance*, Misja Pec

7c *La fuite en avant*, St. Leger

Zawody

1. miejsce, MMA, Radom

1. miejsce, Sprawdź formę przed sezonem, Warszawa

Ewa Załuska

RP

VI.5 *Brutalny Trucht*, Podzamcze

VI.4+/5 *Supernova*, Podzamcze

7c *Action Discrete*, Gorges du Tarn

Zawody

4. miejsce, Bloco ReOpen, Warszawa



Ewa Załuska na *Supernovej*, Suchy Poleć fot. S. Madej

Agnieszka Cudna-Ryczer

OS

7a *Lola*, Rodellar

RP

7c *L'any que ve tambe*, Rodellar

7c *Pinot*, Osp

VI.4+ *Super Brudas*, Jura

7b+ *Minulet*, Osp

7b+ *Maria ponte el arnes*, Rodellar

7b+ *Sopas de ajo*, Rodellar



Agnieszka Cudna Ryczer podczas próby na *Nanouk* w Rodellar fot. W. Ryczer

Jerzy Laskowski podczas prowadzenia *Supernovej*,
Suchy Polec
fot. W. Ryczer





Maciek Bukowski w Rodellarze fot. W. Ryczer

Ania Thiele-Wieczorek**OS**7b *Matbaim*, Geyikbayiri7b *Big Turkey*, GeyikbayiriVI.3+/4 *Dymy nad Birkenau*, Podzamcze7a+/b *Toros*, GeyikbayiriVI.3+ *Telewizor*, RzędkowiceVI.3+ *Zapraszamy do Trójki*, Okiennik Wielki**Flash**VI.4 *Taniec Starca*, Dolina Bolechowicka**RP**7c *Tele Tabbia Tanja*, Geyikbayiri7b+/c *No money no dance*, Geyikbayiri7b+ *Black Moon*, Geyikbayiri7b+ *High Voltage*, Geyikbayiri7b+ *Fenster Mit Aussicht*, GeyikbayiriVI.4+ *Lonstar*, RyczówVI.4+ *Piekło jest we mnie*, Dolina WiercicyVI.4/4+ *Warszawskie Lekcje*, Rzędkowice**Anna Wysokińska****RP**7B *Petrolland*, Ailefroide7A *Maroual Chamak*, Ailefroide7A *D90*, Ailefroide7A *Forrest Gump*, Diabelskie schronisko**Szymon Łodziński****OS**8a+ *Face De Rat*, Ceuse8a *Carte Blanche*, Ceuse7c+/8a *A Media Esta L2*, Rodellar7c+ *Pota d'elefant*, Siurana7c+ *Peixa*, Siurana7c+ *Mirage*, Ceuse7c+ *Le privilège du serpent*, Ceuse7c+ *Makach walou*, Ceuse**RP**8c *Florida*, Rodellar8b+ *Tripa De Conejo*, Rodellar8b/b+ *Ixeia*, Rodellar,8b/b+ *A Media Esta L3*, Rodellar8b *Migranya*, Siurana, HiszpaniaVI.6 *Dyskopatia*, Jastrzębnik**Zawody**

5. miejsce, Puchar Polski w Prowadzeniu, Tarnów

7. miejsce, Puchar Polski w Prowadzeniu, Wrocław

8. miejsce, Mistrzostwa Polski w Prowadzeniu, Kraków

Stefan Madej**OS**8a *Mega Dave*, San Vito lo Capo8a *Evil lurks behind*, San Vito lo Capo8a *Cristo*, San Vito lo Capo



Agnieszka Cudna-Ryczer
na *Pinot 7c* w Ospię
fot. W. Ryczer

RP

VI.7 *Nie dla psa kielbasa*, Pochylec

8b+ *Missing Link*, Osp

VI.6+ *Ekspozycja szatana*, Pochylec

X *Minotaurus*, Frankenjura

8b *Soundgarden extension*, San Vito Io Capo

4x VI.6 oraz 7x VI.5+/6

Maciek Bukowski**OS**

7c+ *Les vielles glories*, Rodellar

7c+ *Made in mascun*, Rodellar

7c+ *El delfin*, Rodellar

7c+ *Amistad*, Rodellar

7c+ *Peixa*, Siurana

RP

8c *Florida*, Rodellar

8b/b+ *Botanics*, Rodellar

8b/b+ *Ixeia*, Rodellar

8a+/b *Espirit Rebel*, Rodellar (2 próba)

VI.5+/6 *Śnieżna Impreza*, Okiennik Wielki

VI.5+/6 *Chirurgia plastyczna*, Rzędkowice

VI.5+/6 *Ga-Ga Chwała Bohaterom*, Okiennik Wielki

VI.5+/6 *Gloria Victis*, Okiennik Wielki

8a+ *La cara que no miente*, Siurana (2 próba)

Zawody

1. miejsce, Mistrzostwa Polski Młodzieżowców
w Prowadzeniu, Kraków

1. miejsce, Puchar Polski Młodzieżowców w Prowadze-
niu, Wrocław

Kuba Główna**Flash**

7C *Jack the Chipper*, Magic Wood

7C *From darkness to sunshine*, Magic Wood

7C *Auf Messers Schneide*, Zillertal

RP

8A+ *Unendliche Geschichte 1*, Magic Wood

7C+ *La Chose*, Fontainebleau

7C+ *Hypothese*, Fontainebleau

7C+ *Down under*, Magic Wood

7C+ *Milewsky Crack*, Zillertal

VI.5 *Gdzie przykazał brak dziesięciu*, Dolina Wiercicy

VI.5 *Diabelska dogrywka*, Dolina Wiercicy

7c+ *Vogeln verboten*, Frankenjura

7c+ *Pretty Girl*, Frankenjura

Zawody

2. miejsce, klasyfikacja generalna Pucharu Polski
w Boulderingu

3. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu, Tarnów

3. miejsce, Puchar Polski w Boulderingu, Zakopane

6. miejsce, Mistrzostwa Polski w Boulderingu, Kraków

Rafał Pawiński**OS**

8a *Black Mamba*, St Leger

7c *Yin yang*, Geyikbayiri

7c *Out of control*, Geyikbayiri

7c *Nasenbar*, Geyikbayiri

7c *No money no dance*, Geyikbayiri

7c *Arsenik*, Geyikbayiri

7c *Les rifougneurs*, St Leger

7c *Ca ira mieux demain*, Venasque

RP

8b *Lahko noc irena*, Osp

8a+ *Troja*, Geyikbayiri

8a+ *Freedom is a battle*, Geyikbayiri

8a+ *Encore*, Ceuse

VI.5+/6 *Gloria victis*, Okiennik Wielki

8a *Oktoberfest*, Osp

Jacek Wacławczyk**OS**

7c/c+ *Rock'n'roll*, Misja Pec

Flash

7c/c+ *Le zerquestreur*, St. Léger

7c *La napouse*, Gorges du Tarn

RP

8a *Octoberfest*, Misja Pec

8a *Quand le blues l'emporte sur la raison*, St. Léger

7c+ *Planète groove*, Gorges du Tarn

7c+ *La bohème*, Gorges du Tarn

7c+ *Cheep sunglasses*, Adlitzgraben

7c *Preobrazba*, Misja Pec

7c *Pinot*, Misja Pec

7c *Moby dick*, St. Léger

7c *Flash dance*, Misja Pec

7c *Streetfighter*, Adlitzgraben

Michał Łodziński**OS**

7c *Cave cannam*, Sperlonga

7c *Placatti*, Sperlonga

7c *Vagabond d'occident*, Ceuse

RP

8a *Giljotina*, Osp

8a *Samsara*, Osp

8a *Oktoberfest*, Osp

8a *Invidia*, Sperlonga

8a *La mia nuova fidenzata*, Sperlonga

8a *La danza dei Cavalieri*, Sperlonga



Michał Łodziński na *Jądrze Ciemności* fot. W. Ryczer



Stefan Madej na *Nie dla Psa Kielbasa*, Pochylec
fot. W. Ryczer



Kuba Jodłowski w akcji fot. M. Nietupski

Krzysztof Banasik

RP

8a *Schattenlinie*, San Vito lo Capo

VI.5 *Science fiction*, Podlesice

7c+ *Cristo*, San Vito lo Capo

OS

7c+ *Lo chiamavano Trinità*, San Vito lo Capo

VI.4+ *Rynna Biernackiego*, Olsztyn

TRAD

VI.3 RP *Pajęczki*, Kołoczek

VI.3 OS *Cyklon B*, Rzędkowice

VI.3 OS *Rysa Opozdy*, Rzędkowice

Kuba Jodłowski

Flash

7c *Boys don't cry*, Siurana

RP

8a *Little Big Boss*, Gorges du Tarn

8a *Maree Bosse*, Gorges du Tarn

8a *La Ratotouille humaine*, Gorges du Tarn

Zawody

1. miejsce, Bloco ReOpen, Warszawa

4. miejsce, UKA 50/50, Warszawa

5. miejsce, Mistrzostwa Polski w Boulderingu,
Kraków

Jerzy Laskowski

OS

VI.3+ Skowyt, Podzamcze

VI.3+ Ani gniady nie da rady, Podzamcze

RP

8a Rain Man, Zillertal

VI.5 Grek korba, Podlesice

VI.5 Ommadawn Direct, Podzamcze

7c Streetfighter, Adlitzgraben

VI.4+/5 Supernova, Podzamcze (2 próba)

VI.4+ Niemyte dusze, Podzamcze

Zawody

3. miejsce, Mistrzostwa Polski Juniorów w Boulderingu, Toruń

5. miejsce, Mistrzostwa Polski Juniorów w Prowadzeniu, Tarnów

Filip Chrapowicki

OS

9 Windstrake, Frankenjura

VI.4 Prostowanie wariantów klasycznych, Jura

RP

7c+ Massaker, Frankenjura

7c Gill swing, Frankenjura

7b Tortuga, Osp

7b Reksi, Osp

Zawody (kategoria Juniorzy Młodszy)

1. miejsce, klasyfikacja generalna Pucharu Polski w Prowadzeniu

2. miejsce, Mistrzostwa Polski w Prowadzeniu, Tarnów

2. miejsce, klasyfikacja generalna Pucharu Polski w Boulderingu

Ludomir Zalewski

OS

7c Pipeline, San Vito lo Capo

6.3+/4 Pedal Steel Gitarre, Grochowicz

Flash

7c+ The Wish, San Vito lo Capo

7c Soundgarden, San Vito lo Capo

7b II Minotauro, San Vito lo Capo

VI.4 Prostowanie Henia, Rzędkowice

VI.4 San Quentin, Grochowicz

RP

7c+ Red Alert, San Vito lo Capo

VI.4+/5 Taniec Wędkarza, Rzędkowice

VI.4+/5 Nienasylenie, Dolina Będkowska

VI.4+ Mędrcy Tralfamandrii, Dolina Będkowska

7b+ Dee e socia, Arco

Michał Kulpiński

OS

7a+ La cri du papillon, Mont Dauphin

RP

VI.5+ Moce piekielne, Okiennik Wielki

VI.4+/5 Porozmawiamy o kobietach,

Góra Kołoczek

Wojtek Ryczer

RP

VI.5 Władca Pierścieni, Okiennik Wielki

VI.5 Maratończyk na krzywy ryj, Okiennik Wielki

7c Pinot, Osp

7c Nanuk, Rodellar

VI.4+/5 Supernova, Suchy Połec



Jacek Waclawczyk w sektorze Baleine w St. Legere
fot. M. Czajkowska



Zyga Stankiewicz na *Modrzewiowych Lotach*, Suchy Poleć fot. W. Ryczer

33

Bartosz Jarosiewicz

RP

7c+ *Red Alert*, San Vito lo Capo

7c *Soundgarden*, San Vito lo Capo

Michał Dziedzic

RP

7c *Soundgarden*, San Vito lo Capo

VI.4+ *Wodewil*, Góra Kołoczek

VI.4/4+ *Między nami Polakami*,

Góra Kołoczek

Piotrek Białas

RP

7b+ *La vita e bella*, Zillertal

VI.4/4+ *Sny o potędze*, Mała Cima

VI.4 *Kubanka*, Ptak

VI.4 *Prostowanie Henia*, Brzuchata

Turnia

Flash

VI.3+ *Magnetowid*, Turnia Kursantów

VI.3+ *Telewizor*, Turnia Kursantów



K. Banasik na *Rysie Opozdy* (DDS) fot. M. Dziedzic



Agama AD 2013

Małgorzata Kusztełak

Rok 2013 był dla sekcji UKA Agama pełen sukcesów. Nasz Klub zorganizował 2 edycje zawodów Pucharu Polski – Puchar Polski Dzieci i Młodzików we wspinaczce na czas i Finał Pucharu Polski Juniorów w boulderingu. Zawody udały się dzięki ogromnemu zaangażowaniu całej sekcji Agama i członków UKA, oraz hojnym sponsorom, którzy zafundowali wspaniałe nagrody.

Jak co roku, zorganizowaliśmy też zajęcia dla dzieci z domu dziecka (tym razem Mikołajki). Zarówno goście jak i organizatorzy świetnie się bawili.

Latem odbyły się aż cztery obozy w skałach. Dwa czerwcowe obozy – dla juniorów połączony z kursem wspinaczki skalnej oraz dla dzieci i młodzików – były na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej w Rzędkowicach.

W lipcu ze starszą grupą pojechaliśmy do l'Ailefroide, położonego w alpejskiej dolinie we Francji. Jest to raj dla boulderowców, wspinaczy skalnych i górskich.

W czasie obozu **Ola Lewicka, Michał Kulpiński i Wiktor Andino-Velez** po raz pierwszy w swej zawodniczej karierze wystartowali w zawodach międzynarodowych – w Pucharze Europy Juniorów w boulderingu w L'Argentiere la Besse. Wszyscy osiągnęli bardzo dobre rezultaty. Najlepiej poszło Michałowi, który rywalizując z najlepszymi wspinaczami w Europie zajął 17 miejsce.

Pod koniec sierpnia również nasi najmłodsi zawodnicy – **Ania Saloni, Bartek Winiarek, Mikołaj Jagielak i Mateusz Saloni** – pojechali się wspiąć do Arco, a przy okazji po raz pierwszy w życiu wzięli udział w zawodach międzynarodowych – w Rock Junior. Najlepiej z całej czwórki zaprezentowała się Ania Saloni, która zajęła znakomite 5. miejsce w konkurencji na czas, a całe zawody zakończyła na świetnym 12. miejscu.

We wrześniu pojechaliśmy całą sekcją Agama na ostatni w sezonie wyjazd w skały – na Stokówkę, gdzie wspinaliśmy się na drogach, oraz do Adamowa na bouldery.

W minionym sezonie nasi juniorzy wystartowali we wszystkich edycjach Pucharu Polski w boulderingu, a także w prowadzeniu i we wspinaczce na czas. Zaowocowało to znakomitymi rezultatami w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski i wysokimi wynikami w poszczególnych edycjach w każdej konkurencji.

Czwórka naszych juniorów i młodzieżowców – **Maciek Bukowski, Michał Kulpiński, Filip Chrapowicki i Ola Lewicka** – jest w kadrze narodowej:

Michał Kulpiński – w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski: 1 miejsce w boulderingu, 2 miejsce w prowadzeniu.

Filip Chrapowicki – w klasyfikacji generalnej: 1 miejsce w prowadzeniu, 2 miejsce w boulderingu.

Maciek Bukowski – zdobył tytuł Mistrza Polski Młodzieżowców w prowadzeniu, a w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski zajął: 3 miejsce

Ola Lewicka – w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski zajęła: 3 miejsce we wspinaczce na czas, 3 miejsce w boulderingu. Ola w Pucharze Polski Juniorów i Juniorów Młodszych w Tarnowie zajęła 1 miejsce.

W Pucharach Polski Dzieci i Młodzików UKA-Agama reprezentowała liczna grupa zawodników. W kategorii dzieci młodsze **Ania Saloni** kilkakrotnie wygrała zawody i zawsze stała na podium. W tym roku **Dominika Majczyk, Antek Gontarz i Maciek Klejman** również stanęli na najwyższym stopniu podium, a niemal z każdego zawodów wracali z medalami. **Grześ Urgacz**, ich młodszy kolega, zajął III miejsce startując w zawodach pierwszy raz.

Bartek Winiarek, który startował w kategorii dzieci, wywalczył dla Agamy i UKA między innymi aż 4 złote medale. Bartek zajął 3 miejsce w klasyfikacji generalnej PZA w prowadzeniu.

W grudniu dwójka najmłodszych członków Agamy – **Zuzia Gierczak i Jaś Grześkowiak** – zdobyli pierwsze miejsca w Zawodach Boulderowych dla dzieci do lat 7 na Crux.

Rok 2013 to również, a może przede wszystkim, przejścia w skałach. **Bartek Winiarek** (jeszcze jako 9-latek) poprowadził swoje pierwsze VI.1 i VI.1+ na Jurze, wspiął się w hiszpańskiej Cuence i w przepięknym rejonie Railay Beach w Tajlandii. **Ania i Mateusz Saloni**, pod opieką rodziców, poprowadzili swoje pierwsze drogi wielowyciągowe.

Wyniki juniorów w skałach są imponujące:

Filip Chrapowicki

Windstroke 9, Frankenjura 7c OS

Massaker Frankenjura 7c+ RP

Maciej Bukowski

El Delfin , Rodellar 7c+ OS

Amistad, Rodellar 7c+ OS

Made in Mascun , Rodellar 7c+ OS

Florida, Rodellar 8c RP

Michał Kulpiński

Moce Piekielne, VI.5+ RP

Porozmawiajmy o kobietach VI.5 RP

Tomek Zacharewicz

Bouldery:

Paranoid 7b RP,

Jujitsu 7a+ flash

Drogi:

Dostawca tlenu VI.4 RP

Bezdech na wydechu VI.4 RP

Bardzo dziękujemy naszym sponsorom – sklepowi „Climber”, oraz sponsorom organizowanych przez UKA zawodów: „Jutrzenka”, „Coffee Lovels”, „Prorock climbing”, hp, „Salewa” za wsparcie.

Dziękujemy też wszystkim rodzicom i członkom UKA, którzy pomagali przy organizacji zawodów.



Dominika Majszczyk w trakcie Pucharu Polski Dzieci i Młodzieży 2013 arch. Agamy



Warszawska edycja Pucharu Polski dzieci i Młodzieży w Warszawie – Maciek Klejman arch. Agamy

35



Puchar Europy Juniorów w boulderingu. L'Argentiere KADRA UKA - AGAMY arch. Agamy



Zabawy drągiem...

... czyli
efektywna
suplementacja
treningu
panelowego

Przemysław Dankiewicz,
Łukasz Korzeniewski
zdjęcia: Stefan Madej

Wstęp: charakterystyka ćwiczeń na przyrządach

W niniejszym artykule staraliśmy się skrótkowo przedstawić najpopularniejsze „zabawki”, które możemy znaleźć na większości ścianek wspinaczkowych w Polsce: drążek, chwytotablica, kampus, ścianka systemowa, drabina Bachara oraz modne ostatnio kółka gimnastyczne.

Stopień znajomości tego sprzętu i prawidłowego wykonywania ćwiczeń stale rośnie. Jeszcze niedawno tępe wykonywanie ćwiczeń na wyżej wymienionych przyrządach i stosowanie „gdzieś i od kogoś” zasłyszanych schematów sesji treningowej było codziennością. Dziś ustrukturyzowany trening, jasny cel i precyzja wykonania stanowią podstawę dobrej formy w zbliżającym się sezonie. Ba, coraz większe grono instruktorów kończy zajęcia zapewniając dodatkowe „atrakcje” na przyrządach. Mimo wszystko szkoda, że w porównaniu do zajęć na ścianie wspinaczkowej, często nie stanowią one oddzielnego dnia treningowego, kiedy możemy skupić się na wybranym przyrządzie poprawiającym nasze słabe strony.

Ćwiczenia wykonywane na przyrządach treningowych (inaczej zwanych trenażerami) możemy zakwalifikować do grupy ćwiczeń ukierunkowanych. Dla nas wspinaczy, oznacza to mniej więcej tyle, że nie są to ruchy ewidentnie wspinaczkowe (choć bardzo zbliżone), jednak sportowcy reprezentujący różne dyscypliny wpłatają w swój program treningowy ćwiczenia ukierunkowane (dla przykładu – biegacz narciarski trenujący na nartorolkach lub plotkarz wykonujący serię różnorakich „skipów” nad płotkami w sali gimnastycznej). Założeniem tego typu pracy jest rozwój poszczególnych zdolności motorycznych (np. wytrzymałość, szybkość) lub danej partii ciała (np. grzbiet, nogi, przedramiona), które są szczególnie przydatne w danym sporcie.

W większości nasze popisy na przyrządach mają za zadanie wyizolować dany mięsień lub grupę mięśni. Inną ważną cechą większości ćwiczeń jest wykonywanie ruchów w jednej konkretnej płaszczyźnie. Taki charakter pracy adaptuje naszą popularną „bułę” do zwiększonego wysiłku podczas wykonywania podobnych ruchów w realnych warunkach, czyli podczas wspinania. Ogromną zaletą jest to, że odpowiednio dobierając przyrząd, możemy skupić się np. na samych palcach, pozostawiając resztę ciała w spokoju. Podobnie rzecz ma się z bickami, przez brzuch aż po same łydki. Z drugiej strony, fani modnego ostatnio treningu stabilizacyjnego powiedzą, że konieczność stabilizacji jest tutaj wyłączona i nie dostosowujemy pracujących mięśni do różnych pozycji ciała. Trening z użyciem przyrzą-

dów często nie prowadzi również do rozwoju mięśni antagonistycznych (np. mięśniami antagonistycznymi naszych bicepsów odpowiadających za zginanie, są tricepsy, których zadaniem jest prostowanie), co może powodować kontuzje okolic stawów i przyczepów ścięgien. Dlatego apelujemy! Jeżeli łokieć golfisty, tenisisty lub innego bananowego sportowca cię nie dotyczy, to z pewnością niedługo zaczniesz, jeżeli nie będziesz rozwijać „antagonów” i nie zastosujesz się do podstawowych zaleceń zawartych w tym tekście.

Drążek

O ile o sukcesie w połogu i pionie może decydować siła/wytrzymałość palców lub ogólne napięcie ciała, o tyle wspinanie w przewieszeniu wymaga często nienagannej kondycji naszych bicepsów i mięśni pleców. Wg badań obciążenie ramion podczas wspinaczki w zmiennym nachyleniu zwiększa się z 43% w przypadku pionowej ściany do 62% w przypadku 10-stopniowego przewieszenia¹.

Podciągnięcie ciężaru naszego ciała na odpowiednią wysokość za pomocą ramion (jak również utrzymanie się na danym poziomie), umożliwia nam bardziej płynne i ergonomiczne wspinanie. Dzieje się to z reguły dzięki możliwościom jakie dają nam mięśnie pleców: wysokie wstawienie stóp, wydłużenie zasięgu górnych kończyn, bezpieczne wpięcie się w ekspres. Niekiedy statyczne, kilkusekundowe przytulenie się do ściany pozwala nam wymacać ratującą bułą klamkę, innym razem udany dynamiczny skok oburącz zapewnia nas i naszych kolegów, że „parametr” to wyświechtana wymówka.

Niewątpliwie najbardziej popularnym ćwiczeniem kojarzonym ze wspinaniem jest podciąganie się. To właśnie „silne plecy i biceps” zaraz po „mocnych palcach” są najczęściej wymienianymi przez laików atutami wspinacza.

O ile dla początkujących wspinaczy najprostszym trening na drążku – podciąganie z własnym ciężarem, może przynieść wyraźne rezultaty już po tygodniu ćwiczeń, osoby średnio i bardzo zaawansowane odczuwają progres jedynie poprzez odpowiednie zwiększenie obciążenia lub objętości. Należy jednak mieć na uwadze, że osoby rozpoczynające przygodę z tym sportem nie powinny stawiać ćwiczeń na przyrządach na pierwszym miejscu. Ich głównym celem powinno być: szlifowanie techniki wspinaczkowej, praca nad postawą i ogólnym napięciem ciała, trening mięśni przedramion, nóg i dolnych partii pleców.

¹ Noé, F.; Quaine, F.; Martin, L. (2001): Influence of steep gradient supporting walls in rock climbing: biomechanical analysis. Gait and Posture 13; 86–94

Szeroki wachlarz ćwiczeń na drążku umożliwia nam wyizolowanie i koncentrację na specyficznych partiach ciała (bicepsu, naramiennych, szerokich grzbietu, a nawet brzucha) i różnicowanie bodźców, którymi karmimy je podczas treningu.

To właśnie wyjście poza utarte schematy treningowe i implementacja niestandardowych ćwiczeń (tak często pomijane wśród osób odznaczających się znakomitą techniką, a stagnacją w formie) jest istotnym punktem dalszego rozwoju naszych możliwości.

Wychodząc z założenia, że proste podciąganie jest nam wszystkim dobrze znane, proponujemy następujące ćwiczenia różnicujące: trening przybłoków połączony z podciągnięciami, chwyt niesymetryczny (jedną ręką powyżej drugiej) oraz lubiana przez wszystkich - szmata (podciągnięcie na jednym ręką).

Dla kogo:

- osoby, które mają problemy w poruszaniu się w formacjach mocno przewieszonych i nie czują się komfortowo z krótkim czasem przybłoku,
- wspinacze odpoczywający po intensywnym treningu palców,
- osoby zainteresowane treningiem wyporów i wag (choć trening obu tych ćwiczeń na kółkach gimnastycznych może być efektywniejszy).

Zwiększanie obciążenia:

- trening hipergrawitacyjny polegający na zwiększaniu podnoszonego ciężaru (wyłącznie dla osób podciągających się więcej niż 15-20 razy, bez niedawno przeżytych kontuzji) i adaptacji systemu nerwowomięśniowego do zwiększonego obciążenia. Propozycja: 2-3 serie 2-3 razy w tygodniu po sesji treningowej,
- trening izometrii funkcjonalnej stosowany w ćwiczeniach przybłoków. Ideą jest wplecenie przybłoków (izometria) podczas podciągania (koncentryczna praca mięśnia) lub opuszczania (ekscentryczna)²,
- przyspieszenie wykonywania podciągnięć posłuży do rozwoju siły eksplozywnej (od 6 do 10 podciągnięć)
- zmiana ułożenia ramion w płaszczyźnie horyzontalnej (odstęp między dłońmi) lub wertykalnej (np. jedna ręka na sznurku poniżej drążka). Trening tylko dla osób, które mogą się podciągnąć przynajmniej 15 razy. Osoby o mniejszej sile mogą stosować odciążenie w postaci elastycznej taśmy lub pętli na nogę.³

² E. J. Hörst, Training for Climbing, Globe Pequot Press, 2003, s. 64

³ ibid., s. 65

Jak nie wykonywać ćwiczeń:

- nie schodź do w pełni wyprostowanych ramion – unikaj przeprostu,
- stosuj nachwyt, nie podchwyt,
- jak tylko poczujesz ból, zaprzestań ćwiczeń,
- nie porywaj się na drążek bez odpowiedniej rozgrzewki. Z uwagi na ochronną funkcję mięśni grzbietu (kręgosłup) praca przy nierozgrzanych mięśniach może prowadzić do poważnych kontuzji. Przed rozpoczęciem ćwiczeń zaleca się: skręty i skłony tułowia, krążenia ramion, inne elementy gimnastyczne rozgrzewające stawy i ścięgna górnych partii ciała,
- ruchy nie powinny być szarpane. Mięśnie grzbietu najlepiej są trenowane w tempie średnim i wolnym, ruch powinien odbywać się płynnie, koniecznie z wyeliminowaniem wszelkiej gwałtowności,
- często zaniedbywanym elementem jest właściwa pozycja i ułożenie ciała. Błędem jest robienie tzw. kociego grzbietu - wyginania w łuk dolnego odcinka grzbietu, wywołanego brakiem koncentracji i nadmiernym ciężarem użytym w ćwiczeniu.

Ścianka systemowa (system)

Określana często jako hybryda chwytotablicy i kamputu. Budowa jest prosta: przewieszony pod kątem od 25 do 35 stopni panel, na którym znajdziemy szeroki wachlarz chwytów (podobnie jak na chwytotablicy) i specyficzne małe stopnie wymagające precyzyjnej pracy stóp. Do kampusu upodabnia go wysoka dynamika wykonywanych przechwytów. Trening na ściance systemowej sprowadza się do łatwo replikowanych ćwiczeń na symetrycznie przykręconych chwytach, a jego istotą jest izolacja wybranych grup mięśni i poruszanie się po mikrostopniach. Zaletą tego typu treningu jest również wysoka kontrola intensywności, polegająca na możliwości dodawania ciężaru (najczęściej z pomocą kamizelki z żelazem) lub zwiększania powtórzeń. Inną ważną korzyścią, którą daje nam ścianka systemowa jest symetryczny trening lewej i prawej strony ciała, coś czego nie umożliwi nam zwykły bouldering.

Trening na tego typu przyrządzie umożliwia również wielokrotne ćwiczenie bardzo dziwnych pozycji ciała, co zapewnia szybszą adaptację organizmu niż w przypadku interwałów boulderowych o podobnym charakterze.

Częstą przeszkodą dla treningu przy maksymalnych obciążeniach są duże siły tarcia działające na skórę, powodujące jej szybkie niszczenie. W celu ominięcia tego problemu w ściankach systemowych zamiast chwytów wykonanych z żywicy epoksydowej, stosuje

się przyjemniejsze - drewniane, od dawna używane na kampusie.

Dla kogo:

- ścianka systemowa polecana jest w szczególności osobom, mającym braki w sile kontaktowej palców na wybranym chwycie,
- osobom skoncentrowanym na wybranej grupie mięśni lub sposobie wykonywania ruchu, umożliwia specyficzny trening wymagających wysokiej dynamiki,
- osoby, u których obserwuje się brak symetrii w rozłożeniu siły pomiędzy prawą i lewą stroną ciała.

Zwiększanie obciążenia:

- pionierem treningu systemowego i stopniowego zwiększania intensywności ćwiczeń jest Eric Hörst, który zrewolucjonizował scenę systemową autorskim pomysłem: Hypergravity Isolation Training (trening maksymalnej siły kontaktowej, 6 różnych typów chwytów) z zastosowaniem kamizelki obciążeniowej⁴,
- zwiększenie intensywności ćwiczeń w przypadku ścianki systemowej jest bardzo łatwe i polega m.in. na: zwiększeniu kąta nachylenia w stosunku do pionu, zmniejszeniu chwytów, zwiększeniu ciężaru z jakim ćwiczymy, zwiększeniu odległości ruchów, zwiększeniu liczby powtórzeń w serii i samych serii, zwolnieniu wykonywania ruchów.

Innym rodzajem izolującego ćwiczenia mięśni jest trening na ściance systemowej Moon. Jego cechą charakterystyczną jest standardowy kąt nachylenia panelu oraz set chwytów nakręcony wg ustalonego z góry schematu. Wymyślone kilkuruchowe bouldery pozwalają punktować nasze słabe strony, a dedykowana systemowi strona internetowa pozwala dzielić się naszymi pomysłami z innymi użytkownikami i wyceniać problemy. Dzięki systemowi wycen możemy kontrolować intensywność naszych ćwiczeń. 3 rodzaje chwytów (łódka, półzamknięty i otwarty pod różnymi kątami⁵).

Chwytotablica

Statyczne narzędzie tortur naszych palców zwane chwytotablą, zaraz po kampusie, posłuży nam do wytreningowania najbardziej wdzięcznych parametrów naszych fizycznych możliwości – siły palców i wytrzymałości siłowej palców. Determinują one, nie tylko nasze być albo nie być na przewieszonych, krawądkowych



fot. Stefan Madej

boulderach lub palczastych drogach bez stopni, ale również zapewnią nam szacunek w naszej rodzimej ładowni, głównie za sprawą popisów na pojedynczych palcach.

Chwytotablica, choć nie przysporzy nam wianuska uradowanych wielbicielek, jest bardzo wdzięcznym przyrządem pod kątem niskiej kontuzjogenności. Odnajdzie się na niej zarówno osoba początkująca, jak i zaawansowany wspinacz. Pierwszemu przypadną do gustu statyczne zwisy na większych chwytach, drugi natomiast będzie szukał granic swoich możliwości ćwicząc wagi na środkowych palcach. Jedno jest pewne – chwytotablica jest jednym z najbardziej wszechstronnych i zarazem najmniej kontuzjogennym przyrządem do treningu okołowspinackowego.

Na początku zmagani z treningiem zaleca się najzwyczajsze zwisy na największych chwytach z ciężarem własnego ciała lub odciążone podobnie jak na drążku – krzesłem lub taśmą. Urozmaicenie ćwiczeń powinno iść w parze wraz z długością stażu wspinackowego. Chwytotablica oferuje izolację pojedynczych lub podwójnych palców, statyczne zwisy, podciągnięcia oraz, odpowiednio zamontowana – wykonywanie innych ewolucji, takich jak podciągnięcia, brzuszki i wagi.

⁴ <http://www.nicros.com/training/articles/h-i-t-workout-details/>

⁵ <http://www.moonclimbing.com/blog/school/systems-training/>

Dla kogo:

- osoby o niskiej wytrzymałości siłowej palców,
- osoby, której zależy na izolacji dwóch lub jednego palca.

Zwiększanie obciążenia:

- Dave MacLeod przestrzega przed narwaństwem i podkreśla, że nasze palce nie są anatomicznie przystosowane do obciążeń jakimi je karmimy nawet przy zwisach. Zmniejszając ryzyko kontuzji rozłóżmy intensywność odpowiednio na tygodnie, miesiące i lata. Nie zapewni to znacznego wzrostu siły w krótkim okresie, ale przysporzy nam profitów w perspektywie roku lub dwóch lat⁶. Istotą wolnego treningu jest stopniowe przyzwyczajanie ścięgien, stawów i przyczepów do sił, które na nie działają, w przeciwieństwie do tkanki mięśniowej, która wymaga silniejszych bodźców,
- sposobem na odpowiedni przyrost ogólnej siły palców jest, podobnie jak na drążku, różnicowanie bodźców. Większość wspinaczy koncentruje się na sile danego chwytu (najczęściej zamknięty – łódka), zaniedbując inne (szczególnie chwyt otwarty),
- zwiększenie obciążenia w treningu siły wiąże się nierozdzielnie ze zwiększeniem intensywności – w wypadku chwytotablicy jest to (a) podwieszanie sobie żelaza (b) zmniejszanie chwytów (c) praca tylko nad jedną ręką (można odciążyć ciało np. taśmą do rehabilitacji). Szeroko wspomina o tym na swoim blogu Eva López⁷, która swego czasu podeszła do tematu naukowo. Jednorękim polecamy trening maksymalnej rekrutacji boulderowego koka z krainy kangurów Chrisa Webba Parsonsa⁸.

Jak nie wykonywać ćwiczeń:

- podobnie jak w ćwiczeniach na drążku unikamy przeprostów podczas zwisów, staramy się utrzymywać delikatne zgięcie w łokciach,
- nie targajmy się od razu na najmniejsze krawadki lub fakery. Budujmy siłę powoli, rozłóżmy obciążenie na cały rok.

Dla kogo:

- osoby zainteresowane izolacją jednego lub dwóch palców,
- zainteresowanym rozwojem siły lub wytrzymałości na chwytach typu oblak,

- w szczególności polecany początkującym, którzy chcieliby rozszerzyć trening na przyrządy.

Drabina Bachara

Przyrząd prosty jak budowa cepa, który pozwala nam na ćwiczenie mięśni ramion i tułowia oszczędzając palce. Spopularyzowany przez Johna Bachara (1957-2009) stał się u nas szczególnie doceniany przez początkujących i średniozaawansowanych wspinaczy, a niskie koszty budowy sprawiają, że zaraz po drążku i kampusie jest najczęściej budowanym przyrządem na ściankach wspinaczkowych.



fot. Stefan Madej

Sam autor przyrządu poleca ją po treningu siły (w jego wypadku po przywisach na chwytotablicy lub podciągnięciach z ciężarami) i wskazuje, że jest łatwym sposobem na podniesienie wytrzymałości siłowej, w szczególności mięśni grzbietu. Istotą wchodzenia po drabinie Bachara są naprzemienne, wolne i statyczne sięgnięcia lewą i prawą ręką do coraz wyższych szczebli bez użycia nóg, a po dojściu na samą górę zejście z wykorzystaniem przybłoków (początkujący zarówno przy wchodzeniu, jak i schodzeniu mogą podierać się nogami oraz dokładać do każdego szczebla drugą ręką).

⁶ D. MacLeod, Coach wise. Climbing demystified <http://www.mcofs.org.uk/assets/getactive/mcofs%20coachwise1%20by%20dmacleod%20%28web%20page%29.pdf>

⁷ <http://en-eva-lopez.blogspot.com/>

⁸ <http://www.climbing.com/video/chris-webb-parsons-hangboard-training-program/>

Każdy ruch powinien być wykonywany frontalnie.

Najsilniejszych zapraszam do spróbowania „Bachary królewskiej”, kiedy ruch do góry jest wykonywany na szmatach, a zejście polega na łapaniu się niższego drąga znajdującego na wysokości ud.

Dla kogo:

- w szczególności dla początkujących (wymagany nadzór nad prawidłową techniką!) oraz dla średniozaawansowanych,
- dla mających braki w przybłokach i wytrzymałości siłowej mięśni grzbietu.

Zwiększanie obciążenia:

- w zależności od odstępów między szczeblami możemy omijać co drugi,
- dorzucamy żelazo przy treningu siły,
- przy treningu wytrzymałości robimy więcej serii bez dotykania ziemi.

Jak nie wykonywać ćwiczeń:

- nie wykonujemy ruchów dynamicznie, nie wybijamy się,
- szczególnie uważamy przy schodzeniu, aby nie doprowadzać do przeprostu ramion, czego skutkiem mogą być przykre dolegliwości w stawie łokciowym
- niewskazane są również dynamiczne sięgnięcia do kolejnych szczebli, kiedy to również mogą się pojawić niekorzystne siły działające na łokieć.

Kampus

Sama nazwa może kojarzyć się nie tyle z ciężkim treningiem, co raczej z ciężkim melanżem rodem z filmów typu *American Pie*. Gdy jednak widzisz na ścianie moczara, który trzyma się dosłownie niczego (zarówno chwytów typu karta sim i chodzi tu o węższą krawędź tejże karty, jak i najpłytszej dwójki czy fadera), to prawdopodobnie dlatego, że zrozumiał różnicę pomiędzy



fot. Stefan Madej



fot. Stefan Madej

amerykańskim uniwersytetem, a istotą sprytnego urządzenia do rozwoju siły kontaktowej i eksplozywnej.

Pionierem i zarazem twórcą kampusu był Niemiec Wolfgang Gullich, a historia jego stosowania sięga lat 90. ubiegłego stulecia. Do płyty umocowanej pod kątem około 15-25 stopni przykręcił on poziomo drewniane listwy o takiej samej głębokości i szerokości odpowiadającej odstępom między ramionami. Kampus posiada około 8-10 listw w odstępach ok. 15-20 cm od siebie. Przede wszystkim mamy możliwość rozwijać siłę kontaktową palców, umożliwiającą skuteczne złapanie chwytu po strzale lub szybkim przechwycie. Rozwijamy także siłę eksplozywną ramion, pozwalającą nam na wykonanie dynamicznego ruchu w górę.

Największą zaletą kampusu jest niewątpliwie jego specyficzność. Przyrząd wymyślono w sposób typowy pod kątem treningu siły poprzez podobne technicznie i powtarzalne ruchy przy izolacji zaangażowanych mięśni.

Dla kogo:

- dla co najmniej średnio zaawansowanych wspinaczy, po dwóch, trzech latach regularnego uprawiania tego sportu,
- dla osób, u których braki w sile kontaktowej są na tyle duże, że uniemożliwiają ukończenie trudnej sekwencji głównie z uwagi na niemożność przytrzymania małych chwytów po strzale.

Jak nie ćwiczyć:

- przede wszystkim pamiętaj, że kampus jest silnie kontuzjogennym przyrządem, jeśli poczujesz ból, zakończ sesję treningową,
- nie przechodź do trudniejszych ćwiczeń, jeśli masz problem z łatwiejszymi,
- nie doprowadzaj do przeprostu łokci podczas zwisów,
- nie dotykaj kampusu, jeśli nie jesteś dobrze rozgrzany,
- jeśli dotarłeś do najwyższej listewki i nie masz siły schodzić w podobny sposób, rozgina ci ramiona

przy schodzeniu, lepiej zeskokcz i spróbuj ponownie wejść do góry,

- jeżeli masz zamiar ćwiczyć na kampusie, nie rób tego na koniec swojej wizyty na ścianie, po dwóch godzinach wspinania. Zrób taką sesję zamiast wspinania, ale po dobrej rozgrzewce, która pozwoli przygotować palce do przytrzymania małych chwytów, z którymi spotkają się na kampusie,
- robienie obwodu po obłakach w ramach rozgrzewki przed ćwiczeniami na kampusie nie będzie najlepszym pomysłem. Trzeba pamiętać także o schłodzeniu po takiej sesji, jeśli na koniec przejdiesz kilka dróg po większych chwytach, pozwolisz tkankom na szybszą regenerację.

Zwiększanie obciążenia:

- zmniejszenie głębokości listew,
- wydłużenie odległości pomiędzy listwami na których się poruszamy,
- szybsze wykonywanie przechwytów,
- ostateczną metodą na zwiększenie obciążenia jest podwieszenie żelaza. Ostrzegamy jednak, że ta forma jest jedną z najbardziej kontuzjogennych w treningu okółowspinaczkowym.

Kółka gimnastyczne

Ostatni z omawianych przez nas przyrządów zdecydowanie różni się od pozostałych. I tą różnicą nie jest ani nazwa, ani kształt.

Kluczem jest montaż. Wyobrażasz sobie serię na kampusie, który huśta się beztrudno na wszystkie strony? My też nie. Ale kółka takie właśnie są – posiadają tylko jeden punkt zaczepienia. Początkowo powoduje to same problemy, ale gdy podłapiesz nieco techniki i nauczysz swoje ciało odpowiedniej stabilizacji, da Ci to niesłychaną frajdę i uznasz, że jest to chyba najlepszy przyrząd do ćwiczeń ogólnorozwojowych, jaki można było wymyślić. Wymagają odpowiedniej równowagi, koordynacji, siły, mocy i dynamiki.

Z otwartymi ustami można oglądać zmagania najlepszych gimnastyków na igrzyskach olimpijskich i innych zawodach o zbliżonej randze. Jednak trzeba pamiętać o dwóch podstawowych rzeczach:

1. Jeśli rodzice nie zaprowadzili Cię na trening, gdy byłeś w wieku wczesnoszkolnym (ewentualnie ciut później), to nie masz szans być nawet w połowie tak dobrym, jak ci goście z TV.

2. Wcale nie musisz być tak dobry jak oni – wszak jesteś wspinaczem, a nie gimnastykiem! Życie zawodowych gimnastyków nie jest usłane różami, a wspinacz przynajmniej fajne ciuchy dostanie i zobaczy kawałek świata poza salą gimnastyczną.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt, o którym trzeba szczególnie pamiętać. Gimnastyk chcąc wykonać np. kołowrót (obrót wokół osi poprzecznej o 360 stopni) musi wprawić ciało w dość duży pęd, natomiast wspinaczowi zależy przede wszystkim na powstrzymaniu



fol. Stefan Madej

tego pędu – przypomnij sobie wszystkie sytuacje, kiedy kłęś wisząc w uprzęży, bo Cię „otworzyło” i nie dałeś rady ustabilizować pozycji, albo kiedy idąc przez okap okazało się, że chwyt może być dobry, ale „dupa za ciężka”. W większości przypadków to jednak nie ciężki zadek, ale słaby brzuch i kluczowe dla nas hasło – stabilizacja. Po prostu mięśnie stabilizujące Twoje ciało nie sprostały zadaniu. Dlatego wspinacz na kółkach powinien ćwiczyć stabilizację, i to należy przede wszystkim uwzględnić dobierając ćwiczenia.

A zrozumiano to już bardzo dawno i kółka chętnie stosowali tacy mocarze jak np. John Gill, już w połowie ubiegłego wieku. Ponoć nie było dla niego problemem wykonanie wagi poziomej czy przejście ze słabego zwisu przez wypór do stania na rękach.

Dla kogo:

- dla osób na każdym poziomie zaawansowania,
- dla osób mających braki w zakresie siły ogólnej,
- jako trening uzupełniający dla osób o palcach wyraźnie silniejszych od reszty ciała.

Jak nie ćwiczyć:

- zwracaj uwagę przede wszystkim na poprawność wykonywanych ćwiczeń,
- jeśli masz problem z utrzymaniem prawidłowej pozycji, zmniejsz liczbę powtórzeń kosztem prawidłowego wykonania,
- jeśli celem jest utrzymanie określonej pozycji przez określony czas, bądź rzetelny i nie zaczynaj odliczać zanim osiągniesz wymaganą pozycję,
- znajdź partnera do ćwiczeń – pomoże Ci on określić, np. czy Twoje plecy są proste, a nie wygięte w łuk albo podpowie, czy pozycja jest idealnie pozioma, itp.

Ćwiczenia

Generalnie można podzielić wszystkie ćwiczenia na kółkach na takie, w których kółka są wysoko i są to wszelkiego rodzaju zwisy, podciągnięcia, wagi, itp. oraz na te, gdzie kółka są nisko nad ziemią, a zadaniem ćwiczącego jest wykonanie klasycznej pompki, pompki na triceps, podporu, rozpiętek, itp. Wykonując różnego typu wagi poprawiamy naszą stabilizację, co pomaga nam skutecznie wspiąć się w dachu. Podciągnięcia czy zwisy pełnią tu funkcję podobną do ćwiczeń na drążku, ale angażujemy dodatkowo mięśnie tułowia odpowiedzialne za stabilizację ciała. Głównie będzie nam zależało, aby pobudzić rzadko angażowane mięśnie głębokie, szczególnie te w okolicy kręgosłupa, miednicy i jamy brzusznej.

Wstępem do teoretycznie trudniejszych ćwiczeń powinny być takie, które nie wymagają pełnej walki z grawitacją, tj. takie, w których pewne części ciała stykają się z podłożem. Mogą to być twoje stopy, kolana czy ręce. W zależności od tego jak mocno zredukujesz masę poprzez podparcie się, może drastycznie zmaleć trudność ćwiczenia – przy kółkach umieszczonych tuż nad ziemią, opierając się na kolanach, będzie łatwiej zrobić pompkę niż podpierając się stopami. Inną sprawą będzie ułożenie stóp – jeśli będą wąsko, jedna przy drugiej, będzie to wariant trudniejszy (działa jeszcze stabilizacja boczna, aby przeciwdziałać okręcaniu się w lewo i w prawo), a łatwiej będzie zrobić to ćwiczenie z szeroko rozstawionymi stopami. Jeżeli ćwiczenia z podporu w kłku są zbyt trudne, aby wykonać zadowalającą liczbę powtórzeń, poproś o asystę partnera, który gdy zaczniesz Ci brakować siły, pomoże nieco zredukować twój ciężar, np. podciągając twoje biodra.

Równocześnie do ćwiczeń na kółkach umieszczonych nisko, możesz też ćwiczyć zwisy i podciągnięcia oraz starać się zaadaptować mięśnie do wykonania najprostszych wag poziomych (plecami lub frontem równoległe do ziemi, ramiona skierowane w dół, tułów i nogi w jednej płaszczyźnie, poziomo). Próbując dojść do wagi można wspomagać się podgięciem jednej z nóg, aby nieco sobie ułatwić. Żeby urozmaicić podciąganie i angażować różne mięśnie tułowia, zmieniaj ułożenie kółek trzymając je raz równoległe raz prostopadle (możesz zmieniać to ułożenie co serię). Zwiększanie obciążenia w przypadku treningu na kółkach, wiąże się raczej nie z dokładaniem żelaza, ale z włączaniem ćwiczeń, które angażują mocniej dane partie mięśni zmuszając je do większego wysiłku. Jest to idea kalisteniki, czyli ćwiczeń, w których podstawowym założeniem jest wykorzystywanie własnego ciężaru w stopniowaniu ich trudności.

Wracając do samych ćwiczeń: sygnałem do przejścia na kolejny level będzie moment, kiedy jesteś w stanie przejść ze zwisu do podporu. Oznacza to, że powinieneś być w stanie wykonywać różnego typu poziomki (uniesienie nóg prostopadle do reszty ciała, a równoległe do podłoża) i wagi. Możesz próbować przechodzić do stania na rękach (w przypadku problemów z utrzymaniem równowagi, delikatnie oprzyj nogi o taśmę, do których przymocowane są kółka), co świetnie wzmocni okolice obręczy barkowej, a jeśli to się uda, próbować pompek w staniu na rękach. Zadbaj jednak o asystę partnera, bo gdy zawiedzie Cię chwyt w pozycji głową w dół, najlepsze co może Cię spotkać to wstawienie dwóch jedynek. A jak jesteś prawdziwym mocarzem spróbuj pozycji typu Balandin czy Carmona, ale to już nie jest miejsce na opisywanie tego typu figur.



Wspin w Val duogne fot. W. Ryczer

UKA w górach Świata

Podsumowanie AD 2013/2014

Maciej Kowalczyk

Nie wypada chyba zacząć od innego przejścia niż to, które w tym roku zasłużyło na wyróżnienie klubowej kapituły i nagrodę NUKA. Honor ten przypadł **Michałowi Kasprowiczowi** za pierwsze polskie przejście *Drogi Harvardzkiej* na Mount Huntington wraz z towarzyszami z Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego (kwiecień 2013).

Drugim wybitnym przejściem pochwalić się może **Marcin Księżak**, któremu wraz z **Przemkiem Cholewą**, **Andrzejem Sokołowskim** i **Jankiem Kuczerą** udało się poprowadzić nową drogę na zachodniej ścianie Tagveggen w norweskiej dolinie Litldalen (zima 2013).

Co do pozostałych wspinaczek wydaje się powtarzać tendencja widoczna również w zestawieniu taternickim – w tym roku staraliśmy się omijać najpopularniejsze miejscówki.

W 2012 roku bardzo dużo wspinaliśmy się w rejonie Mont Blanc. W minionym sezonie w Szamoniksie można było spotkać klubowiczów trochę rzadziej, za to na drogach naprawdę długich. Młodzi gniewni wybrali się łatwą drogą na piękna iglicę Aiguille de la Republique, za to trochę starszy, ale na pewno nie mniej gniewny, **Marcin Wernik** wraz z **Marcinem Księżakiem** i **Tomkiem Klimczakiem** przeszli słynny Filar Croza na Grandes Jorasses. Każde przejście na Żorach to wielka przygoda, było to więc z pewnością jedno z najciekawszych przejść minionego sezonu.

Również Dolomity zawsze miały w naszym podsumowaniu swoje miejsce. Tym razem choć nieco zapomniane, znalazły na szczęście swe miejsce w wykazie, dzięki przejściom **Michała Dziedzica** i **Zygi Stankiewicz**, którzy zrobili dwie drogi na potężnej ścianie Marmolady.

Pośród wszystkich klubowiczów, którzy poinformowali nas o swoich wspinaczkach wyróżnić trzeba na pewno **Rafała Nawrota**, który dokonał największej liczby przejść i to w bardzo wielu rejonach, zaczynając od Alp Delifnatu, poprzez Paklenicę czy Höllental, a na egzotycznym Meksyku kończąc.

Meksyk nie był jednak najdalszym miejscem, w jakie dotarliśmy. Zawitaliśmy aż do Patagonii. W 2012 roku cieszyliśmy się z wejścia **Kuby Radziejowskiego** na wierzchołek Cerro Torre, a w minionym sezonie (luty 2013) **Agnieszce Tyszkiewicz** z **Marcinem Wernikiem**, mimo słabej pogody, udało się zdobyć Aguja de l'S oraz Aguja Guillaumet. W Patagonii na jesieni 2013, działał też **Maciek Ciesielski**, który wraz z mocną wrocławską ekipą powtórzył drogę *Exocet* na Cerro

Standhardt. Kolejną daleką podróż – tym razem na *wild, wild east* odbyli latem **Krzyś Banasik** i **Kuba Borowski**. Chłopaki, wspierani przez **Przemka Klenta**, działali w Kirgistanie w rejonie Ak-Su. Mimo że główny cel nie został niestety osiągnięty, udało im się przejść trzy drogi w najczystszy styl.

Co roku na łamach BUKI gościmy też kilka przejść z zagranicznego obozu UKA. Tak też jest i w tej edycji – tegoroczny wyjazd odbył się w Bergell, u stóp Piz Badile, na którym Prezesowi **Kaliemu** wraz z **Arkiem Koszkim** udało się przełoić *Cassina*.

Wykaz przejść górskich 2013

Legenda

KWW – KW Warszawa

KWWr – KW Wrocław

KWK – KW Katowice

ALASKA

Michał Kasprowicz, Dawida Sysak (KWWr), Rafał Zajac (KWWr)

Mount Huntington, *Droga Harvardzka* (VI, 5,9, A2, lód 700, 1000m)



Wspinaczka na Mt. Huntington fot. M. Kasprowicz

ALPY DELFINATU

Rafał Nawrot, Marek Pawłowski

Le Meije, *Nous partions dans l'ivresse* (TD/6c, 450 m, RP)
Olan – Cantefort 2900 m., *Puree de rando* (TD/6a, 180 m, OS)

Tête de la Maye, Kombinacja *Une Maye à l'Endroit* i *De Maye en Pis* (TD/6b, 350 m, OS)

Aiguille Dibona, *Visite obligatoire*, (TD sup./6a+, 300 m, z Michałem Włodarczykiem OS)

Pointe 3323 – l'Olan, *Sentinelle Rouge* (TD/6c/7a, 350m, OS)

BAD GASTEIN

Michał Dziedzic, Paweł Fidryk

Ice Arena, *Federweissfall*, (WI4, RP)

Ice Arena, *Fenstergucker* (WI5, OS)



Polska Droga w Norwegii. Wspina się Marcin Księżak
fot. arch. M. Księżak

BERGELL

Agnieszka Tyszkiewicz, Monika Olejnik

Punta da l'Albigna, *Moderne Zeiten* (V, OS, miejsce III AF)

Punta da l'Albigna, *Steiger Route* (VI-, OS)

Bio Pillar, *Via Mikki* (VI, OS)

Rafał Nawrot, Michał Włodarczyk, Marek Pawłowski

Pizzo Spazzacaldera, *Via Felici* (6a, 345 m, OS)

Marek Kaliciński, Arek Koszek

Piz Badile, *Cassin* (TD, 6a, 800m, OS)

Jędręk i Krzysiek Kluziński

Piz Badile, *Nordkante* (IV, OS)

Spazzacaldera, *Via Leni* (6a, OS)

Ania Wieremiejczuk, Jędręk Kluziński

Piz Gamelli, *Flatron* (5b, OS)

DOLOMITY

Michał Dziedzic, Zygmunt Stankiewicz

Marmolada, *Don Quichote* (VI+, OS)

Marmolada, *Solda-Conforto* (VI+/VII-, OS, miejsce A0)



Michał Dziedzic na drodze *Don Quichote*
na Marmoladzie fot. Zyga Stankiewicz

FRANCJA, REJON MONT BLANC

Marcin Vernik, Marcin Księżak, Tomek Klimczak (KWW)

Grandes Jorasses, *Filar Croza* (Słoweński start) (M7, Iód 85st, kilka x AF/1xA0, grudzień 2013)

Marcin Księżak, Alek Barszczewski (KWW)

Aiguille des Pélerins, *Rébuffat – Terray* (M4+, 550m, OS)

Maciek Korzeniak, Witek Tafel, Jaś Sołyga

Aiguille de la République, *Voie Normale* (6c, 650m, OS)



Młodzież na szczycie Aiguille de la République
fot. M. Korzeniak



yeti®

SZUKAJĄC CIEPŁA

WWW.YETI.COM.PL

hoża51
CRUX

www.crux.boulder.pl

info@crux.boulder.pl

+48 536 221 878

NAJWIĘKSZA ŚCIANA BOULDEROWA
W CENTRUM WARSZAWY

GRUPY "START" DEDYKOWANE OSOBOM
POCZĄTKUJĄCYM: PIĄTEK, NIEDZIELA 18:00

KAMERALNA SIŁOWNIA

KAWIARNIA PRZY ŚCIANIE

SEKCJE WSPINACZKOWE NA WSZYSTKICH
POZIOMACH ZAAWANSOWANIA

CYKLICZNE ZAWODY **(B5)**

ZAJĘCIA JOGI

ZNIŻKI DLA UKA

Przemysław Klenio Klentak
na drodze *Missing Mountain 6b*, Pamir Pyramid
fot. arch. K. Banasik



Marcin Wernik, Maciej Ostrowski (KWW)

Breche du Roi de Siam, *Valeria* (IV, 4+, 400 m, OS)
 Frebouze, *North West Gully* (III, 500 m, OS)

HOLLENTAL**Rafał Nawrot, Agnieszka Borecka**

Grosshofen, *Himelsleiter*, (VI+, 330 m, OS)

KIRGISTAN**Krzysiek Banasik, Kuba Borkowski, Przemek Klentak (KWW)**

Central Pyramid, *A Better World* (6c, OS)
 Pointe 3500 (Pointe Nans), *And So on* (6b/c, OS)
 Pamir Pyramid 3700, *Missing Mountain* (6b, OS)

MEKSYK**Rafał Nawrot, Waldek Żyliński**

Pena de Bernal, *El lado oscuro de la luna* (5.10a, 300 m, OS)

NORWEGIA**Marcin Książak, Jan Kuczera (KWK)**

Bula pod Goksoyrą, *Ice Forest* (M5+, WI4, 450 m, OS)
 Mardalsfossen (WI6, 300 m, OS)
 Brudesloret (WI5, 450m, bez ostatnich 50m, OS)
 Togveggen, nowa linia *Droga Polska* (M7, VI+, A1+, 700 m),
 z Przemkiem Cholewą i Andrzejem Sokołowskim
 (KWWr)

PAKLENICA**Rafał Nawrot, Marek Pawłowski**

Veliki Cuk, *Water World* (6a+, 170 m, OS)
 Anica Kuk, *Kaca* (6a+, 350 m, RP)



Marcin Książak podczas przejścia Filara Croza
 fot. arch. Książak, Klimczak, Wernik

PATAGONIA**Maciek Ciesielski, Mariusz Serda (KWWr), Andrzej Sokołowski (KWWr), RP**

Cerro Standhart, *Exocet* (7b+, 450m, OS)
Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik
 Aguja de l'S, *Droga Austriacka* (6a, OS)
 Aguja Guillaumet, *Brenner-Moschioni* (6b, OS/FL)

Bad Gastein, Pawka Fidryk w akcji
 fot. M. Dziedzic



Śniegi i lody Alaski

Przygoda na Mt. Huntington

50

Tekst i zdjęcia:
Michał Kasprowicz

Jest początek kwietnia, wyruszam
na kolejną górską przygodę.
Najbardziej boję się lawin i mrozu...

Wydarzenia sprzdy kilku tygodni, które miały miejsce na weekendzie integracyjnym UKA w Białej Wodzie, dały mi dużo do myślenia. Wtedy to podczas podejścia pod próg Doliny Ciężkiej, porwała nas lawina. Po prostu przykryła nas fala śniegu, bez ostrzeżeń, głuchych tąpnięć itp. Nie mieliśmy żadnej kontroli nad tym co się dzieje. Na szczęście po kilku sekundach żegnania się ze światem żywych, zostaliśmy wypłuci na powierzchnię.

Na Alasce panuje jeszcze sroga zima, masyw Denali słynie ze swojej śnieżności, a temperatury w kwietniu spadają poniżej -30°C .

Mały czteroosobowy samolotik mknie miotany podmuchami wiatru w stronę górującego nad otoczeniem Denali. Nasza taksówka (Talkeetna Air Taxi), dzięki płozom przymocowanym przy kołach, ląduje w górnej części lodowca Tokositna u podnóża zachodniej ściany Mt. Huntington.

Wyskakujemy z samolotu prosto w śnieżną toń, zapadamy się po kolana wyrzucając graty na śnieg. Nasz pilot Paul Roderick wskazuje na wypłaszczenie i mówi, że nigdy nie widział tu szczelin, sugerując miejsce na obóz.

Po krótkiej chwili żegnamy się słowami: *see you in two weeks*.

Waldorf, Dawid i ja zostajemy sami. Samolot niczym mała zabawka sterowana radiem unosi się nad lodowcem i chwilę później znika za granią. Otoczenie zapiera dech w piersi, szczyty są ogromne, śniegi nietknięte ludzką stopą (no przynajmniej w tym sezonie ☺).

Namiot bazowy wkopujemy i obudowujemy bryłami śniegu, aby lepiej chronić się na wypadek silnego wiatru.

Przejęci słowami pilota, przypinamy narty i idziemy ubijać pas startowy, który w razie jakiejś awarii będzie niezbędny do naszej ewakuacji. Czynność tę będziemy powtarzać niemal codziennie w ramach porannej i wieczornej rozgrzewki.

Pierwszy wieczór zaskoczył nas nagłym przenikliwym chłodem. O ile w ciągu dnia na słońcu było wręcz sielankowo, to w chwili, gdy słońce zachodziło za grani, około godziny 19-tej, natychmiast robiła się lodówka. Przez pierwsze dni poznawaliśmy okolicę, wytyczaliśmy ścieżki na lodowcu i podejście pod ścianę.

Mount Huntington jest uważany za jedną z najpiękniejszych gór na Alasce. Szczególnie pięknie prezentuje się z lotu ptaka, ze swoją północno zachodnią granią – drogą pierwszych zdobywców. Góra ma wysokość 3732 m n.p.m., a zdobyta została dopiero w roku 1964 przez zespół Lionela Terraya. *North West Ridge* jest pierwszą i najłatwiejszą technicznie drogą na szczyt, jest ona jednak najdłuższa i dość niebezpieczna, ze względu na liczne nawisy po obu stronach grani.

My zdecydowaliśmy się na *Drogę Harwardzką* (VI, 5.9, A2, 75° 1000 m). Wymaga od wspinaczy wszechstronnych umiejętności: wspinaczki w skale, lodzie oraz hakówki.



Żegnamy się z Pauliem, zobaczymy się ponownie za dwa tygodnie



Lajtowe popylanie po betonie – środkowa część ściany

★★★

52

Prognozy pogody na kolejne trzy dni były optymistyczne. Brak opadów, przyzwoite temperatury (tj. ok. -20°C), postanowiliśmy więc wbić się w upatrzoną drogę. Dzień wcześniej wynieśliśmy część sprzętu pod ścianę, wieczorem rozdzieliliśmy resztę szpeju i jedzenie między siebie, wszystko było dopięte na ostatni guzik. W nocy nie mogłem zasnąć podekscytowany zbliżającą się akcją górską, zastanawiałem się, co przyniosą kolejne dni.

Rankiem, zazwyczaj największym bólem było opuszczenie ciepłego śpiworka, ale tym razem pobudka poszła nam bardzo sprawnie. Szybko uwinęliśmy się z gotowaniem i wraz z nastaniem świtu ruszyliśmy na nartach w kierunku ściany.

Po przekroczeniu szczeliny brzeżnej wspinamy się z lotną asekuracją polami lodowymi pokrytymi trzydziestocentymetrową warstwą twardego śniegu. Waldorf z rzadka asekuruje się ze śrub, każdy punkt wymaga mozolnego przebijania się do lodu. Poruszamy się dość żwawo, mimo to marzną nam stopy i dłonie, ciągle jesteśmy w cieniu, chociaż słońce rozgrzewa wszystko dookoła.

Chwilami, na całej długości liny nie mamy żadnego przelotu, a na bardziej stromych odcinkach śnieg wyjeżdża nam spod nóg. Kolejne kilka wyciągów wspina-

my się lodowym kulaurem, lód twardy, alpejski, asekuracja super, śrubka co 8-10 metrów, humory nam dopisują, zbliżamy się do zalanej słońcem, śnieżnej platformy.

Za przełamaniem grańki, na prowadzenie wychodzi Dawid. Mając do wyboru kominiek za 5+ i przewieszającą się ryskę za C2, wybiera ten drugi wariant i to go w stylu A0. Każdy z nas wspina się z ciężkim worem, przez co mamy ograniczone możliwości wspinaczki klasycznej.

Mimo to, trochę dla zabawy, trochę dla przyspieszenia wspinaczki, mając oczywiście linę z góry, pokonuję ten fragment czysto (będzie ok. M7). Następnie wyciągi o charakterze śnieżnym i mikstowym doprowadzają nas pod skalną barierę zwaną „Nosem”. Tutaj Dawid przygotowuje platformę pod namiot, ja z Waldorfem zabieramy się za haczenie.

Przy pierwszym podejściu, zsuwam się po stromej płycie w śnieg, nie bardzo wiem jak ugryźć ten fragment. Chwilę później puszcza mnie z lewej strony.

Wspinam się dość szybko, na początku A0 i na dziabach, a następnie w przewieszeniu wieszam ławy. Szeroka rysa daje możliwość osadzenia dobrych przełotów z friendów i kości (C2 – czyli *clean climbing*).

Słońce chyli się ku zachodowi, w suchej skale jest przyjemnie, a nawet ciepło. Po wyjściu z przewieszki, wspina się pionową szeroką rysą, piątkowe trudno-



Pola śnieżno-lodowe na Drodze Harvardzkiej

ści, na lekko, dają mi wiele radości. Przez chwilę kontempluję otoczenie: po lewej, na wyciągnięcie ręki (jakieś 6 mil w linii prostej) dominuje skąpany w późnym słońcu Denali, z prawej strony Idiot Peak ze swoją północną ścianą przeoraną śnieżnymi rynnami.

Stanowisko montuję w ostatnich promieniach słońca, myślę sobie: co za dzień, wszystko idzie zgodnie z planem, za chwilę stanie nasz namiot, będziemy gotować, pić, jeść – takie drobnostki, a dają tyle radości.

Zakładam poręcz z zjeżdżam do moich towarzyszy. Dawid dalej walczy z twardym lodem, wciąż brakuje terenu pod namiot. Po zmroku stawiamy nasz domek, w międzyczasie topimy śnieg na picie i liofilizaty, zmęczeni odpływamy w objęcia nocy.

Śpimy w uprzęchach wpięci do punktu centralnego, namiotek częściowo wisi nad przepaścią, w środku mamy bardzo ciasno, ale może dzięki temu całkiem ciepło.

Ranek jest pogodny i bardzo mroźny, uwijamy się z gotowaniem i podchodzimy po poręczówkach do ostatniego stanowiska. I tu nadchodzi pierwsze załamanie, w wyniku nieporozumienia, jedna z lin znika w czeluści. Przez moment jesteśmy w szoku.

Znajdujemy się w 2/3 wysokości wielkiej ściany, we trzech z jedną liną 60 m, zastanawiamy się co robić? Wycofać się póki czas, czy wspinać się na jednej żyłce, ryzykując kosztowny powrót ze szczytu.

Chwilę później wspinam się w kierunku szczytu, różne myśli krążą mi po głowie, lecz jedna z nich jest przewodnia: jak najszybciej do góry. Waldorf zmienia mnie na śniegach podszczytowych, mam chwilę dla siebie. Piję, a w zasadzie wyciskam galaretkę z bidonu, podziwiam majestatyczne otoczenie. Po horyzont ciągną się poszarpane szczeliny lodowce. Nie dziwię się, że bardziej aktywna eksploracja tych gór ruszyła dopiero w drugiej połowie XX wieku, kiedy to małe samoloty zaczęły latać w masywie Denali. Nie wyobrażam sobie podejścia lub zejścia takim lodowcem.

Kolejny moment zawahania mamy na grani szczytowej, gdzie drogę na upragniony wierzchołek zagroził nam przewieszony serak. W przewodniku widnieje opis: niebezpieczna grań z pionowym lub przewieszonym śniegiem. Pomimo strachu i zmęczenia Waldorf sprawnie rozprawia się z nieprzyjemnym śniegiem.

Na szczycie stajemy 20 kwietnia o godz. 19.25

★★★

Z wierzchołka schodziliśmy z lotną asekuracją aż do zmroku. W nocy Dawid bardzo sprawnie poprowadził zjazdy, idealnie czytając teren, dzięki czemu nawet z krótką liną, często na styk dojeżdżaliśmy do kolejnego miejsca pod stan z abalakowa.



Snow Climbing - zdjęcie wyróżnione główną nagrodą w konkursie fotograficznym UKA

54

Do biwaku dotarliśmy o 3 nad ranem, wychłodzeni, zmęczeni, ale szczęśliwi.

Pogoda nadal była doskonała. Przed snem, leżąc już w ciepłym śpiworku, uchyliłem wejście do namiotu.

Na mroźnym granatowo-czarnym niebie skrzyły się miliony gwiazd, poczułem jak schodzi ze mnie napięcie minionych dwóch dni, a może i tygodni przedwyjazdowej szarpaniny.

Było warto. Wiedziałem, że jest to jedna z tych krótkich chwil, za którą będę tęsknił i zapamiętam ją do końca życia.

Po biwaku wstaliśmy niewczesnie, w dół ruszyliśmy około południa. Słońce dodawało nam animuszu, podczas zjazdów żartowaliśmy sobie, że utrata liny to był zamierzony zabieg Waldorfa w myśl trendu wspinaczkowego „Lite and Fast”.

Po czterech zjazdach odnaleźliśmy zgubę zahaczoną o skałę i w jeszcze lepszych humorach pomknęliśmy w dół. Do namiotu bazowego dotarliśmy w ostatnich promieniach słońca.

Na lodowcu pojawiły się dwa zespoły Amerykanów, gratulacjom nie było końca. Dwa kolejne dni „lizaaliśmy rany”, gotowaliśmy się, wylegiwaliśmy się, planowaliśmy kolejne „wycieczki”.

★★★

Gotowanie na lodowcu nieco różni się od zwykłego pichcenia w plenerze i zasługuje na osobny artykuł. W naszym przypadku, całe jedzenie po pierwszej nocy na lodowcu było jak z głębokiego mrożenia. Ryby, groszek, kukurydza, oliwa, wszystko to wymagało obróbki cieplnej, żeby w ogóle wydostać to z puszek. Jajka obieraliśmy ze skorupki jak ziemniaki, chleb rozgrzewaliśmy nad parującą herbatą, a ser żółty lupaliśmy na kawałki śrubokrętem do wiązań narciarskich. Wszystko to wymagało mnóstwa czasu i energii, na szczęście mieliśmy trzy galony paliwa do maszyny. Nasz dzień bazowy często ograniczał się do gotowania, gdy kończyliśmy śniadanie trzeba było podgrzewać puszki na obiad i tak w kółko.

★★★

Prognozy wskazywały na dzień, może dwa dobrej pogody, postanowiliśmy spróbować swoich sił na drodze *Colton-Leach*, która przecinała środek zachodniej ściany Huntingtona.

Droga startowała 500 metrowym kuluarem lodowym o nastromieniu do 90 stopni. Wspinanie było wy-

śmienite, lód bardzo twardy, asekuracja ze śrub bezpieczna.

Tylko łydki trochę nas bolały od ciągłego stania na przednich zębach raków. Po wyjściu z kuluaru, droga trawersowała ścianę w kierunku szczytu.

Późnym popołudniem zaniepokoiły nas chmury soczewkowe na horyzoncie, trzy godziny później tuż przed zmrokiem rozszalało się śnieżne piekło. Wiał silny wiatr, śnieg sypał w poziomie, siekając nas po twarzach; podjęliśmy jedyną słuszną decyzję w tych warunkach, czyli wycof.

Wycofywaliśmy się z $\frac{3}{4}$ wysokości ściany przez niezany teren. Zjazdy okazały się nieprzyjemne, często diagonalne, a liny wystarczały na styk. Pozostawiliśmy w ścianie kilka haków i kości, na szczęście większość stanowisk była z *abalakowów*. Kolejny raz pochwała należy się najmłodszemu w zespole Dawidowi, który moim zdaniem, jest mistrzem zjazdów nocnych w nieznanym terenie.

Z pewnością na długo w pamięci pozostanie mi moment, w którym wypinam się z przelotu kierunkowego i lecę w czelusz krzesząc rakami snopy iskier po skale, po czym z impetem zderzam się ze ścianą. Sam nie wiem, jak cienki haczyk wytrzymał te harce. Po kilku godzinach walki, rękawice pokryły się lodem, były sztywne i nie dawały ciepła. Coraz częściej traciłem czucie w dłoniach, wiatr nas wychładzał. Przypominał



Pierwsze polskie wejście na Mt. Huntington stało się faktem. Od lewej autor, Waldorf, Dawid

mi się fragment filmu „Czekając na Joe”, kiedy to Joe Simpson wisząc na linie, nie był w stanie założyć zmarzniętymi rękoma prusika. Chwilami ogarniała mnie bezsilność.



Zachodnia ściana Mt. Huntington



Ubijanie pasa startowego traktowaliśmy jak codzienną rozgrzewkę

Ostatnim etapem naszej gehenny było zejście stromym zboczem na lodowiec, schodziliśmy z duszą na ramieniu, spod nóg urywały się deski śnieżne, czuliśmy jak cały stok „pracował” po świeżych opadach śniegu. Do namiotu bazowego dotarliśmy tuż przed świtem.

★★★

Następnego dnia, pozostali na lodowcu Amerykanie zaprosili nas na wieczorek zapoznawczy. Chłopcy byli dobrze przygotowani, mieli karton wina i butelkę Burbona.



Wyciąg mikstowy poniżej Nosa
fot. Waldorf

Opowiadaliśmy o naszych wspinaczkach, o Polsce, Tatrach i Karkonoszach. Oni z kolei zachwalali amerykańskie ogródki lodowe.

Niesamowicie, kiedy ludzie z dwóch różnych światów, z tą samą pasją i żarem w oczach opowiadają o wspinaniu. Później, chłopakom udało się zrobić drogę *West Face Couloir*, też na Huntingtonie.

Przez telefon satelitarny umówiliśmy lot na kolejny dzień, pod warunkiem poprawy pogody. Samolot zabrał nas dwa dni później.

W Talkeetnie – małej miejscowości położonej na granicy parku narodowego Denali spędziliśmy weekend. Do dziś wspominam: piękne dziewczyny z Alaski spotkane nad rzeką, pyszne hamburgery serwowane w West Rib Pub i imprezę z muzyką na żywo w Fair View Inn. Gorąco polecam.

Uczestnicy:

- ✦ Dawid Sysak, KW Wrocław
- ✦ Rafał Zajac „Waldorf”, KW Wrocław
- ✦ Michał Kasprowicz, UKA Warszawa

Podziękowania:

- ✦ Dla Karolki za to, że jest i mnie wspiera.
- ✦ Dla załogi Apteki Fabrycznej za wyrozumiałość i kibicowanie.
- ✦ Za wsparcie finansowe i sprzętowe dla UKA, PZA, HiMountain, adidas i Money's Grip.

PRZYGOTOWANY OD PODSTAW ELEGANCKI LAYOUT

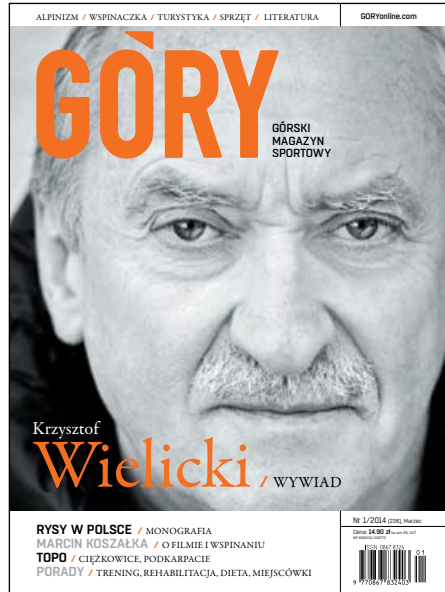
NOWE

BOGATSZE TREŚCI
monografie, wywiady

**OBSZERNE
SKAŁOPLANY**
i blok poradowy

144 STRONY

Premiery ekskluzywnych wydań 144-stronicowych:
marzec · maj · wrzesień · grudzień
oraz **lipiec**: KULTOWY NUMER TATRZAŃSKI
październik: SPECJALNY NUMER „GÓRY ZIMA”



makak

ARENA wspinaczkowa MAKAK

**WKRÓTCE
OTWARCIE!**

**1000 m² POWIERZCHNI,
PONAD 100 DRÓG!
ZAJĘCIA DLA DZIECI
KURSY I SEKCJE
SKLEP I WYPOŻYCZALNIA SPRZĘTU
ZNIŻKI DLA CZŁONKÓW UKA!**

ZNAJDZIESZ NAS TUTAJ:
ul. Palisadowa 20/22
(autobusy 181, 303, 701)
info@arenamakak.pl,
tel 731 999 149
www.arenamakak.pl

Cassin

Letnia przygoda

Marek Kaliciński



fot. arch. M.Kaliciński

Tatry. Lipiec 2013

Jedziemy z Arkiem gondolką na Łomnicką przełęcz. Przed chwilą na stacji kolejki spotkaliśmy Aśkę i Jarka Kameronów. Zaliczyli nieplanowany biwak na Kieżmarskim. Noc ciepła, rozgwieżdżone niebo, romantyczna atrakcja dla żony. Żałę się, iż od lat nie miałem w górach żadnych przygód. Ani nieplanowany kibel, ani załamanie pogody czy spektakularny lot. Nawet porządnego wycofu nie było. Wszystko szło tak jak zaplanowałem, a w obecnych czasach planować można coraz lepiej – numeryczne prognozy pogody, internet w komórce, coraz dokładniejsze schematy, fora dyskusyjne, blogi, opowiadania. Jak się uprzemy to nawet znajomych nie ma o co pytać. Do tego wszystkiego człowiek coraz bardziej doświadczony, roztropny, słabszy (więc i cele wybiera z większym zapasem). Jak nic, wszystko przeciwko przygodzie.

Dosyć żali. Podchodzimy pod przełęcz. Prognoza pogody znakomita. Lampa na 100%. Upajamy się oko-

licznościami przyrody. Kawalek ferratki – tu można trochę podżyć, i już jesteśmy pod ścianą. Tym razem cel bardzo rekreacyjny. Chcemy wyrobić się do południa aby wrócić jeszcze o ludzkiej porze do Wawy. Idziemy na *Puskása*. Piątkowa droga, częściowo ubezpieczona, idzie jak po sznurku, aż tu nagle. uderz w stół, a nożyce się odezwą.

Nie wiadomo skąd przypałała się chmura burzowa i już mamy deszcz, grzmoty, błyskawice. Jeszcze nigdy nie wspinałem się w takiej zlewie – cały wyciąg atrakcji i jeszcze trochę grani do kolejki. Po prostu przygoda na zawołanie, a wszystko za darmo.

Ściągnąłem Arka do tarasu widokowego. Chwilkę się zawałem przed dotknięciem balustrady, lecz już po kilku minutach sączę Pilsnera zaserwowanego przez nienagannie ubranego barmana (się zmieniło na Łomnicy!) – koniec przygody. Sączę piwo zrozumiąłem – przygodę trzeba ściągnąć myślami.



Relaks fot. A. Koszek



W ścianie fot. M. Kaliciński

Warszawa. Lipiec 2013. Planowanie

Umówiłem się z Arkiem na obóz klubowy w Bergell. Jedno zdjęcie Badyła i już wiedziałem - co jak co, ale *Cassina* trzeba zrobić. Wyjazd bardzo krótki, więc praktycznie jeden cel. Lubię takie wypadki bez pałętnia się po przewodniku. Trzeba tylko znaleźć coś na rozgrzewkę. Tu wybór jest krótki – Spazzacaldeira. Reszta to bezsensowne zdzieranie podejściówek. Spokojnie mogę się zatem skupić na celu głównym. *Cassin* to droga tak popularna, że ilość informacji w sieci jest bardzo duża. Zaczynam jednak od znajomych. Kilka rozmów na ścianie i już coś tam układa się w plan. Jak zwykle najważniejsze jest zebranie informacji: jak najłatwiej trafić w drogę oraz bezpiecznie z niej powrócić, a reszta to już szczegóły.

Wszyscy rozmówcy spędzili pod ścianą kilka dni, a my tyle czasu nie mamy. Zaznaczają, iż warto przedtem zrobić filar aby poznać drogę zjazdów, oraz podejście pod przełączkę, z której zaczynamy trawers pod zacięcie Rébuffata (obecnie najpopularniejszy start). Wspominają również, iż nie tak łatwo tam trafić i jak nie będziemy robić filara, to warto podejść ten odcinek poprzedniego dnia – aby rano nie błądzić po ciemku. Konieczność tę wyeliminowałem bardzo szybko – znalazłem na Youtube filmik z podejścia ☺.

To jednak nie koniec. Na samym trawersie znajdując się zwykle dwa płyty śniegu, które będziemy musieli minąć. Doczytuję się w necie, że na trawersie było

mnóstwo wypadków, a nawet zginął tam zdobywca Piolet d'Or – Jules Cartwright (z klientką). Zresztą daleko nie trzeba szukać. Oglądam zdjęcia Biszona – śmigło zbiera gości po upadku z pierwszego płyta śniegu. Oglądam zdjęcia jakiegoś Anglika – to samo. Potem słyszę o identycznym wypadku kolegów z KW Warszawa. Nie ma lipy! Tam przygody na pewno nie chcę.

Zjazdy filarem to też może być niezłe przeżycie. Słyszę jak to niektórzy robili drogę w 6h, a zjeżdżali 12. Ktoś nawet kibel zaliczył podczas zjazdów. Dopiero po fakcie dowiaduję się, że można zjechać filarem również w 2,5h – jak się wie co i jak. Ważne aby trzymać się stricte filara i zjeżdżać jedynie z takich samych charakterystycznych ringów.

Strona włoska jednak kusila. Tylko 6 zjazdów i zejście w kierunku schroniska. Teraz bogaty w doświadczenie już wiem, iż filarem należy zjeżdżać, a schodzenie na drugą stronę jest znacznie bardziej energochłonne. Zastanawiam się dlaczego tak bardzo nie chciałem robić tych trzydziestu kilku zjazdów. Jeździmy z Arkiem dość szybko, a nawet jakby co, to kibel na filarze byłby wspaniałą (bardzo bezpieczną) przygodą. Muszę z tą niechęcią planowania przygody mentalnie powalczyć.

Plan był zatem ułożony. Śpimy w schronisku, robimy drogę, schodzimy na włoską stronę, a Banasiki (z którymi jesteśmy umówieni na wyjazd) zapewniają nam transport do namiotu. Nic tylko jechać.

Bergell. Sierpień 2013

No to jedziemy. Wesoła brygada zapakowana do Saabinki Arka i „nie zna życia kto nie śmigał za fajansem.” snujące się za naszym wozem przez cały wyjazd. Dla ścisłości – pojechaliśmy w składzie: Andrzej i Piotrek Banasik, Arek Koszek i Ja, niżej podpisany. Nasz wyjazd opóźniłem koniecznością odbycia ceremonii weselnej i po przyjeździe większość klubowiczów już działała w terenie.

Na początku dzień w skałach, dwa dni na Spazzacaladeira i można było powiedzieć, iż się trochę rozuspinaliśmy. Pozostało oczekiwanie na ustabilizowanie pogody i leniwe przygotowania w upalnej dolinie. Niestety dało się zauważyć wyraźny brak jeziora z Ailefroide lub basenu z Pottensteinu.

W międzyczasie zeszło z Badyla kilka zespołów, które dostarczyły nam kolejnych szczegółów dojścia i zejścia. Dwa zespoły schodziły na włoską stronę (jedni po biwaku na szczycie Badyla). Dzięki nim uzyskaliśmy enigmatyczny opis zejścia – szli za jakimś włoskim przewodnikiem, zatem zbyt wielu szczegółów orientacyjnych nie zapamiętali. Bardziej ucieszyła nas informacja, że na trawersie pod ścianą w ogóle nie ma śniegu.

Piz Badile. Akcja

Pogoda się ustabilizowała. Nie była idealna, ale prognoza na najbliższe dni przynajmniej nie przewidywała większych opadów. Na pewno w kominach wyjściowych nie byłoby to mile widziane. Co wieczór jednak szczyt Badyla zanosił się od południa gęstymi chmurami. Liczyliśmy, że o tej porze będziemy już na dole.

Na spokojnie podeszliśmy do schroniska Capanna Sasc Furà (trzeba zarezerwować miejsce). Oszczędzając energię podjechaliśmy płatną drogą jak najwyżej się da i po 1,5h przechadzce, w towarzystwie eskorty Banasi, dotarliśmy do celu. Tu po raz pierwszy mogłem skorzystać ze zniżki OeAV wykupując nocleg ze śniadaniem.

4 rano. Wszyscy w pokoju podrywają się energicznie, tylko my jakoś niemrawo, nieprzyzwyczajeni. Skromniutkie śniadanie nie nastroiło do działania. Wychoodzimy ok. 5-tej. Całkiem spory kawałek pniemy się do góry, po ciemku, niespiesznie. Tuż przed nami dwójka Niemców. Też idą na Cassina. Widać, że nie rozpoznali dojścia tak dokładnie jak ja - już chcieli skręcać w stronę przełęczki, a tu jeszcze około 100m w pionie trzeba było podłoić w dwójkowym terenie. Naprostowaliśmy ich i razem dotarliśmy do przełęczki. Szybka lustracja drogi. Słyszymy odgłosy jednego wspinającego się już zespołu – polskiego. Cieszę się, że tłoku nie będzie.

Krótki zjazd z przełęczki. Niemcy puścili nas i ruszyliśmy na trawers jako pierwsi. Dzięki im za to. Około 7-ej docieramy pod zacięcie Rébuffata. Szpeimy się do końca (szliśmy z lotną) i startujemy. Prowadzimy blokami. Arek ma zrobić pierwsze 12 wyciągów do pola śnieżnego, a ja resztę. Asekurujemy się na sztywno. Rok temu w Aileforide trenowaliśmy „speed climbing” i udało się nam zrobić 12 wyciągów w 1h 10min - teraz stwierdzamy, że nie ma co przesadzać. I tak idzie sprawnie.

Po 1,5h i 6 wyciągach doganiamy zespół przed nami. Okazuje się, iż przed nimi jest jeszcze zespół Anglików. Wyraźnie się zapchli i wracają trawersem na drogę. Dziwię się trochę, jak się mogli zgubić w tym miejscu. Patrzę również na ruchy prowadzącego z polskiego zespołu. Oni co prawda byli na drodze, lecz gdy zobaczyłem jak gość odciął od upręży cały pęk friendów i zaczął dopasowywać je do rysy, to w gniewie oka zacząłem planować manewr okrążająco-oskrzydłający. Uroki wspinania na laskach.

Czekamy z Arkiem na rozwój sytuacji. Anglik i Polak wspinają się równolegle. Zaplanowałem, że na następnych trzech wyciągach ich wyprzedzimy – można je spokojnie przegrzać z lotną. Arek już na stanie razem z Polakiem. Robię porządek przy upręży i nagle słyszę spadające kamienie. Pierwsze walnięcie, obrócenie głową w dół i po dwudziestu kilku metrach koniec. To Polak. Początkowo się nie ruszał wisząc głową w dół. Z boku głowy sączyła się stróżka krwi. Ku... !



Akcia śmigło fot. M. Kaliciński

Takiej przygody to ja sobie nie życzę. Całe szczęście po bardzo długich 30 sekundach gościu zaczął się ruszać i obracać do pionu. Nie wyglądał najlepiej. W tym samym czasie prowadzący z zespołu angielskiego założył stan praktycznie nad poszkodowanym i drugi od razu zaczął się przedostawać do niego w celu udzielenia pomocy. Arek szybko ściągnął mnie do siebie, a partner poszkodowanego już wykręcał numer 112 (bo nie znaliśmy numeru bezpośredniego – zapamiętajcie 1414). Anglicy rzucili poszkodowanemu linę do metody U i wspólnymi siłami bardzo szybko wyciągnęliśmy go na półkę. Jego stan z minuty na minutę był coraz lepszy. Suflerowaliśmy z Arkiem drugiemu Polakowi, który to starał się wytłumaczyć przez telefon gdzie dokładnie się znajduje. Po 20 minutach udało się panią przekonać, by sprawę przekazać ratownikom górskim i oni dokładnie będą wiedzieli gdzie jesteśmy. W tym czasie Anglik pomagał poszkodowanemu i zrobił mu stan z jego sprzętu. Uzgodniliśmy plan działania i podziękowaliśmy Anglikom za pomoc – ruszyli do góry.

Aby ułatwić sprawę ratownikom postanowiliśmy zebrać zespół na jednym stanie. Arek śmignął na następne stanowisko, ściągnął mnie do poszkodowanego, a ja jego partnera i cały ich sprzęt na to prowizoryczne stanowisko. W tym czasie pojawiło się śmigło. Dwie sylwetki Y i krótka przerwa w pracy. Zbadali sytuację i polecieli wypuścić ratownika na długiej linie. Aby nie robić tłoku na półce, pożegnałem chłopaków (kole-dzy, mam nadzieję, iż nic specjalnego się nie stało) i podczas desantu byłem już razem z Arkiem. Wspaniałe uczucie widzieć ratowników w akcji.

Co ciekawe – lot został zatrzymany na bardzo starym klinca (pewnie zabił go jeszcze Cassin ☺). Zresztą historia lubi się powtarzać. Podczas planowania czytałem relację z bardzo podobnego wypadku na *Cassinie*, gdzie poszkodowanym był również Polak! Z topo Marcela Dettlinga, autora tej relacji, korzystaliśmy podczas przejścia – jest chyba najlepsze.

Na akcji ratunkowej straciliśmy 1,5h, lecz widok krwi na pewno bardziej nas spowolnił – od razu człowiek zaczyna się gęściej asekurować, a to zajmuje czas. Na polu śnieżnym, tuż przed zmianą prowadzenia dogoniliśmy Anglików. Nie było potrzeby ich wyprzedzać. Na każdym wyciągu czekałem jedynie 2-3 minuty zanim drugi z zespołu opuszczał stan. Schemat był perfekcyjny i od tego momentu, aż trudno było się zgubić. Reszta drogi poszła sprawnie i bardzo bezpiecznie. O 16.30 stanęliśmy na grani. Anglicy zaczęli zjeżdżać, a my po krótkim posiłku skierowaliśmy się w kierunku szczytu.

Na szczycie fotka, picie i mgła. Zaczynamy schodzić około 18-tej. Znajdujemy zjazd i w dół. Nie są to

nowe łańcuchy, a miały być. Kierujemy się jednak ciągle do prawej – wg opisu. Po ósmym zjeździe już wiedziałem, że coś jest nie tak, lecz mgła ciągle uniemożliwiała orientację. Arek po piętnastu metrach zjazdu tracił mnie z oczu mimo, że nie jestem małym obiektem. Gdy dojechalśmy do jakiegoś wielkiego, przewieszzonego, czarnego, mokrego komina to kierunek był już tylko jeden – w dół. Kolucha się skończyły, a zaczęły stanowiska z tysiąca nic nie wartych pętli. Każde jednak wytrzymało moje trzy cyfry, a gdy już zaczęły być na maxa parszywe, to... na dwóch ostatnich stanowiskach ktoś niedługo przed nami zostawił świeżutkie taśmy wyposażone w Spiryty Petzla. Jak widać nie tylko my zostaliśmy zrzućeni w tym kierunku.

Dojechałem do szczeliny brzeżnej – naście metrów głębokości, a końca lodowczyka nie widać. Był uszczelniony, a my bez raków. Tego to niestety nie zbadaliśmy, natomiast z mapy nie kojarzyłem lodowca od południa. Zjechałem zatem do szczeliny i ruszyłem w lewo. Tam jej wysokość była niższa. Znalazłem następną pętlę ze Spirytym, lecz nadal nie widziałem końca lodowczyka. Zaryzykowałem – przebitka na śnieg i hajda w gęstą mgłę. 60m zjazdu i dojechałem wreszcie do kamieni przeplatanych płatami śniegu. Wiedziałem, że będzie dobrze.

Gdy schodziliśmy było już kompletnie ciemno, a widoczność we mgle mikra. Czołówka bardziej przeszkadzała niż pomagała. Już liczyliśmy rzeczy w plecaku przed prawie pewnym kiblem, gdy cudem natrafiliśmy na szlak poziomo przecinający zbocze. Krótki dylemat, w którym kierunku się udać. Szczęśliwie poszliśmy we właściwym i po przejściu około 500m docieramy do schroniska. Była 22-ga, my już nieźle zmęczeni walką z mgłą i kamieniami atakującymi nasze stopy. Wiedzieliśmy jednak, że chłopaki będą czekać na nas w samochodzie. Ruszyliśmy w dół.

Nigdy w życiu nie przeszedłem tylu kilometrów w ciągu dnia, a na pewno nie w takim terenie, po nocy, we mgle. W wyniku zmęczenia i odwodnienia często przystawaliśmy. Podczas marszu otuchy dodawały nam ostatnio usłyszane slogany. Pierwszy, kolarza Kwiatkowskiego – „Byle tylko noga podawała”, a drugi to zmodyfikowane w stronę wspinania stwierdzenie francuskiego legionisty – „Najważniejsze w Alpinizmie (w Legii Cudzoziemiejskiej) to zdrowe, mocne stopy!”. Do samochodu docieramy około 3 w nocy. Budzimy chłopaków i spoczywamy w mięciutkich fotelach. Jeszcze raz dzięki wam za pomoc.

I koniec przygody! Jak widać samo myślenie o niej może nieźle skomplikować naszą górską wycieczkę. Następnym razem proszę mniej krwi.

Snake Dike od kuchni

Agata Sosnowska



Klik. Sierra Nevada Torpedo Ale' otwarte. Welcome U.S.! Welcome Adventure! Po prawie 24 godzinnej podróży światowymi liniami lotniczymi wylądowałam w Portland. Zakrzaczony parking znakomicie nadaje się do przetrwania nocy przed dalszą drogą w kierunku osławionych Yosemite. Koczowanie na parkingach nikogo tutaj nie dziwi, wzbudza co najwyżej szeroki amerykański uśmiech u przypadkowych napotkanych „autochtonów” i ma niezaprzeczalne walory finansowe! Pełni radosnego oczekiwania na to co będzie, podkręcamy basy w samochodzie i reggae zaczyna przenikać nasze umysły. Szampan też. Długo się nie widzieliśmy. Przy całym rytuale powitania nie zapominamy o toaście – aby tym razem się udało!

Wspinaczka na Snake Dike fot. K. Belczyński

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Zaparkowaliśmy tuż przed granicami Yosemite National Park. Rzeźkie nocne powietrze wygoniło z nas dwudniowy trud podróży. Żujemy twardey cheddar, chrupimy organiczną paprykę i gapimy się w rozgwieżdżone niebo. Łyk Ale'a za drogę za nami i łyk za drogę przed nami – *Snake Dike* na Half Dome. To ma być wspinaczkowa przygoda – widowiskowa, piękna, zaplanowana, nie za trudna, nie za łatwa. Dla kogoś takiego jak ja, który w porównaniu z profesjonalnymi wspinaczami jest, uczciwie pisząc – jak to mówią Amerykanie – poza skalą (*out of scale*). Sprawność ciał, pozytywny duch, poczucie współdziałania – tym razem się uda!

Klik. Dźwięk sms'a otrzymanego rok temu. Na którymś z transferowych lotnisk odbieram wiadomość: „Mam problem z nogą. I gorączkę.” Patrzę na mój bagaż podręczny z dwiema parami butów wspinaczkowych, uprzęą i starannie dobranym kompletem taśm. *Fuck!* Jak taką wiadomość otrzymuje się od osoby, która jest autorem takich dróg jak *Absolute End* na Ziemi Baffina, to raczej będzie to *End of Half Dome Run*. Przeczucia mnie nie myliły. W ramach działalności zastępczej, samodzielnie weszłam na Mt. Whitney (4421m). Samodzielnie, bez żadnego stałego kompana, bez tej całej męskiej obstawy, bez której wiele dziewczyn nie wyobraża sobie działalności górskiej. Określenie „samotne wejście” nie byłoby obiektywne – na szlaku było dość tłoczno ☺.

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Kolejne, ponieważ właśnie podjęliśmy decyzję, że przed Half Domem warto powspinać się w okolicach Camp4. W związku z powyższym nie musimy się śpieszyć z bardzo porannym wstawaniem, możemy nadal gapić się w niebo z butelką Ale w rękę i prowadzić dyskusję o tym, czy kobieta powinna sama zmieniać koło w samochodzie (i nawet poświęcić wyprawę, jeśli owa kobieta się uprze, że to jej samochód, jej koło i albo ona to robi albo nikt), czy raczej powinna przyjąć pomoc z szeroko rozumianego otoczenia.

Ten dyskurs można by było ciągnąć długo, ale nieoczekiwanie zaczął narastać w nas niepokój. Naliczyliśmy 15 wozów strażackich mknących na sygnale w kierunku parku. No, aż tyle kobiet na raz nie ma chyba potrzeby zmiany koła w swoich truckach! I nie zwywałyby w tym celu brygady strażackie! Przemknęło następne 13 wozów. W sumie do końca sączonej butelki piwa naliczyliśmy 64 jednostki gaśnicze. Paliło się.

¹ Słynne amerykańskie piwo browaru Sierra Nevada o wyraznym posmaku cytrusowym, sosnowym i ziołowym. Sierra Nevada – pasmo górskie w Ameryce Północnej wchodzące w skład Kordylierów. Najwyższy szczyt Mt. Whitney, a słynne parki to Yosemite, Kings Canyon i Sequoia.

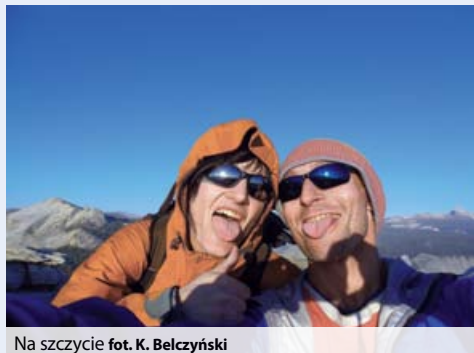


Half Dome w tle fot. K. Belczyński

Czyżby i tym razem *Snake Dike* miał pozostać niezrealizowanym celem?

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Na stole przed nami najlepsza yosemicka pizza – nagroda za mój pierwszy wspin w tej przepięknej dolinie (*Nutcracker 5.8* na Manure Pile Buttress). Jest późno. W głowie moc wrażeń – rozmowa z lokalnymi rangersami na temat zagrożenia pożarowego Yosemite Valley; slackowanie na Camp4 w ramach przedpołudniowej rozgrzewki; łapanie łożantów z przewodnikiem w celu przerysowania schematu: my jako dobrze sfocusowany team, ups, skoncentrowany zespół, dysponowaliśmy tylko dwiema kserówkami ze *Snake'em*. Wspin skończyliśmy w yosemickim barze na 3 godziny przed północą, w oparach gwary mocno międzynarodowej. Ja totalnie oszołomiona pięknym i litym granitem (czyt. bezpiecznym) posyłałam rozanielone uśmiechy co przystojniejszym lokalsom. Nic nie wskazywało na to, że dnia następnego nastąpi wymarsz na Half Dome. Jeszcze jeden dzień rozgrzewkowy na tutejszych nizinach nie zaszkodzi. Mamy czas. Wieść niesie, że *Snake Dike* łatwy, że właściwie to *tourist hike*, co najwyżej trzeba wybić 2-3 camy i kilka taśm.

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Na stole przed nami znowu najlepsza yosemicka pizza. Już nie jest tak późno. W głowie znowu moc wrażeń – zagrożenia pożarowego w okolicach doliny nie ma, aczkolwiek przejrzystość powietrza spada; zrobiliśmy *After Six 5.7*, które miało być łatwiejsze niż wczorajszy *Nutcracker*, a było odwrotnie; zbyt mała ilość sprzętu w ścianie i koronkowa robota z przesuwaniami camów nie budowały czystego entuzjazmu związanego z jutrzejszym wejściem w *Snake'a*: a my jako dobrze sfocusowany team, ups, skoncentrowany zespół, dysponowaliśmy minimalną ilością szpeju niezbędną do pokonania jednego z najbardziej znanych klasyków doliny. I to mnie zaczęło martwić. Otrzymałam klepienie w ramię i wesołe: nie martw się, tam i tak jest



Na szczycie fot. K. Belczyński

trudno z asekuracją. I to mnie zaczęło jeszcze bardziej martwić.

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Przedwspinaczkowe burdello gdzieś w krzakach – reggae z samochodu, gwiazdy nad nami, pakowanie minimalistycznego szpeju, szturm żarcia, butelek z wodą. Przepak. Mniej taśm, mniej szturm żarcia, dodatkowa butelka na wodę. Prowadzimy dyskusję, czy brać gore-texy czy nie – panują kalifornijskie upały z piątym co do wielkości pożarem w historii Stanów Zjednoczonych w tle. Konsens: gore-tex jak czołówka w plecaku musi swoje miejsce mieć. Moje trzecie, wewnętrzne ucho wychwytyje ruch w pobliskim krzaku. Moje ciało automatycznie podrywa się sprężyste z turystycznego krzesła (o Zeusie! gdyby taka gibkość była mi dana w ścianie!). Każdy włos jeży mi się na skórze (nawet te wygolone), a z krtani wydobywa się: tam COŚ jest! Druga połowa naszego dream team'u rzuca solidny kamień w kierunku potencjalnego zagrożenia – to COŚ ucieka.

I tak zamiast ostatnie 4 godziny przed wymarszem pod Half Dome (4h podejścia) przespać snem dobrze przygotowanego łojanta, ja i moje trzecie ucho z trwogą odbierałyśmy każdy najmniejszy szelest i szmer. Druga połowa dream team'u chrapała, a ja pełniłam nieobowiązkową wachtę. Na nogach buty, nogi poza śpiworem, aby nic nie przeszkodziło uciec, gdyby niedźwiedź jednak chciał wejść do samochodu. Tak doczekałam terkotania budzika.

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. Było cudownie, pięknie, wietrznie, widokowo, wielkościano-wo, lotnie, wyprawowo, spacerowo (to już w kopule szczytowej) i ekstatycznie. Cztery godziny czystego podejścia (bez sikania, posiłkowania się czy zaspakajania innych potrzeb) minęły błyskawicznie, w zgodzie i w zdrowiu. Przewidywane pięć godzin wspinania rozciągnęły się na siedem godzin. Pierwsze trzy wyciągi to klasyczne wspinanie w solidnym granicie. Możliwości

asekuracyjnych mnóstwo, aż trzeba było się powstrzymać.

Opisywane w każdym przewodniku run out'y, okazały się prawdą na dalszych wyciągach i to mnie spowolniło.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jestem odpowiedzialną osobą, rodzicem, obywatelem – ba! nawet wspinaczem. I tak rozmyślając, mocowałam posiadane taśmy na cokolwiek obiecujących dziwnych wypustkach dike'a: łososiowego koloru skalnej żyły. O solidniejszej asekuracji mogłam zapomnieć. Na ostatnich 200 metrach ściana się znacznie położyła, można było nawet założyć treki czy inne salomony ☺, czego nie zrobiłam i co wróciło do mnie odparzeniem stóp. Gdzieś tam wyrosły karłowate drzewa, za które ochoczo zakładałam pętle.

Na szczycie byliśmy o zachodzie słońca. Przepiękne chmury biało-grafitowo-czerwone okazywały się dymem i płomieniami unoszącym się nad Tuolumne i Mariposa, zachodnią częścią Yosemite. Widok niesamowity i przerażający, jeśli wiedziało się, że z pożarem walczy około 4 tysięcy strażaków, że ewakuowano kilka wsi, że 20 domów spłonęło i że zagrożone jest główne ujęcie wody dla San Francisco. Magiczna godzina na szczycie minęła i trzeba było rzucić się w otchłań zejścia. Nogi płątały się, spod kamieni uciekały małe czarne skorpiony. Wyszliśmy po nocy, wróciliśmy po nocy. 23h w akcji. Moje trzecie ucho poszło spać, nie musiałam czatować na zwierza. Zasnęłam.

Klik. *Sierra Nevada Torpedo Ale* otwarte. A! To już następna część podróży, niewspinaczkowa – już do innego periodyku ☺.



Ekspozycja w nagrodę fot. K. Belczyński

NAJLEPSZE WSPINANIE W NAJLEPSZEJ LOKALIZACJI

KILKADZIESIĄT DRÓG od IV do VI.6

DWIE BULDEROWNIE

PEŁNY ZESTAW TRENAŻERÓW



PRZESTRONNY PARKING DLA KLIENTÓW

ul. Merliniego 2 tel. 245-36-88
(10 min. od centrum – przystanek Park Dreszera)

ARENA WSPINACZKOWA

WUGORE



www.wgore.eu



Ściana wspinaczkowa

OBOZOWA

www.obozowa.waw.pl
tel. 0 - 697 837 198

On Sight Centrum Wspinaczkowe
Hala Sportowa "Kolo"
ul. Obozowa 60
01-423 Warszawa

otwarte codziennie:
pon-piat - 8.00-22.00
sob-niedz - 10.00-22.00



Nowy Zarząd Klubu

26 marca do Południka Zero, na Walne Zgromadzenie członków UKA, przybyło ponad 40 osób. W głosowaniu niejawnym na prezesa UKA wybrany został **Marek Kaliciński** (kadencja 2-letnia). Na członków zarządu wybrani zostali: **Agnieszka Tyszkiewicz, Bartek Jarośiewicz, Maciej Kowalczyk, Michał Łodziński, Wojciech Ryczer, Zbyszek Warakowski, Marek Wierzbowski**. Następnie wybrano skład Komisji Rewizyjnej. Zostali nimi: **Tomasz Chudy, Jarek Kamer i Karol Sulej**. Na sam koniec spotkania wybrano delegatów UKA na Walny Zjazd PZA.

III Bieg ŻUKA

40 osób ukończyło III Bieg ŻUKA, tym samym udało się zbierać 400 PLN na Fundusz Berbeki. Prezesowie UKA – **Marek Kaliciński i Jakub Radziejowski** – przed biegiem ustalili, że jeden ma dobiec jako pierwszy, a drugi jako ostatni i dali radę osiągnąć cel w 100%. Zwycięzców wyłonił biegowy współczynnik korby do torby (czas biegu w minutach/BMI). W klasyfikacji kobiecej zwyciężyła **Małgorzata „Gogo” Czczott**, a w męskiej nagrodę odebrał **Paweł Motel**.

Bieg Ultra „Granią Tatr”

Klub był partnerem pierwszej edycji Biegu Ultra „Granią Tatr” na dystansie ok. 70 km. Członkowie klubu, jako wolontariusze wsparli organizację biegu.

Tablica pamiątkowa Krzyska Sadleja

Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej miała miejsce na Symbolicznym Cmentarzu przy Sanktuarium Matki Bożej Jaworzyńskiej na Wiktorówkach w przeddzień rocznicy śmierci **Krzyska**. Ceremonia odbyła się **22 czerwca**.

Partnerstwo w organizacji zawodów

W październiku, Arena Wspinaczkowa „**Wgóre**” (wraz z partnerami, w tym UKA), była organizatorem pikniku wspinaczkowego. Organizator przygotował dla uczestników 19 dróg i 15 bulderów, o zróżnicowanym charakterze i w każdym stopniu trudności. W zawodach wystartowało ponad 170 osób, w tym wielu naszych Klubowiczów. Tradycyjnie też pomagaliśmy przy organizacji kolejnej edycji zawodów na Bloco – **Bloco Open**, które odbyły się 8 marca czyli w Dzień Kobiet. Na starcie pojawiła się, jak co roku, imponująca liczba zawodników – ponad 350 osób. Na uczestników czekało 40 przystawek o różnej trudności. Impreza, jak zawsze, zakończyła się integracją w pubie.

Oczywiście najważniejszą imprezą roku były zawody z okazji 50 lecia UKA. Relacja patrz str. 90.

W zawodach wystartowało kilku naszych klubowiczów, wśród których znakomity wynik osiągnęli **Jakub Radziejowski i Mateusz Mioduszewski**.



Bieg Ultra Granią Tatr
fot. J. Kamer

Klubowe zawody wigilijne – podsumowanie

Pod koniec roku rozegrane zostały na **Arenie Wspinaczkowej „Wgórę”** klubowe wigilijne przebranie zawody wspinaczkowe. Tematyką przebrania byli „Bohaterowie dzieciństwa i czarne charaktery”. Na zawodach zjawili się kilkadziesiąt osób, a wśród nich nadzwyczaj liczne Pszczółki Maje (sztuk 4), Czarna Wołga, Batman, Joker, Popey, Sinbad, Smerf, Mumia, Wiedźma, Dzwoneczek, Pomysłowy Dobromir i wiele innych. Dla zawodników przygotowano 13 problemów bulderowych. Fundatorem nagród (kamizelek puchowych) była firma YETI. Laureatami zostali: **Marta „Pszczółka Maja” Czajkowska** oraz **Stefan „Joker” Madej**. Za najlepszy strój nagrody otrzymali: **Agnieszka „Czarna Wołga” Fabijańska** oraz **Stefan „Joker” Madej**. Wśród pozostałych uczestników rozlosowano nagrody pocieszenia. Oficjalna część imprezy zakończyła się tradycyjnie licytacją na rzecz „Naszych Skał”. W tym roku wylicytowano kwotę 780 złotych.



Joker na zawodach świątecznych fot. A. Koszek

Wyjazdy klubowe

Majówka 2013 została zorganizowana na **Frankenjurze**. Bazą wypadową był camping zlokalizowany w samym sercu rejonu – w miejscowości Obertrubach. Na wyjeździe zjawili się ok. 30 uczestników wraz z rodzinami. Podczas obozu, prócz „lojenia” w wapieniu, kwitło życie klubowe.

Tradycyjnie, na początku sierpnia odbył się **letni obóz górski**, tym razem w **Bergell**. Głównym centrum dowodzenia został camping w miejscowości Bondo. Na obozie zjawili się ok. 20 klubowiczów wraz ze znajomymi, partnerami i rodzinami. Prócz klasyków w rejonie Albigna i Bondasca, padło też kilka sportowych dróg w okolicach Bondo oraz po włoskiej stronie w ogród-

kach wspinaczkowych w Lecco i okolicach. Kilka dni deszczowej pogody sprzyjało integracji obozowiczów i podnoszeniu formy sportowej. Patrz też str. 58.

Zimowy obóz integracyjny odbył się pod koniec marca 2014, w **Dolinie Białej Wody**. Na wyjazd zgłosiło się bardzo wielu chętnych, jednak iście wiosenna pogoda pozwoliła dojść do chatki w dolinie tylko nielicznym. W sumie w chatce zameldowało się ok. 10 uczestników. Obóz sprowadził się do integracji, skitowania w wyższych, dostępnych partiach gór, wycieczek oraz wspinania.

Tradycyjnie uczestnicy obozów dostali dofinansowania klubowe w postaci pokrycia części kosztu noclegów.

Nagroda UKA im. Łukasza Wajsa AD 2013 za najlepsze osiągnięcia AD 2013

Kapituła Nagrody jednomyślnie postanowiła przyznać cztery nagrody (wszystkie w wysokości 500 PLN):

1. **Maciejowi Bukowskiemu** za znakomity sezon sportowy (i pierwsze życiowe 8c RP *Florida*). Sezon ten jest jednocześnie bardzo dużym skokiem jakościowym, względem poprzednich osiągnięć Maćka.
2. **Szymonowi Łodzińskiemu** za bardzo dobre wyniki w skałach (w tym 8c RP *Florida* i 8a+ OS *Face de rat*), 8a+ jest najlepszym tegorocznym klubowym OS-em.

3. **Stefanowi Madejowi** za bardzo dobre wyniki w skałach (w tym VI.7 RP *Nie dla psa kielbasa*, wiele dróg 8b+ i 8b RP i szereg dróg 8a OS). Stefan jest obecnie posiadaczem największej w klubie liczby przebytych dróg w przedziale VI.6-VI.7 (blisko 30).
4. **Michałowi Kasprończowi** za dokonane wspólnie z kolegami z Wrocławia (Rafałem Zającem i Dawidem Sysakiem) pierwszego polskiego wejścia na Mt. Huntington Droga Harvardzką (VI, 5.9, A2, WI4, lód 70°, 1000 m).



Zdjęcie okółowspinaczkowe, I miejsce – Wycieczka w nieznane **Michał Kasprowicz**

68



Zdjęcie wspinaczkowe, II miejsce – Odłot **Stefan Madej**



Zdjęcie okółowspinaczkowe, II miejsce – To nie Korzi **Jakub Jodłowski**



Zdjęcie krajobrazowe, I miejsce – Poranek nad Mirowem **Jacek Patrzykont**

Konkurs Foto UKA

W kategorii

Zdjęcia wspinaczkowe:

Miejsce pierwsze – **Michał Kasprowicz**

za *Snow Climbing*

Miejsce drugie – **Stefan Madej** za *Odlot*

Miejsce trzecie – **Jakub Thiele-Wieczorek**

za zdjęcie *Kasi Losson na Delicatessen*

W kategorii

Zdjęcia okołowspinaczkowe:

Miejsce pierwsze – **Michał Kasprowicz**

za *Wycieczka w nieznane*

Miejsce drugie – **Jakub Jodłowski**

za zdjęcie *To nie Korzi*

Miejsce trzecie ex aequo:

Michał Kasprowicz za zdjęcie Jarka Kamera
i zabawy na śniegu, Obóz UKA, Biała Woda

Stefan Madej za zdjęcie *Slackline*

Jacek Patrzykont za *Wróćmy Tu*



Zdjęcie okołowspinaczkowe, III miejsce – Slackline
Stefan Madej

W kategorii

Zdjęcia krajobrazowe:

I miejsce – **Jacek Patrzykont**

za *Poranek nad Mirowem*

Miejsce drugie – **Stefan Madej**

za *Jurajską Jesień*

Miejsce trzecie – **Michał Kasprowicz**

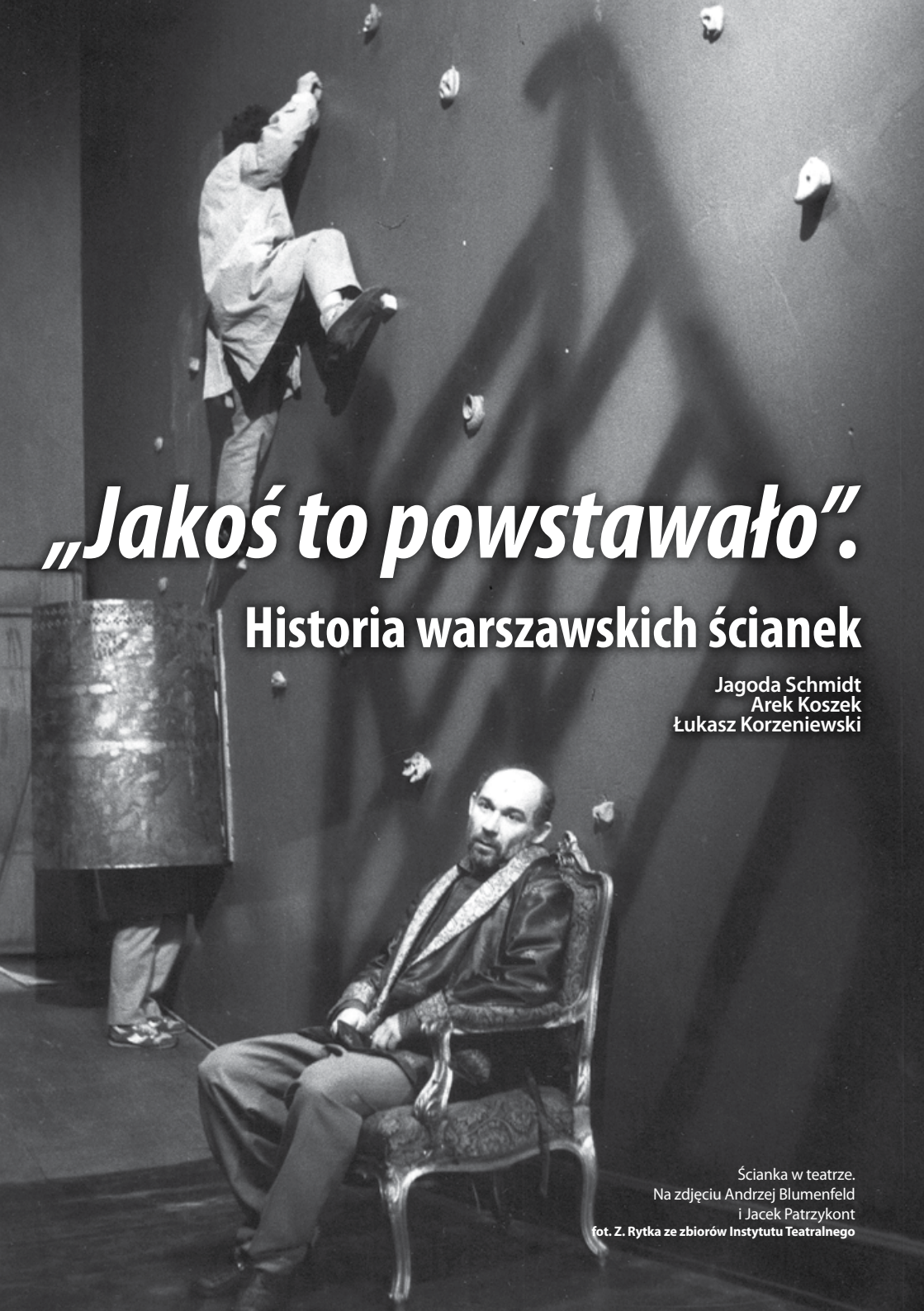
za *Sharma Dream – Es Pontas*

Zdjęcie wspinaczkowe, III miejsce

– *Kasia Losson na Delicatessen*

Jakub Thiele-Wieczorek





„Jakoś to powstawało”.

Historia warszawskich ścianek

Jagoda Schmidt
Arek Koszek
Łukasz Korzeniewski

Ścianka w teatrze.
Na zdjęciu Andrzej Blumenfeld
i Jacek Patrzykont
fot. Z. Rytko ze zbiorów Instytutu Teatralnego

Choć nadal brak w Warszawie centrum wspinaczkowego „z prawdziwego zdarzenia”, to i tak jest w tej materii całkiem niezłe. Możemy wybierać miejsce naszego załadunku w zależności od kaprysów i upodobań. Oczywiście nie zawsze tak było. Tak jak najmłodszy nie potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądał świat bez komputerów, tak większość osób zaczynających przygodę ze wspinaczką z pewnością nie zdaje sobie sprawy, jak wyglądały stołeczne obiekty wspinaczkowe jeszcze kilkanaście lat temu. Kiedy największym atutem nie było posiadanie karty Multisport lub innej tego typu, a raczej umiejętność wkręcenia się w towarzystwo, które akurat miało dostęp do jakiejś ścianki, gdzie można było doskonalić swoje umiejętności. Mało kto pamięta już pierwsze ściany, które powstały w Warszawie. Nam udało się dotrzeć do źródeł i przedstawiamy Wam krótką historię najważniejszych sztucznych obiektów, po których bardzo często nie ma już nawet śladu. Pomijamy niewielkie prywatne pakarnie, które były areną działania niewielkiego grona znajomych.

Ścianki powstawały tam, gdzie ktoś ze wspinaczy miał znajomości. Sposób w jaki je budowano opisuje Grzesiek Zieliński: *Wtedy się kombinowało jakieś tanie materiały. Zresztą ceny nie były bardzo wysokie, więc dawało się radę. Żelazo na konstrukcję z jakichś tanich źródeł, spawanie wykonywały firmy znajomych, większość własnymi siłami. Ktoś zrzucił się na sklejkę, ktoś robił chwyt i jakoś to powstawało. Nikt nie myślał wtedy o celach komercyjnych, nie działał także rynek „stawia-czy” ścian – nie było firm, które oferowały wykonanie ściany, bądź gotowych chwytów. Nie było też norm bezpieczeństwa. Przykręcało się konstrukcje odpowiednimi kołkami i tak to działało. Początkowo najpopularniejszymi, bo najprostszymi do zbudowania, były formacje pionowe. Następnie zaczęto myśleć o przewieszeniach, rysach i innych „udziwnieniach”. Ściany nie były wyposażone w liny czy ekspresy, co obecnie jest standardem – każdy przynosił swój szpej. Dla ludzi, którzy chodzili na ścianki często były przewidziane stałe opłaty, z których przeprowadzano niezbędne inwestycje – dorabianie chwytów, montowanie nowych paneli itd.*

Zakrzewska – od lamperii do okapu

Mówimy tu o późnych latach osiemdziesiątych, kiedy to powstała ścianka w mokatowskim liceum Cervantesa przy ulicy Zakrzewskiej. Panele pojawiły się prawdopodobnie w 1988 roku, przy dłuższym boku sali gimnastycznej. Po środku było okno, na lewo była łatwiejsza ścianka,

po której wspinali się wszyscy, a po prawej chwyt mała i jak wspomina G. Zieliński: *tam wspinął się tylko Paweł Bulderowiec Haciski*. Inicjatorem i opiekunem ściany był Jan Wolf, który miał dobre kontakty z dyрекcją szkoły, dzięki czemu ścianka mogła powstać. Była to ścianka lamperiowa, z kutymi dziurami zalanymi jakąś substancją chroniącą przed wykruszaniem, przykręconymi kawałkami drewna, kawałkami kamieni przyklejonymi żywicą epoksydową do sklejk i wszystkim innym, co było akurat dostępne i stanowiło namiastkę naturalnej rzeźby.

Z czasem ściankę przejął Rysiek Tomasiak – architekt, dzięki któremu na drewnianym szkielecie pojawił się wywołujący sensację okap. Zasłonił on środkowe okno, a na przeciwległej ścianie powstał trawers. Stopniowo pojawiały się też innego typu sztuczne chwyt – samoróbki wzorowane na rzadko dostępnych produktach zachodnich – jak zapewne się domyślicie, niekoniecznie najwyższej jakości. W 1993 roku, już po śmierci J. Wolfa, ścianę rozmontowano, gdyż stopniowo kończyły się dobre kontakty z dyrekcją.

Stegny – na tyłach starego zegara

W tym czasie działała jeszcze ścianka na świeżym powietrzu, przy torze łyżwiarskim na Stegnach. Znajdowała się ona na tyłach starego zegara i tablicy świetlnej. Zrobiona była ze sklejk przykręconej do konstrukcji zegara. Po kilku sezonach (od wiosny do jesieni) funkcjonowania z różnych przyczyn ścianę zamknięto – ścianka była na zewnątrz, a na sklejkę dość niekorzystnie działały warunki atmosferyczne. Prawdopodobnie ważniejszą kwestią były jednak warunki formalne, nie przedłużona została zgoda na użytkowanie. Stegny tak wspomina Jacek Patrzykont: *Trzeba było przyjść, wziąć klucz i wejść na zegar, następnie dostać się na górę, zarzucić wędkę z przygotowanej konstrukcji i wspinąć się...*

71



Prawdziwe wspinanie to było w Błoniu. Dojazd tylko WKD. Takiego Okapu w Warszawie nigdy nie było
 fot. Robert Nowakowski



Rysiek Tomasiak i Marcin Jamkowski na ścianie „U Strażaków” fot. arch. D. Kaszlikowski

U strażaków

Jak sami wiecie, wspinać się trzeba. Po zakończeniu działalności „Zakrzewskiej” trzeba było się gdzieś przenieść. Murki przy Łazienkowskiej i warszawskie mosty nie wystarczały. Na przełomie lat 93/94 pojawiła się słynna ścianka „u strażaków”, która mieściła się w szkole pożarniczej na Marymoncie. Zbudowana została przez J. Patrzykonta i jego kolegę, a zarządcą był ponownie R. Tomasiak. Miał on kogoś znajomego w straży i był to jeden z nielicznych strażaków przychylnych ekipie przychodzącej się wspinać. Funkcjonowała lista 20 osób, które mogły wejść, aby się wspinać. Oczywiście nie było łatwo znaleźć się na tej liście, była to, poza niewielkimi roszeniami, raczej stała ekipa. Co ciekawe, ścianka miała na wyposażeniu drabinę Bachara. Wspinania było całkiem sporo, a główną „atrakcją” tego obiektu stanowił mocno przewieszony filar, mniej więcej pod kątem 50 stopni. Ścianka zakończyła działalność około roku 1998-1999, przez jakiś czas wykorzystywali ją jeszcze strażacy z sekcji wysokościowej.

W teatrze

Ciekawostką jest ścianka, która powstała w... teatrze. Korytarz techniczny Teatru Studio był z pewnością jedną z bardziej oryginalnych lokalizacji dla tego typu obiektu. Stworzono go na potrzeby spektaklu Eugena Ionesco pt. „Ofiary obowiązku”. Wspinającymi się aktorami byli m.in. Jacek Patrzykont oraz Asia Wolf, których

czasem asekurowała Mirka Patrzykont. Ścianka funkcjonowała na potrzeby spektaklu, który grano przez kilka lat, a w wolne dni Jacek przyprowadzał tam znajomych i można było się powspinać. *Przychodził pan od efektów akustycznych i pytał czy chcemy burzę czy może wiatr... I tak wspinaliśmy się w deszczu.* – opowiada J. Patrzykont. *Wiedziało o niej niewiele osób, chyba że jakiś wspinacz przyszedł na spektakl* – dodaje.

Stara Nowowiejska i inne profesjonalne ściany

W międzyczasie powstała tzw. „stara Nowowiejska”, z niewielkim okapem i w większości spionowana. Z czasem dobudowano nowy panel z prawej strony ściany, który był już konstrukcją bardziej profesjonalną przygotowaną przez firmę Monolit. Można się było wspinąć w wybranych dniach, była też wynajmowana przez UKA na tzw. godziny klubowe. Marek Kaliciński: *Były to lata rozkwitu klubu. Wspinanie stawalo się popularne, ludzie zapisywali się do UKA, żeby mieć dostęp do ścianki. Po wspinaniu bardzo często kończyło się w knajpce nieopodal Pl. Politechniki, gdzie do późnych godzin wieczornych grało się w karty lub w kości.* „Nowowiejska” straciła na popularności w związku z rosnącą konkurencją ze strony „BUW-u” i „Siennickiej”, gdzie „przeniosły się” również godziny klubowe.

Wielki Okap na Starej Nowowiejskiej.
Widać asekurowającego młodego Prezesa Kaliego
fot. Robert Nowakowski



Na strychu – ścianka U Kamila

Funkcjonowała także tzw. „ścianka u Kamila”. Zaczęło się tam od dwóch paneli, później dochodziły następne, a sam opiekun zaczął produkować chwyt. Obiekt funkcjonował jeszcze kilka lat temu, niestety przestał istnieć, ze względu na postanowienia nieogóscinnej wspólnoty mieszkaniowej zarządzającej budynkiem. Lokalizacja była również dość oryginalna, gdyż ścianka znajdowała się na strychu 10-piętrowego wieżowca, gdzie zaadaptowano na potrzeby wspinaczy lokal przeznaczony na suszarnię.

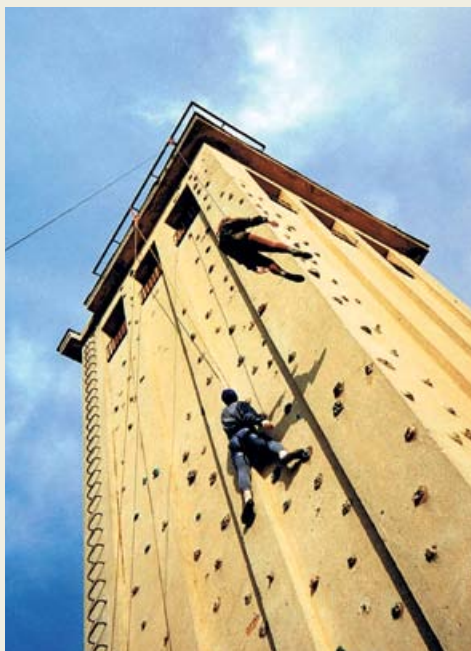
Początki ery komercyjnej

Na Woli przy Białowiejskiej powstała popularna bulderownia Diamir. Istniała także niewielka ścianka w SGH, na której zrodziła się sekcja akademicka UW. Starsi członkowie UKA pamiętają z pewnością początki ściany na Siennickiej. Była to pierwsza ścianka komercyjna i ogólnodostępna dla wszystkich, nie tylko dla tych „wtajemniczonych”. Zbudowana została przez firmę – monopolistę w tamtych czasach – Monolit. Przychodziły tam prawdziwe tłumy, oczywiście jak na tamte czasy – około stu osób dziennie. Z tamtej ściany „wyrosło” wielu bardzo dobrych wspinaczy, m.in. Kuba Jodłowski. Organizowano tam zawody różnej rangi – od imprez dla najmłodszych po bulderową „Burzę Muskul”. Buldery stanowiły wyzwanie nie tylko fizyczne, ale także mentalne, jako że kończyły się one nawet na sześciu metrach – organizatorzy mogli sobie na to pozwolić, gdyż sala dysponowała materacami używanymi przy skoku o tyczce. „Siennicka” działa do dziś, ale legendarne recepcjonistki i nie najlepsze zarządzanie (a właściwie jego brak) powoduje, iż lata świetności ma już zdecydowanie za sobą.

Na początku roku 2000 powstała ścianka w BUW-ie i również cieszyła się dużą popularnością przez pierwsze lata funkcjonowania. W nieco późniejszym czasie postawiono niedużą ściankę w „Lelewełu”. Stanowiła ona część projektu Burmistrza Bielana, który chciał spopularyzować wspinaczkę wśród uczniów bielańskich szkół. Ze wszystkich tych obiektów na Bielanych, jako jedyna istnieje do dziś. Kolejne lata to już prawdziwy „wysyp” i narodziny ścian z nastawieniem komercyjnym – Obozowa, Nowowiejska itd. Jednak to już w zasadzie inne realia i odrębna historia.

Kopalnia kurzu

Sztuczne obiekty oprócz aspektów sportowych spełniały jeszcze jedną dość istotną funkcję – skupiały środowisko. Zbierały się tam mocne grupki, które razem wybierały się w skały i zaliczały szereg znaczących przejść motywując się wzajemnie.



Wieża strażacka na Jelonkach. Jeszcze jedna z pierwszych ścianek warszawskich fot. R. Nowakowski

Ze względu na lokalizację ścianek, które początkowo znajdowały się głównie w szkołach i innych budynkach, których przeznaczenie nie było dedykowane pod działalność wspinaczkową, godziny otwarcia nie były zbyt obszerne. Równie skromnie wyglądały panujące warunki socjalno-sanitarne. J. Patrzykont: *Fajnie jak można było umyć ręce w cieplej wodzie – to już było ok.* Przeważnie zamiast wygodnych szatni z indywidualnymi szafkami zamykanymi na kluczyki i prysznicami, wspinaczom wystarczała ławeczka, przy której można było zostawić plecak. Agnieszka Zielińska wspomina z nieskrywaną sympatią warunki panujące „u Kamila”: *To była kopalnia kurzu. Co tam było... Potem jak to zdej-mowaliśmy, to się dopiero dowiedzieliśmy co tam się w ogóle działo na dole – były jakieś styropiany, materace i na to wszystko były położone dywany. [...] Generalnie było tak, że jak ja tam nie posprzątałam, to nikt nie posprzątał. Więc jak gdzieś wyjechaliśmy, np. na dwa tygodnie, to po naszym powrocie była totalna masakra. Jednak to się już nie vrati.*

Serdeczne podziękowania dla osób, bez których wiedzy i doskonałej pamięci ten artykuł nie ujrzałby światła dziennego. Są nimi: Agnieszka i Grzegorz Zielińscy, Jacek Patrzykont, Leszek i Jolanta Milczarek oraz Marek Kaliciński.

Przygody z Triathlonem

Mikołaj Albrycht

Pamiętam, jak 7 lat temu, koleżanka poprosiła mnie, abym wziął udział w starcie na rzecz Orkiestry Owsiańska. Dystans, który był wtedy do przebiegnięcia, oscylował w granicach 5 km. Stchórzyłem. Bałem się zimna, własnej kondycji i wielu innych czynników, które chętnie zapędziłyby mnie do grobu. Z czasem jednak stwierdziłem, że bieganie nie jest złe, daje jakieś wymierne wyniki i o dziwo, pozwala spokojnie pomyśleć w ciszy własnego umysłu. Potem nastał kolejny start, który nie powiódł się, oczywiście z winy mojego tchórzostwa. Tym razem moim łupem nie padła „dziesiątka”. Nic się nie stało.

Nastała zima i zacząłem biegać po malowniczej białej amortyzującej nawierzchni. To przywiązało mnie do biegania bardziej niż dążenie do jakichkolwiek wyników. Z czasem zacząłem sobie stawiać startowe cele. Nic zatem się nie zmieniło, bo wcześniej też zapisywałem się do zawodów biegowych. Już zeszłej zimy dotknęła mnie chłodna myśl, że czas, aby zrobić coś fajnego. Szczególnie, że wiek zaraz zacznie doskwierać i inne takie rzeczy. Nie jestem pewny, czy decydując się, aby sezon 2013 był pod znakiem triathlonu, chciałem sobie coś udowodnić. Słyszałem jedynie od żony, że jak zostanie „ajronem”, to ona nie da mi spokoju i będę musiał to udowodniać na każdym domowym kroku.

Wszystko zacząłem od zmiany stylu życia i rozpisanu sobie systematycznych treningów. Przy okazji nie omieszkalem zapisać się na kilka startów. Skoro miałem wystartować w Ironmanie, trzeba było zobaczyć, co to maraton. Treningowo przed królewskim dystansem biegowym wystartowałem w półmaratonie. Podszedłem do tego trochę z marszu. Nie miałem specjalnego wybiegania i innych profesjonalnych doświadczeń. Wynik był nad wyraz dobry. Sam siebie zaskoczyłem. Nie zaprzestałem treningów i wystartowałem w maratonie. Jest to dystans bardzo filozoficzny i potrafi upokorzyć każdego. Niestety, po maratonie musiałem przestać trenować, gdyż następny trening z powodu braku dostatecznej regeneracji zamienił się w podróż autobusem do domu. Tej podróży towarzyszyło wiele nieprzyjemnych słów pod własnym adresem. Uziemiło mnie to na ponad miesiąc, a czas uciekał.

Starty w triathlonach przemyślałem w sposób następujący. Najpierw krótki, potem dłuższy, a na koniec zobaczymy, jak to będzie. Wiem, że maraton to dużo, a w połączeniu z dwoma innymi dyscyplinami może grozić rentą. W międzyczasie zapisałem się na darmo-

wy start gdzieś pod białoruską granicą, ale niestety kolano nie było w odpowiedniej formie na ten start.

Prawdziwe zmagania zacząłem od dystansu sprinterskiego (0.75; 20; 5) rozgrywanego w Suszu. Wstałem o 4 rano, pojechałem, zjadłem coś, chwilę odpocząłem i ruszyłem na start. Woda była jak zupa, nieprzyjemnie gorąca, co spowodowało, że zrezygnowałem ze startu w pianie. To był pierwszy błąd nowicjusza. Drugi i zarazem gwóźdź do trumny polegał na ustawieniu się w samym środku. Ruszyliśmy. Woda się spieniła, ale myślałem sobie, że nie jest złe, tu się na kimś oparłem, tam kogoś złapałem za łydkę. Wtem ktoś nieświadomie uderzył mnie w twarz przerzucając mi okulary na tył głowy. Zaczęło robić się nie fajnie, a „pralka” włączała tryb wirowania. Stwierdziłem wówczas, że popłynę trochę z głową nad wodą, by dobrze się oddychało, a potem, jak się trochę wyluzuje, wejść we właściwy rytm.

**Nie zdążyłem.
Kiedy nabierałem powietrze,
ktoś położył rękę
na mojej głowie i wepchnął
ją pod wodę.**

Szybko odwróciłem się, by nabrać powietrze z drugiej strony, jednak zawodnik z tamtej strony wpadł na analogiczny pomysł, co poprzednik. Efekt - woda w tchawicy. Szybko przełączyłem się na „żabkę” i próbowałem łapać powietrze. Niestety woda była wszędzie i nie mogłem nic ze sobą uczynić. W tym momencie pływacy, którzy wcześniej płynęli wolniej, zaczęli mnie doganiać i łapać za nogi. Takiego napadu paniki, jak wówczas, to chyba nie zdarzyło mi się przeżyć nigdy wcześniej. Odwróciłem się na plecy i zacząłem się walić w kark, by choć trochę odrzucić tę wodę. Coś się udało, bo nabrałem powietrze, ale przed oczami miałem już białą. Kierowałem się w stronę niczego nie widzących ratowników. Dla mnie zawody się skończyły dosłownie w drugiej minucie. Trochę było mi przykro, ale jakoś pozbierałem się w sobie i wróciłem do treningów.

Drugi start miał się odbyć na dystansie olimpijskim (1.5; 40; 10). Czułem się dobrze. Wiedziałem, że w tych

¹ Urządzenie mechaniczne służące do prania odzieży. Pralka może być pakowana z góry bądź z boku, niemniej zawsze powoduje porządne wymięcie znajdującej się w niej rzeczy. Dokładnie tak czują się wszyscy triathlonowcy, walczący o życie w wodzie. Dodam, że robią to dobrowolnie i dodatkowo jeszcze za to płacą.

zawodach mogę nawet walczyć o jakichś ludzki czas i nie odbędzie się to kosztem uszczerbku na zdrowiu. Zapakowałem wszystko do samochodu. Niestety, często tak bywa, że zabieramy „nadbagaż”. Nigdy nie wiemy, co to będzie, a oczywisty się on staje dopiero po fakcie. Moja żona zawsze chciała zobaczyć, jak wyglądają zawody. Pomyślałem, że to świetny pomysł, by ją zabrać. Będę mógł się zrelaksować w siedzeniu pasażera, gdyż moja małżonka posiada prawo jazdy. Kiedy tak ćwierkaliśmy do siebie czule podczas jazdy, udało mi się przemyścić kilka edukacyjnych zdań na temat estetyki jazdy samochodem w mieście stołecznym. Uwaga nie została dostatecznie zauważona i kiedy niechybnie powtórzyła się przy następnej analogicznej sytuacji, riposta spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba w postaci niebezpiecznych prawych prostych. Nasza podróż zakończyła się dość spektakularnie już w okolicach Okęcia.

**Trochę było mi przykro,
ale jakoś pozbierałem się
w sobie i wróciłem
do treningów.**

Trzeci start nie był planowany. Sezon powoli się kończył. Plany zostały przerwane na rok następny, gdy wtem, na jednym z for, ktoś zakomunikował, że ma do odprowadzenia numer startowy na zawody w Borównie. Wcześniej liczyłem się z możliwością wzięcia udziału w tych zawodach, ale wszystko szło nie po mojej myśli, więc odpuściłem. Tym razem zdecydowałem, że pojedę i skończę to, co zacząłem na początku roku. Miałem dwa tygodnie na przygotowanie się do tego startu, a dystans był nie byle jaki, bo ½ Ironmana. Niestety, na zapale się skończyło, gdyż przyszły tak ciężkie dni, że nie miałem nawet chwili, aby spokojnie pobiegać, pojeździć na rowerze czy chociażby pójść na basen. Nie chcę mówić, że miałem pecha, ale pływalnię tuż koło mojego miejsca zamieszkania nikczemnie ktoś zamknął, by wykonać prace konserwatorskie. W ramach treningu udało mi się zrobić kilka przebieżek między 5-13 km i dojazdów rowerem do pracy. Żadna „zakładka” nie doszła w tym roku do skutku, więcjechałem do Bydgoszczy jeszcze mniej przygotowany niż na kwietniowy maraton. Kompletny brak odpowiedzialności. Wszyscy dookoła mówili, że się stresują, że mają problemy żołądkowe. Mnie nic nie ruszało, wręcz odwrotnie. Na miejsce trzeba było przyjechać dzień



fot. arch. M. Albrycht

wcześniej, by umieścić swój sprzęt w strefie zmian. Odprawa zawodników była od 14:00, więc zameldowałem się na miejscu już o 15:30. Dość szybko zabrałem swój pakiet startowy i już byłem gotowy ruszać, by zawięzić swój rower do Borówna³, gdy zorientowałem się, że wszyscy buty zostawiają w miejscu, gdzie miałem zaparkowany samochód. Na wszelki wypadek podszedłem do jednego gościa i zapytałem się, czy moje domniemania są prawdziwe. Odpowiedział twierdząco, dodając, że powinienem tu zostawić buty i „cały sprzęt do biegania”. To ostatnie stwierdzenie wierciło mi się nieprzyjemnie w głowie. Jakie inne rzeczy? Przecież ja mam przewidziane tylko 2 żele i buty... W niepewności zostawiłem ten ascetyczny tobołek i pojechałem pakować rower. W pewnym momencie, kiedy zbierało się już na wieczór, przypomniałem sobie, że nie mam gdzie spać... Dlatego rozpocząłem poszukiwania i skierowałem się na starówkę, by zjeść jakąś pizzę. Ku swojemu zdziwieniu odezwało się parę osób, które były gotowe przyjść mi z pomocą.

Rano obudziłem się, jak młody bóg. Zjadłem śniadanie i pojechałem do podstawionych autobusów, które zabierały uczestników na start. Tam zjadłem pyszną chałwę, napiłem wodą i zacząłem lekko przebiegać nogami, czy na pewno o wszystkim pamiętam? Na miejscu okazało się, że ostatni z IM nie wyszli jeszcze z wody. No trudno świetna chwila, by móc zmarznąć we wrześniowym słońcu. W końcu wszedłem do strefy zmian, ustawiłem sobie rower, dokleiłem do ramy chałwę, a obok miałem już przygotowane dwa żele. Nalałem do bidonów wodę i zmieszałem z jakimiś specyfikami. Z dodatkowego bidonu piłem przed startem. Kiedy nasz czas nastał, ubrałem się w wypożyczoną piankę i poszedłem nad wodę. Strefa zmian była oddalona o jakieś 300 metrów od plaży... Popluskalem się, woda nie grzeszyła temperaturą. Start się trochę opóźnił, ale wszyscy chyżo skoczyli do wody na znak spikera. Tylko

² używana w celu zaznaczenia miejsca czytania na książce lub skróót do określonej strony internetowej. Czasem również nazywa się w ten sposób złożony trening triathlonowy polegający na przebyciu dystansu w dwóch z trzech dyscyplin triathlonowych (bieganie, jazda na rowerze, pływanie)

³ Były dwie strefy, w dwóch różnych miejscach. Pierwsza w Borównie, gdzie przebieraliśmy się z pianek w rowery, a druga w Bydgoszczy, gdzie zakładaliśmy buty pozbawione rowerowych bloków.

ja wyczekałem na specjalną chwilę, rozejrzałem się czy wszyscy weszli już do wody i ruszyłem przed siebie. Wszedłem w odpowiedni rytm i szybko uderzyłem w zawodników, których tam nie powinno być. Stwierdziłem zatem, że nie będę się na siłę cisnął pomiędzy fanatyków wodnych atrakcji, tylko spokojnie „żabeczką” popłynę ku celowi. Dawało mi to szansę, że nie będę musiał nadrobić dystansu, który i tak został nadrobiony o jakieś 500 m przez organizatorów, którym urwała się jedna bojka i wprowadziła wszystkich w błąd. Ku mojemu zdziwieniu, bardziej męczyłem się w klasycznej pozycji i specjalnie, co jakiś czas przechodziłem do kraula, aby móc trochę odpocząć i lepiej się dotlenić. W pewnym momencie niebo nade mną się zachmurzyło.

Pomału zacząłem odczuwać przerażenie, gdyż w brzuchu pojawiło się mało przyjemne uczucie głodu.

Zacząłem myśleć, co z tym zrobić i w duchu cieszyć się, że dodatkowo podpiąłem chałwą do ramy. Do zrobienia były dwie pętle z wyjściem na brzeg. Po drugiej zacząłem się dość ślamazarnie toczyć w stronę strefy zmian, tak zwanej T1. Trochę mi się kręciło w głowie, ale cieszyłem się, że przeżyłem. Strefa zmian zajęła mi chwilę, bo miałem problemy ze zrzuceniem pianki. Zjadłem żel, ale nie całego, bo był strasznie niedobry i ruszyłem do wyjścia. Strój, jaki miałem na sobie był całkowicie przemoczony, a wiatr się nasilał. Powodowało to, że w ogóle nie było mi cieplej. Z mojego doświadczenia wiedziałem, że przy takiej pogodzie nie rozgrzeję się na rowerze. Ruszyłem i zabrałem się za pierwszy posiłek. To był strzał w dziesiątkę! Dał mi dużo szczęścia i szansę przeżycia kolejnego trudnego etapu. Początkowo ludzie nic sobie ze mnie nie robili i wyprzedzali mnie na potęgę. Jednak w momencie zakończenia konsumpcji wzięłem się w garść i odpowiedziałem 3 godzinną szarżą zakończoną drugą strefą zmian, czyli T2. Rower był najprzyjemniejszą częścią wyścigu. To na nim wyprzedziłem najwięcej osób, a różnorodna trasa umożliwiła mi pokazanie większej odwagi lub, jak wolą inni, mniejszego strachu. Na trasę rowerową, jak się dowiedziałem w czasie jazdy, składały się dwie pełne pętle i trzecia trochę zmieniona, która prowadziła na stadion Zawiszy Bydgoszcz. Jedyne, co pamiętam z tego etapu zawodów, oprócz skupienia, to to, że z każdą sekundą zwiększał się wiatr. Ludzie zaczęli wymiękać, a ja mówiłem sobie w duchu: „Nikt nie mówił, że będzie łatwo!” Z takim hasłem wpadłem na trasę biegową. Już tam wiedziałem, że nie będzie dobrze, bo

na rowerze poczułem, że doskwiera mi ból biodra, przez który nie byłem w stanie wstawać na pedały. Ruszyłem wolnym biegiem. Czulem się, jakbym biegł na szczudłach, ale ci przede mną wyglądali, jakby czuli się podobnie. Podczas biegu założyłem sobie, że będę utrzymywał wolne tempo, bo chcę jeszcze przebiec parę kilometrów w swoim życiu. Z każdym kilometrem stawałem się jednak coraz bardziej elastyczny i sprężysty. Do przebiegnięcia były 3 pętle. Biegło mi się dobrze, chociaż cały czas miałem problem z temperaturą. Ewidentnie było mi zimno i nikt nie chciał mi w tej kwestii pomóc. Na ostatniej pętli odkryłem, że nie mam już żeli, a w brzuchu kiszki marsza grają. Biegłem więc z myślą o najbliższym punkcie żywieniowym, gdzie uraczyłem się bananem i batonem. Pod koniec tego wyścigu czulem już „mięso” i wiedziałem, że meta jest tuż, tuż. Kiedy usłyszałem z głośników legendarny hincior „Seek&Destroy”, ruszyłem niczym sarenka przed siebie. Ludzie oglądali się, zastanawiając się, skąd ten „pajac” ma jeszcze tyle energii. Wpadłem na metę wykończony, bo ostatnie 600 metrów cisnąłem naprawdę potężnym tempem.

Czy poczułem się lepszy? Chyba nie. Przynajmniej nikt nie dał mi powodów, by tak myśleć. Wiem teraz, że jestem w stanie przejechać 90 km, czego nigdy wcześniej nie zrobiłem; że jestem w stanie jeść batony podczas biegu; że polewanie głowy wodą, powoduje większe zużycie energii; że dystans IM będzie kiedyś możliwy ☺.



fot. arch. M. Albrycht

Nowy w klubie Co dalej?

Kilka uwag nowego klubowicza

Mateusz Kluźniak

No właśnie, co dalej drogi nowy klubowiczu? Zakładam, że tak jak ja, nie zapisałeś się do UKA po to, żeby mieć zniżki w kilku sklepach, tylko po to, żeby wspinąć się tak często, jak tylko się da. I żeby poznać ludzi, z którymi będziesz mógł wspinąć się tak często jak się da. Być może tak jak i ja, od razu zrozumiałeś, że znalezienie kogoś, kto będzie zabierał Cię na wspinaw zawsze wtedy, gdy będziesz miał na to czas, nie będzie tak łatwe, jak początkowo zakładałeś.

Gdy w lipcu tego roku zapisałem się do klubu, nie mogłem się doczekać, aż dostanę dostęp do forum klubowego. Byłem prawie pewien, że czekają tam na mnie dziesiątki ogłoszeń w stylu „szukamy partnera na wspin w Tatrach”. Jakież było moje rozczarowanie, gdy okazało się, że niewiele się tam dzieje, a już na pewno nikt nie czeka, żeby zabrać mnie w góry. Zrozumiałem wtedy, że klub to nie jest darmowa agencja turystyczna. Żeby poznać ludzi, z którymi mógłbym się regularnie wspinąć, trzeba się trochę napracować. Pojawiło się pytanie jak to zrobić? Jak zacząć?

Po pierwsze, zastanowiłem się jak taka sytuacja wyglądała kiedyś. Otóż w czasach, gdy obecni członkowie zarządu byli trochę starsi niż ich dzieci obecnie, by wstąpić do klubu, trzeba było mieć porównanie dwóch członków wprowadzających. Oznaczało to tylko tyle, że trzeba było kogoś znać i cieszyć się choć elementarnym zaufaniem. Inaczej mówiąc, co najmniej dwóch członków UKA musiało być przekonanych, że nie przyniesiesz im wstydu. A i dziś, by ktoś wziął Cię na wspinaczkę, szczególnie w góry – musi choć trochę Cię znać.

Jak zatem przekonać kogoś o tym, że można na Ciebie liczyć w czasach, kiedy do klubu można zapisać się przez Internet, nie znając żadnego spośród blisko 500 klubowiczów? Po szybkim przeglądzie skrzynki mailowej było takich okazji co najmniej kilka: pomoc przy organizacji zawodów Pucharu Polski Juniorów, wigilii klubowej wraz z konkursem fotograficznym, „emergency request” Agnieszki dotyczący organizacji pikniku

wspinaczkowego na Warszawiance, do tego włączenie się w prace nad BUKĄ i pomoc przy objaniu Straszkowych Skał. Włączanie się w takie inicjatywy to świetna okazja na to, żeby pokazać, że można na Ciebie liczyć i że jesteś kimś, kim nie trzeba będzie się opiekować w trakcie nieprzewidzianych zdarzeń.

Po drugie, wyjazdy klubowe. W ciągu roku jest ich co najmniej kilka. Zimowy weekend integracyjny odbywa się na początku roku, często w lutym lub marcu. Są też obozy letnie, ostatni odbył się w Bergel. Oprócz tego rozpoczęcie i zakończenie sezonu na skałach. Czy impreza przy okazji objania dróg wspinaczkowych na Jurze. Takie wyjazdy to świetna okazja na stworzenie więzi, często nawet pozawspinaczkowych. Zwłaszcza, że w odróżnieniu od sekcijnego łojenia na ścianie przez 2 godziny w tygodniu, na takim wyjeździe spędza się ze sobą praktycznie 24 godziny na dobę. Gdy spytałem starszych kolegów o to, jak znaleźć w klubie ludzi, z którymi będę mógł się wspinąć, wyjazdy integracyjne były pierwszym strzałem.

Po trzecie, Klub jest taki, jacy są jego członkowie. Truizmem jest stwierdzenie, że to członkowie klubu stanowią o jego jakości, ale nie da się ukryć, że jeżeli sami się nie zatroszczymy o to, co klub oferuje swoim członkom, nikt tego za nas nie zrobi. Kilka osób, którym się chce, a którzy nie pobierają wynagrodzenia za swoją pracę, nie jest w stanie zapewnić atrakcji i wypełnić czasu wszystkim tym, którzy oczekują gotowych rozwiązań podanych na tacy.

Nie chcę brnąć dalej w temat roli klubów wspinaczkowych oraz sytuacji społeczeństwa obywatelskiego w Polsce, którego elementem kluby niewątpliwie są. Są to tematy na zupełnie inny artykuł. Nie da się jednak ukryć, że dziś wszyscy przyzwyczajeni jesteśmy do płacenia i wymagania, ale za 60 zł rocznie nikt nikomu nic nie zorganizuje. Tak więc, jeżeli sami czegoś nie zrobimy, to nikt za nas nie zrobi.

Przecież klub to my – klubowicze, a nie tylko zarząd.



fot. arch. M. Kluźniak

Wspomnienia

Tadeusz Słupski



Tadeusz Słupski podczas wyprawy na Hagshu fot. arch. T. Słupski

78

Dotychczasowi prezesi UKA

1963	Maciek Popko
1968	Marek Nowicki
1971	Piotr Rachtan
1973	Jarosław Dobas
1974	Marek Majle
1976	Wiesław Krajewski
1981	Bernard Ziółkowski
1983	Marcin Ludwiczak
1984	Tadeusz Słupski
1989	Joanna Czarnecka
1998	Karol Sulej
2000	Jacek Czabański
2005	Marek Kaliciński
2007	Jakub Radziejowski
2013	Marek Kaliciński

Maciek Popko i dziewicze góry Azji

Maćka znają wszyscy taternicy mojego pokolenia, dzięki publikacji pierwszego podręcznika alpinizmu – popularnie zwanego „Alpinizmem” Popki. Maciek zawsze podkreślał, że był to owoc pracy zbiorowej. Poznałem go w 1968r. na prelekcji w sali kominkowej Unikat, gdzie wraz z Krzysiem Wieteską opowiadali o masywie Dżilo (Cilo Daği) w Turcji, w których to górach robili pierwsze przejścia całkiem potężnych ścian. Jak ja im zazdrościłem! Do dzisiaj śni mi się to Dżilo Dagh i jeszcze Demawend z innej wyprawy KW do Iranu. W tym czasie nie było jeszcze slajdów – obraz gór ukształtował się w mojej wyobraźni na podstawie opowieści uczestników. Potem sam myślałem o wyprawie do Dżilo, ale zaczęła w nich działać partyzantka kurdyjska i chyba aż do dzisiaj obszar przy granicy z Syrią jest zamknięty dla wspinaczy. Do Kurdystanu Tureckiego dotarł w 1996 r. inny nasz kolega Chris Mrozowski z amerykańskiego Korpusu Pokoju i zarazem komentator Radia Wawa. Uwięzienie jego i jego dziewczyny przez partyzantów, a potem przez rząd Turcji stało się aferą na skalę międzynarodową.

Maćkowi Popce zawdzięczam też odkrycie Himalajów Kaszmiru. W 1976 dowiedziałem się, że Indie otwierają dla turystów Ladakh i Zanskar – po raz pierwszy w historii, bo pod panowaniem Tybetu w dawnych wiekach cudzoziemców tam nie wpuszczano. A i potem, w XIX i XX wieku, kraj ten stał się terenem „Gry o Himalaje”. Do dzisiaj granice Indyjskiego Tybetu są „linią kontroli” wg linii przerywania ognia, której żadna z trzech stron (Indie, Pakistan, Chiny) nie uznaje za swoją granicę. Do lat siedemdziesiątych jedynymi, którzy wspinali się w Zanskarze, był Włoch Mario Piacenza w 1913 roku oraz Austriacy Kolb i Krenek w 1951 r. Gdy spytałem Maćka, czy zna jakieś niewyeksplorowane rejony „małych Himalajów” – okazało się, że zna – wyszperał w BUW-ie mapy wyprawy Piacenzy w tomie „Himalaii Cashmiriani”. Dzięki tym mapom zorganizowaliśmy w 1977 pierwszą polską wyprawę do Kaszmiru na szczyt Brammah II, a ja po wyprawie przeszedłem trasą Piacenzy do Zanskaru. Potem ruszyły kolejne wyprawy z Polski i odbywały się aż do roku 1990, kiedy to niedostępne obszary Kaszmiru opanowały oddziały separatystów islamskich i właściwie dopiero w ostatnich latach wyparła ich stamtąd armia indyjska.

Jeśli uważać Maćka za inicjatora, to w eksploracji tej części Himalajów wzięło udział pięciu prezesów UKA, jako że w pierwszej wyprawie brało udział trzech: Piotr Rachtan, ja i Wiesio Krajewski, a później pierwszą wyprawę po stanie wojennym w 1983 prowadził Benio Ziółkowski, wchodząc (wraz z żoną Danusią) na szczyt Z3 (Cima Italia) i na Kun (7025m) – oba szczyty zdobyte w 1913 przez wyprawę Piacenzy. Największym polskim osiągnięciem w tym rejonie jest pierwsze wejście na dwa trudne szczyty – Arjunę (6230 m) i Hagshu (6300 m). Na Arjunę wszedł Zbyszek Skierski (podczas wyprawy KW), a na Hagshu poprowadziłem wyprawę klubową w 1988 roku i uważam tę górę za najpiękniejszą, jaką widziałem w życiu. Góry nie zdobyliśmy z powodu załamania pogody, ale dwaj koledzy z tej wyprawy Paweł Józefowicz i Darek Załuski wrócili w kolejnym roku i na lekko, w alpejskim stylu zakosili szczyt granią z miejscami V-VI, tuż przed oficjalną wyprawą angielską. Nasza wyprawa w 1988 była oficjalna i wtedy w północnej ścianie szczytu zastaliśmy nielegalnych wspinaczy brytyjskich, jednak zatailiśmy ich próbę wejścia przed naszym oficerem łącznikowym.

Trzeba przyznać, że grupa Kishtwar Himal do bezpiecznych nie należy – pod Arjuną zaginęli w 1979 r. w nieznanym okolicznościach dwaj nasi koledzy Janek Oficjański i Jacek Szczepański, a pod Hagshu zaginęła cała wyprawa angielska. W 1988 wspomniani poprzednio wspinacze brytyjscy udawali, że szukają na lodowcach wokół Hagshu śladów zaginionych kolegów. Ja

byłem z synem w tej okolicy w 1996 roku, w górnych piętrach doliny Dharlang i wtedy pasterze-koczownicy ostrzegli nas, żebyśmy nie schodzili w dół do Kishtwaru, bo rabusie podszywający się pod islamskich separatystów, biorą haracz nawet od pasterzy za przejście stada bydła.

Po zapanowaniu porządku w Kaszmirze w ostatnich latach było jednak znowu kilka świetnych wejść brytyjskich, np. na Kishtwar Kailash, a także nowe pomiary wysokości, w których Hagshu podwyższono o 200 m. Jeśli te pomiary się potwierdzą to Hagshu okaże się wyższe niż Arjuna i oba szczyty Brammah. Zdobywca Brammah I – Chris Bonnington pisał o Kishtwar Himal w 1973 roku „This could be a true mountain playground for future generations”. Potwierdzam i polecam uwadze klubu!

Marek Nowicki

Marek był prezesem, kiedy w 1968 po raz pierwszy udałem się w grudniu na zebranie klubowe w sali kominkowej Unikat na UW przy Krakowskim Przedmieściu – później zabraną nam pod księgarnię „Liber”. Wcześniej, koledzy z pierwszego roku Matematyki – Jacek Luniak, Hanka Szymanko (potem Mierzejewska) – wzięli mnie na bunkry w Czosnowie. Tam poznałem prezesa, jak również Heńka Mierzejewskiego z AKA i Bobasa z KW (Bogusia Słameę). Pokazali mi ściankę Popki, która leżała poza zasięgiem moich możliwości i „Cara” – słynną, ale szczęśliwie trochę łatwiejszą drogę na Wielkiej Czosnowieckiej.

Właściwie wszystkie kluby warszawskie – KW, UKA, AKA PW, SKT, PKG integrowały się wtedy na bunkrach w Czosnowie i Janówku. Bunkry w okolicach twierdzy Modlińskiej były dla nas tym, czym są teraz sztuczne ścianki. Bobas i Heniek byli moimi pierwszymi instruktorami w Tatrach oraz Alpach i wiąże z nimi wiele górskich wspomnień. Marka Nowickiego w górach spotkałem chyba tylko raz, turystycznie na Karbie, bo już około 1970 roku właściwie przestał się wspinąć wyczynowo. Pochłonęła go całkowicie działalność społeczna. Po prezesurze w UKA został wybrany na prezesa FAKA (Federacji Akademickich Klubów Alpinistycznych) i członka zarządu PZA, a w latach osiemdziesiątych utworzył Komitet Helsiński w Polsce i był jego prezesem aż do śmierci w 2003 roku.

W 1993 roku Marek poprosił mnie o pomoc w zorganizowaniu przyjęcia dla XIV Dalajlamy Tybety, którego Komitet Helsiński jako pierwszy zaprosił do Polski. Właściwie powinien go zaprosić prezydent Wałęsa, ale – jak zwykle – obawiano się reakcji Chin. Ja po moich wielu wyprawach do Ladakhu i jednej do Lhasy – by-

łem dobrze obeznany ze zwyczajami tybetańskimi i dlatego Marek poprosił mnie o wskazówki oraz wysłał wraz z dziennikarzami jadącymi z Dalajlamą do Oświęcimia. Napisałem dziennikarom w miarę sensowne pytania i miałem okazję dwukrotnie rozmawiać z rGygalba Rinpoche (tytuł tybetański Dalajlamy) – raz o Zanskarze, a w Birkenau pokazałem zdjęcia zrujnowanego uniwersytetu Ganden na wysokiej górze 4300 m w okolicach Lhasy. Jestem za to Markowi wdzięczny, a on też był zadowolony z mojego udziału w tej wyzycie.

Piotr Rachtan

Z Piotrem zaczynałem mój pierwszy sezon letni na Hali. Wrócił właśnie z przymusowego woja, do którego został zesłany po protestach studenckich w marcu 1968. Jeszcze nie było obowiązkowych kursów taternickich, ani Betlejemki, tylko prywatne schronisko Bustryckich, na które nie mieliśmy dość pieniędzy. Na taborisko też zresztą nie mieliśmy, dlatego nocowaliśmy na werandzie recepcji Murowańca i dostawaliśmy się tam drogą wspinaczkową po ścianie, gdy wieczorem zamykano recepcję. Jedzenie... sępiłymi od kucharek i od kolegów wyjeżdżających z taboru. Głównie były to chleb, margaryna, dżemy i paprykarz szczeciński, a kucharki dawały nam kartofle. W Moku było dodatkowe źródło pieniędzy - monety leżały na dnie stawu. W celu ich wydobycia posługiwaliśmy się kijem z zamocowaną zagietą łyżką z dziurką w środku. Zarobek często był w obcej monecie, wtedy schodziliśmy na przejście graniczne na Łysej Polanie, do sklepu dewizowego „Pewex”.

Wkrótce jednak nasza sytuacja materialna musiała się poprawić. Już wtedy, w 1973 roku zaczęliśmy myśleć o górach dalekich..., o Alpach. Zaczynały ruszać wyprawy w Hindukusz. Spotykaliśmy się w Harendzie z Markiem Nowickim, Andrzejem Sikorskim, Anią Okopińską i snuliśmy plany. Ja obstawiałem Himalaje, nie te drogie 8-tysięczne, tylko małe i niezdobyte. Bezczelność, przecież nie byliśmy jeszcze nawet w Alpach - ale wkrótce i Rachtan i ja szkolenie w Alpach zaliczyliśmy.

Kilka lat później jechaliśmy na ciężarówce-burubuchaju przez Kabul, Khyber Pass, Peshawar, Lahore w stronę Himalajów Kaszmiru – z tej wyprawy Piotr, jako młody dziennikarz wysłał korespondencję do gazety popołudniowej „Kulisy”. Mam dużą cześć tych reportaży – może warto by je jakoś opublikować?

Za kadencji Rachtana i Dobasa życie klubu organizował Adam Jankiewicz, Tomek Ostromecki i Zbyszek Skierski – spotkania klubowe przeniosły się z sali kominkowej Unikat do Klubu Prawnika na wydziale Prawa UW.

Jarosław Dobas

Jarek został prezesem, bo miał zorganizować wyprawę w Pamiar. Wraz z Tomkiem Ostromeckim i Adamem Jankiewiczem zorganizowali wyprawę w Atlas Wysoki. Jarek nigdy nie zajmował się szkoleniem czy obozami w Polsce, ale liczyliśmy na jego wysokie kontakty w Centrali Związków Zawodowych – CRZZ. Sowietów nie chcieli wpuszczać Polaków i nie można było zorganizować żadnego Kaukazu, Pamiru czy Sajanów bez oficjalnego zaproszenia CRZZ czyli Profsojuzów. Kontakty monopolizował Polski Klub Górski, czyli Piotr Młotecki – tylko oni wtedy jeździli w Pamiar na siedmiotysięczniki. No i nasz Jarek też miał jakieś kontakty. W końcu zorganizował wyprawę UKA z klubem gdańskim, na którym był jedynym przedstawicielem UKA. Weszli na Pik Moskwa (6,785 m).

Marek Majle

Z Markiem robiłem „Hokejkę” na Łomnicy. Miał z nami iść „Lit” (Jan Lityński, postać historyczna), z którym zrobiłem właśnie Filar Miegusza, ale się bał, że go złapią jak będzie przechodził zieloną granicę, bo ze względów politycznych nie mógł dostać przepustki na Słowację.

Marek też był działaczem politycznym, ale ja go bardziej pamiętam jako barda opozycji. Przyjaźnił się z innymi bardami, z poetą Jackiem Bieriezinem i z Januszem Szpotańskim, autorem „Towarzysza Szmacka”, „Carycy Leonidy” (o Breżniewie) i sztuki „Cisi i Gęgacze”. „Carycę Leonidę” usłyszałem w domu na moich imieninach. Marek przyprowadził Szpota niezbyt trzeźwego, który wyrecytował (całkiem już pijany) „Carycę” przy mojej mamie, ku jej zgorszeniu licznymi wulgaryzmami.

Pamiętam jak Marek w Moku grał na gitarze i śpiewał „Towarzysz Wiesław na racje, mamy w Polsce demokrację i”, W Hradec Kralove, w Hradec Kralove – polska okupacja”. Za takie śpiewy, a jeszcze bardziej za zbieranie podpisów w sprawie zmian w Konstytucji, a także później za KOR - Marka represjonowały władze.

Po przymusowym zjednoczeniu ZSP z ZMS władzę nad UKA przejęła Rada Naczelna SZSP, czyli „Biuro Turystyki Studenckiej Almatu” z ulicy Ordynackiej (czyli Wróbel, Ciosek, Czarszasty, Skąpski w „Almatu”, oraz Kwaśniewski - jako minister ds. młodzieży i sportu) – oni rozdzielali „dewizy” i rozliczali nas z wyjazdów zagranicznych. Znaleźli jakieś drobne nieudokumentowane wydatki obozu w Bułgarii, który poprowadził Marek, zrobili z tego aferę, skierowali sprawę do sądu koleżeńskiego SZSP. Sprawę sąd oddalił, a my mieliśmy kłopot wybierając nowego prezesa, bo nie można było spr-

wić wrażenia, że działamy pod presją Ordynackiej. W końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby ustępującemu prezesowi nadać tytuł Honorowego Prezesa UKA i taką uchwałę podjęliśmy. Jeśli wspominam kolegów związanych z opozycją polityczną – to wspomnę nieżyjącego już Jurka Jurkiewicza – jednego z uczestników „Marca 68” i Jasia Narożniaka – legendę późniejszych lat „Solidarności”. Obydwaj aktywnie działali w UKA – jako instruktorzy.

Jako instruktorka działała w tym czasie też Urszula Żuławska odpowiedzialna w zarządzie za „alpinizm kobiecy”.

Wiesław Krajewski

Z Wiesiem Krajewskim organizowaliśmy pierwszy „Koszmarn” czyli wyprawę w Kaszmir. Wiesiek może przekazać trochę wesołych opowieści o mnie, bardziej niż ja o nim, bo ja byłem enfant terrible wyprawy. I chyba nie byłem w tym okresie lubiany, w odróżnieniu od Wiesia. A Wiesio – który został prezesem długo przede mną – był w pewnym sensie moim wychowankiem, choć może nie pamięta, kto go wziął na pierwszy wyjazd wspinaczkowy.

Gdy w 1971 uzyskałem stopień „członka uczestnika”, zarząd pozwolił mi zorganizować obóz skałkowy, a ja – znany z niestandardowych pomysłów – wymyśliłem NRD. 1-go maja wchodziła w życie umowa z NRD o wymianie „bezpaszportowej”, czyli taki pierwszy mały krok do strefy Schengen. Wtedy bez paszportu można było jechać tylko do Czechosłowacji i w dodatku tylko na 6 dni na „pas konwencji”, czyli w Tatry lub w Karkonosze. A tu... otwierają się Niemcy, wprowadzie wschodnie, ale i tak ekscytujące.

1-go maja wyładowaliśmy więc plecaki w Połabskich Górach Piaszkowych między Dreznem a Czechami. Do dużego zespołu młodzieży UKA i AKA dołączyło kilku niewspinających się kolegów z Matematyki – w tym Wiesiek.

Jak mi się wydaje, tylko ja i Wiesiek znaleźliśmy niemiecki. W Elbsandsteingebirge trudno byłoby nauczyć Wieska prawidłowej asekuracji, bo miejscowi wspinacze zabronili nam używania haków i młotków. Po emocjach żywczkowania zeszliśmy wieczorem wszyscy do knajpy „Zum Guten Bier”. Zastaliśmy tam niemieckie towarzys-

stwo, które przyjęło nas – cudzoziemców – entuzjastycznie, z pieśnią na ustach, poczęstowało piwem i wzniosło toast „für deutsch-tschechische Freundschaft”. Wyglądało na to, że oni nigdy tam nie widzieli Polaków i wzięli nas za Czechów. Wiesiek mnie trąca: „Tadek, co robić? Pytaj, z jakiego miasta jesteście, kłamiemy?”. Ja mu na to: „Nie, ty możesz być „aus Praga”, bo mieszkasz na Pradze, a ja powiem „aus Žoliborz”

Albo wzniesmy toast „für deutsch-polnische Freundschaft”. Mam jeszcze zdjęcia z tego pamiętnego wyjazdu: Młody Zakrzęs, młody Jasio Wolf, młody Jasio Narożniak, Wiesio i... młody ja.

Bernard Ziółkowski

Z Ziółkiem łączy mnie wiele dróg skałkowych, potem Tatry, Alpy, komin na Żeraniu, Himalaje. Teraz zadzwonił do mnie z pretensją, że prace wysokościowe zdominowały opis jego kadencji prezesa w internetowej „Historii UKA”, a moje opinie uważa za nieprofesjonalne i niesprawiedliwe.

Benio działał w klubie przez wiele lat – odpowiadał za szkolenia, propagandę, sprawy sportowe. Tak się stało, że jego kadencja prezesa nastąpiła w stanie wojennym – działalność klubów studenckich była wtedy zawieszona, a Tatry (w pasie granicznym) zamknięte do wspinaczki. Jeździliśmy tylko na bunkry i w skałki...

W tej sytuacji wszystkie kluby alpinistyczne, nie tylko UKA, zajęły się pracami wysokościowymi i taka działalność dominowała w całym okresie 1981-1983. Było to głównie ol-kitowanie – czyli uszczelnianie wielkiej płyty osiedli mieszkaniowych, malowanie kominów elektrociepłowni i linii wysokiego napięcia. Działalność gospodarcza mogła być prowadzona tylko pod szyl-



Arjuna, Kishtwar Himal na horyzoncie fot. arch. T. Słupski

dem organizacji społecznej, takiej jak PTTK i dochody musiały iść na cele statutowe. W klubie i przy klubie działały różne grupy znajdujące zleceniodawców, grupy odprzedawały sobie nawzajem prace, a zarządy żądały włączenia do grupy wykonawców swoich „działaczy”.

Wszystko to prowadziło do nieuchronnych konfliktów, które tylko częściowo znalazły odbicie w dokumentach klubowych. Właściwie to nie znalazły żadnego odbicia aż do następnego Walnego Zebrania. Nie odnalazłem żadnych komunikatów klubowych z tego okresu. Benio mi powiedział, że musiał działać w sposób dyskretny, bo był inwigilowany przez bezpiekę w sprawie Jasia Narożniaka. Największym osiągnięciem tuż po zawieszeniu stanu wojennego była wspomniana już, zorganizowana przez Bernarda wyprawa w Himalaje Kaszmiru z wejściem na Nun-Kun.

Bernard angażował się w życie UKA również po zakończeniu kadencji zarządu klubu, organizował w salach rektoratu UW wystawę fotograficzną swoich zdjęć z wypraw UKA w Himalaje, a za mojej kadencji pomagał w szkoleniach i w organizacji obozu centralnego FAKA w Chamonix. Potem jego pasją stały się zawody Ski Alpinizmu, ale realizował ją już w KW Warszawa.

Marcin Ludwiczak

Marcin – jak to opisałem w historii klubu – był przywódcą młodych gniewnych, którzy przejęli władzę po Bernardzie Ziółkowskim, zarzucając ustępującemu zarządowi brak informacji o pracach wysokościowych i o projektowanych wyjazdach.

Ponieważ młodym, gniewnym nie udało się znaleźć nowych prac, zorganizować żadnych wyjazdów, ani kontrolować wypożyczeń z magazynu klubowego – życie klubowe zamarło. Na zwołanym po roku Walnym Zebraniu prezes nie dostał absolutorium, jedyny chyba taki przypadek w dziejach klubu.

Tadeusz Słupski

Za mojej kadencji klub odżył po okresie upadku i w odbudowie działalności mieliśmy całkiem dużo chętnych do pomocy. Pomagali zarówno dawni członkowie, tacy jak Jurek Jurkiewicz, Benio Ziółkowski, Andrzej Zakrzewski, Michał Michalak, a także młodzi, którzy po kursie szybko włączyli się do pracy w zarządzie... i organizacji życia towarzyskiego: Asia Czarnecka, Małgosia Mroczkowska, Radek Motrenko, Julek Orłowski, Picek, Słoń, siostry Leonowicz i Jacek Patrzykont, który szybko został instruktorem. Małgolesie (Małgosia i Leszek Łoboccy) i Tokarczykowie odbudo-

wali magazyn klubowy w jakimś zakątku Wydziału Matematyki, w Pałacu Kultury na IX pietrze, co wraz z sąsiednim audytorium tworzyło dość ciekawe miejsce spotkań. Zawdzięczaliśmy to wiceprezesowi UKA, a zarazem prodziekanowi Wydziału Matematyki – Wojtkowi Guzickiemu.

Tradycją klubu stały się wspólne wigilie, sylwestry w czasie wyjazdów na Słowację – do „Nalepki”. Najmiej z tego okresu wspominam szkoleniowy obóz zimowy w Śląskim Domu, na który zaprosiłem moich dawnych instruktorów – Henia Mierzejewskiego i Bogusia Słame, postaci już wówczas legendarne. Jest stratą nie do powetowania, że Bobas nie spał swoich gawęd z życia naszego pokolenia, a miał już do nich gotowy tytuł „W zerwach, łózkach i kieliszkach”.

Z dalszych wyjazdów wspomnę obóz alpejski w Chamonix, obóz kaukaski w Gruzji i wyprawę himalajską na Hagshu w 1988, a także wyprawę do Zachodniego Tybetu w 1986 roku, nieszcześnie przerwaną przez wybuch reaktora w Czarnobylu.

Byliśmy już w drodze a Lhasy pod szczyt Kailash, gdy źle zrozumiana wiadomość radia chińskiego o „wojnie nuklearnej w Europie” skłoniła nas do natychmiastowego opuszczenia Tybetu i powrotu do Nepalu. Ostatecznie wyprawa dokonała rekonesansu w mało znanych dolinach Mayar i Pangy w indyjskich Himalajach Zachodnich.

Joanna Czarnecka

Na kurs I stopnia, jeszcze za kadencji Ziółkowskiego, przyszły dwie zakłopotane dziewczyny i zapytały mnie – „My jesteśmy takie stare, czy w naszym wieku ma sens zapisać się na kurs? Przecież tu sama młodzież?” – a miały wtedy może 23 albo 24 lata. Były to Aśka i moja przyszła żona, Małgosia Mroczkowska. Po kilku latach prezesa Pani Asia (bo manierą tych lat było zwracanie do siebie per Pan/Pani nie per ty) opisała klubowy nowy trend:

W tym roku wyraźnie zaznaczył się spadek aktywności męskiej części naszego klubu – wspinały się głównie kobiety. W lipcu odbył się klubowy obóz „w kolebach” na Słowacji, w którym wzięły udział członkinie UKA: J. Czarnecka (Pani Asia), A. Leonowicz (Pani Ania), P. Leonowicz (Pani Paulina), A. Sawicka (Pani Andzia), M. Słoń (Pani Słoń)...

Ja do tego wzrostu udziału aktywności żeńskiej bardzo się przyczyniłem wcześniej – szkoląc je wszystkie. Niestety przy tym przyczyniłem się do spadku aktywności własnej – wyjeżdżając na długie lata do Ameryki. Cieszę się, że po 50 latach klub dalej działa i to bardziej efektywnie niż za naszych czasów.

UKA – 40 lat temu widziane oczyma byłego Prezesa Wiesława L. Krajewskiego



fot. arch. W. Krajewski

Napisać o czymś, co działo się 40 lat temu w UKA, wydaje się dzisiaj dużym wyzwaniem i to z wielu powodów. Najważniejsze jest chyba to, że dla każdego Polaka, żyjącego wtedy i dzisiaj, wydarzyło i zmieniło się w Polsce tak wiele, jak zapewne nigdy wcześniej i już nigdy później się nie wydarzy i nie zmieni. Więc czymże jest tamten krótki epizod w całym minionym czterdziestolecu i dla kogo jest on ważny?

Ale mimo to spróbujmy odświeżyć pamięć i dać świadectwo minionej świetności naszego klubu. Zacząć wypada od siebie, a więc tylko parę słów wprowadzenia. W góry trafiłem przez nudne, cotygodniowe obowiązkowe zajęcia wojskowe na studiach na UW (wprowadzone po wydarzeniach marcowych 1968 roku na polecenie pierwszego sekretarza partii tow. Gomułkę, żeby zdyscyplinować studentów; nosiliśmy wtedy mundury wojskowe i krótkie włosy!). To tam zamiast słuchać wykładów o budowie kałasznikowa, słuchałem opowieści Jacka Luniaka o wspinaczkach w Tatrach i kiedyś dałem się namówić i pojechałem w góry. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko: bunkry w Czosnowie i Janówku, skałki Podlesickie, letni kurs klubowy w 1971 roku na Hali Gąsienicowej i zimowy kurs w Pięciu Stawach (z Szymonem Wdowiakiem). Miałem to szczęście, że trafiłem od razu na ludzi z „najwyższej tatrzańskiej półki”, wielu znanych i dobrych wspinaczy. Bardzo dużo się od nich nauczyłem, już na samym początku.

Tak się złożyło, że na początku lat siedemdziesiątych, za panowania Gierka, pojawiły się tzw. promesy

dewizowe pozwalające na zakup 100 (a potem 110) dolarów USA po oficjalnym, czyli bardzo niskim kursie. I tak właśnie pojechałem po raz pierwszy na Zachód. Problem w tym, że po prawie 12 miesięcznym pobycie na Zachodzie (a pozwolenie miałem tylko na miesiąc), odmawiano mi przez kolejne trzy lata przyznania paszportu, co siłą rzeczy spowodowało, że skoncentrowałem się na działalności w Tatrach. Stąd już tylko krok do mojego „bycia Prezesem UKA”, bowiem miałem dużo czasu i dużo energii, by angażować się w sprawy klubowe. I tak to się zaczęło.

Spotkania członków UKA odbywały się raz w tygodniu, w słynnym klubie turystycznym Unikat na terenie UW. Dyskutowaliśmy o planach i organizacji obozów i innych bardziej ambitnych celach. Pokazywane były też „slajdy” na dobrej, pocziwiej ORWO a następnie szliśmy do Harendy na dalszą część, już mniej klubową, a bardziej towarzyską. Zapewne i dzisiaj wygląda to podobnie.

Moja praca w klubie polegała głównie na pracy od podstaw, czyli organizacji kursów szkoleniowych zarówno teoretycznych, jak i praktycznych w Podlesicach, a następnie kierowanie ludzi do Betlejemki. W lecie odbywały się nasze obozy wspinaczkowe zlokalizowane głównie na taborze w Moku. Zimą jeździliśmy na Słowację do Kieżmarskiej, Skalnatego Pleša czy też nawet do Czarnej Jaworowej pod namioty. Niektórzy z naszych członków kwalifikowali się na wyjazdy centralne organizowane przez Federację Alpinistycznych Klubów Akademickich (tzw. FAKA) i wysyłani byli do Francji na szkolenia lodowcowe tzw. UCPA (Union des Centres Sportifs de Plein Air), w Alpy do Chamonix bądź w Dolomity, inni jeździli na wyjazdy centralne PZA.

Mając coraz większe doświadczenie górskie, w 1976 roku zaczęliśmy myśleć o zorganizowaniu dużej wyprawy w Góry Wyżokie. Akurat stosunkowo niedawno Hindusi otworzyli zamknięty przez lata rejon górski zwany Himalajami Kishtwaru. Rejon o wielu niezdobitych wtedy pięcio- i sześciotysięcznikach. Jako cel główny wybraliśmy wejście na szczyt Brammah II o wysokości około 6500 m. Organizacja tak dużego przedsięwzięcia zajęła nam prawie rok. Musieliśmy uzyskać nie tylko akceptację naszych bezpośrednich nadzorców, czyli Komisji Sportu i Turystyki na UW, ale również aprobatę Komisji Sportowej PZA – takie to były czasy. Potem zaczęło się gromadzenie żywności, czyli

uzyskanie pozwolenia na zakup konserw baltonowskich, zamówienie sprzętu w Legionowie (namioty), lin w Beزالinie w Bielsku Białej oraz szukanie sponsorów na pokrycie wszystkich wydatków. Jednym z nich była Pollena, która wraz z drobną dotacją obciążała nas dwoma dużymi 10 kg. termosami wypełnionymi kremami. Później, na każdej przekraczanej granicy powodowało to dużo zmartwień, bowiem celnicy koniecznie chcieli zobaczyć, co jest w środku. Potem pakowanie w wyproszone z Polfarmu bębny. Jeszcze wizyta celnika, który je wszystkie skontrolował i zaplombował. I w drogę.

A droga to była niezwykła. Najpierw pojechaliśmy pociągiem do Duszanbe, potem wynajętą ciężarówką do Termezu. Następnie promem przez rzekę graniczną Amu-darię do Afganistanu. Tam kolejną, bajecznie kolorową ciężarówką przejeżdżaliśmy przez cały Afganistan przez Kabul, Dżalalabad do Peszawaru (w kolejnym roku weszli tam Rosjanie i na wiele lat Afganistan pozostał zamknięty).

W Kabulu okazało się, że niektórzy z naszych uczestników wykazali się życiową mądrością zabierając ze sobą maszynę do szycia marki Łucznik, bynajmniej nie do reperacji ubrań. Po drodze załapał się również na pierwsze doświadczenia z afgańską trawką: „afghan the best”, jak oznajmił jeden z naszych afgańskich kierowców.

Potem był Pakistan i totalna zmiana klimatu. Kolejna kolorowa ciężarówka, dziesiątki wypytanych, na słodko i z kardamonem, herbat, aż wreszcie dotarliśmy do dużego miasta Lahore. Jeszcze pociąg i byliśmy w Indiach w Jammu. Potem szybki przejazd do Kishtwaru i organizacja czterodniowej karawany.

Wspaniały pobyt w górach niestety nie dał nam pełnej satysfakcji, próba zdobycia szczytu zatrzymała się trochę powyżej przełęczy, na około 5,5 tys. metrów. Spadło dużo świeżego śniegu, a czasu nie było nieskończenie dużo. Wręcz odwrotnie. A więc powrót z przycgodami, zostaliśmy po drodze okradzeni (jeden plecak plus dokumenty), jeden z naszych uczestników (ten od maszyny do szycia) postanowił, że pozostanie trochę dłużej w rejonie i po wielu dniach samotnego trawersowania dolin i przełęczy dotarł do Leh w Ladakhu, przecinając całe pasmo górskie z zachodu na wschód. I to był chyba największy sportowy wyczyn wyjazdu.

W kraju, po powrocie, bazując na zdobytym doświadczeniu postanowiliśmy wspólnie z całym środowiskiem studenckim, zrobić kolejny wyjazd w ten sam rejon. Odbył się on w 1979 roku i pozwolił na pierwsze wejście na niezdojdy sześciolety szczyt oraz parę ciekawych powtórzeń na okoliczne szczyty.

W tym okresie nasi członkowie wielokrotnie brali udział w centralnych wyjazdach organizowanych przez PZA w Alpach, w Dolomitach czy też na Kaukazie, w rejonie Uszby. Również w kraju wielu z nas wspinając się robiąc zimą typowe długie i trudne tury, nie mówiąc o lecie, kiedy robione były często pierwsze polskie wejścia trudnymi drogami.

Piszę o tym właściwie tylko po to, żeby współcześni mogli sobie przybliżyć sobie tamte czasy i tamte trudności związane z wyjazdami zagranicznymi. Proszę o paszport, brak dewiz, brak dobrego sprzętu (o ile ktoś sobie nie przywiózł czegoś z „westu”). Praktycznie wszystko robiło się samemu albo załatwiała jakoś inaczej.

Był jeszcze inny mroczny czas w życiu naszego kraju, a także klubu. Stan wojenny i zakaz przemieszczania się po kraju i ograniczenie wyjazdów za granicę. Nie było więc mowy o wspinaniu, nawet w Tatrach. Wszystko się zatrzymało. Ale nawet wtedy, dzięki pomocy członka UKA, ówczesnego doktoranta na Uniwersytecie MacGilla w Toronto, Funduszowi Krzaka i innym dobrym ludziom udało się zorganizować klubową wyprawę do Kanady w rejon Bugaboo, nazywany czasami północnymi Yosemite. Wyjechaliśmy w lipcu 1982, a wracaliśmy różnie - niektórzy zaraz po wyprawie, inni po roku, a jeden z naszych wybrał wolność. Tak to wtedy wyglądało. Zrobiliśmy parę skalnych dróg i poznaliśmy nowy, wyjątkowo rzadko odwiedzany przez Polaków rejon górski.

A potem wszystko zaczęło się zmieniać: prezes w naszym klubie, skończył się stan wojenny, przyszła demokracja, potem inflacja, ale dostaliśmy dostęp do dewiz i 10 letnie paszporty, które mogliśmy wreszcie trzymać w domach. Walutę kupujemy oficjalnie w kantorach. Wyjazdy i wyprawy wspinaczkowe organizujemy „ad hoc”, nikogo nie pytając o zgodę i pozwolenie. Nasz świat stał się inny, zapewne bardziej normalny, ale tamten, z lat siedemdziesiątych na pewno był trudniejszy, ale przez to chyba ciekawszy.



fot. arch. W. Krajewski

Lata 1998-2000

Karol Sulej

Prezesem byłem jedną kadencję. Krótko i dobrze, bo przywódca ze mnie żaden. Jednak kilka istotnych dla historii Klubu zdarzeń w tym czasie miało miejsce. Zaczniemy od tego, jak to się stało, że objąłem to zaszczytne stanowisko.

Od jakiegoś czasu byłem skarbnikiem klubu, czyli osobą, która przyjmowała nowych członków i zbierała opłaty za korzystanie ze ścianki. Zostać nowym członkiem nie było wówczas łatwo głównie z powodu ograniczonej pojemności ścianki na Nowowiejskiej. Funkcja ta sprawiła, że miałem kontakt ze wszystkimi członkami klubu, zarówno ze starymi wyjadaczami jak i młodymi ambitnymi.

Z racji wieku zaliczałem się raczej do drugiej grupy, natomiast z powodu mojego konserwatywnego stosunku do życia znalazłem również nić porozumienia ze starą gwardią, w tym z Prezesową Joanną. Moimi kontrkandydatami byli młodzi niepokorni, czyli Łukasz Wajs, a po jego tragicznej śmierci Jacek Czabański, którego w owym czasie, o ile mnie pamięć nie myli, stara gwardia się nieznanie obawiała. Ostatecznie wybory wygrałem ja. Nie miałoby to jednak żadnego znaczenia, gdyby nie udało mi się namówić do pracy w zarządzie, mającego spore obiekcje, Jacka Czabańskiego. Myślał, że jako konserwa będę blokował zmiany i podtrzymywał stary porządek. Ja, choć z natury nie jestem inicjatorem zmian, to je lubię i ostatnią rzeczą, jaką mógłbym robić, to je blokować.

W tym momencie niezmiennie kołaczę mi się w głowie tekst piosenki Dezertera:

*Wasze zmiany nic nie zmieniają
Wasze zapewnienia nic nie zapewniają
Ja nie wierzę w poprawę sytuacji
Chcę prawdziwych zmian, a nie manipulacji*

Na szczęście ta kadencja rozpoczęła prawdziwe i dobre zmiany, które sprawiły, że Klub przekształcił się w nowoczesną organizację. Ich głównym motorem, tu trzeba oddać dziejową sprawiedliwość, okazał się właśnie Jacek, który jako student prawa miał ku temu podstawy merytoryczne.

Zacząło się od próby założenia klubowego konta bankowego. Nagle okazało się,

że oddział PTTK, którego kołem numer 5 był nasz Klub, już nie istnieje. Nota bene oddział ten został rozwiązany z powodu jakiś defraudacji takie to były czasy.

Trzeba było jak najszybciej zdobyć osobowość prawną. Jacek doszedł do wniosku, że najlepsze będzie Stowarzyszenie Kultury Fizycznej. Wymagało to wizyty w sądzie. Ja, jako jeden z ostatnich nieszczęśników, odbywałem w tym czasie obowiązkową służbę wojskową.

Zesłali mnie do Olsztyna, więc, aby się stawić na rozprawie musiałem dostać dwudniową przepustkę. To, choć wielu czytelników tego tekstu może nie zdawać sobie sprawy, było cudownym zrządzeniem losu. Samo posiedzenie sądu było czystą formalnością, choć uświadomiło mi, że wymiar sprawiedliwości rządzi się swoimi prawami, a kontaktu z nim należy unikać w przyszłości jak ognia.

Dla mnie ta prezesura miała jeszcze jedną poważną konsekwencję, jako skarbnik przyjąłem do klubu pewną koleżankę. I dziś, choć trudno jednoznacznie stwierdzić czy fakt, że byłem prezesem klubu mi pomógł czy nie, to jakiś czas potem wspólnie świętowaliśmy jeden z pierwszych w tamtej epoce klubowych ślubów. I to był początek końca mojego wspinania. Choć *Chirski Maharadża* wciąż czeka i może dzięki osiągnięciom współczesnej medycyny jeszcze kiedyś wyrównamy rachunki.

Poniżej scan mojej ówczesnej legitymacji Klubowej. Lubię jej prostą formę.



Lata 2000-2005

Jacek Czabański



foto. arch. J. Czabański

To były czasy zdumiewające i surowe: nie było wówczas Googla, Facebooka, ani Twittera. Ale za to wstęp na ściankę na Nowowiejskiej był po 3 zł. Był rok 1996.

To właśnie od ścianki na Nowowiejskiej rozpoczęło się drugie życie UKA. Po zapaści początku lat 90., Klub zaczął odżywać, gdyż mógł zaoferować rzecz cenną: możliwość wejścia na pierwszą szerzej dostępną ściankę w Warszawie. Mieściła się ona w społecznym liceum ogólnokształcącym, miała 6 m. wysokości i przerażający okap. Podejście pod okap, wejście w zadziwiającą pozycję w okapie, wysięg z podchwytu, przegramolenie się przez kant i dwa przechwyty na granicy odpadnięcia do łańcucha – tak, smak zwycięstwa nad tym okapem pamiętam do dzisiaj.

A potem było piwo Warka Strong w pubie przy pl. Politechniki. Były też mecze w nogę na zaimprovizowanym boisku na pl. Na Rozdrożu, boisku które okręcało się wokół fontanny na środku skweru.

Były więc to czasy wielkiej improwizacji. Jednak

z tej improwizacji zaczął się powoli wylinać nowy Klub. Ścianka na Nowowiejskiej zwabiła całą grupę młodych adeptów wspinania, którzy chcieli wspiąć się nie tylko na panelu, ale w skałach oraz w górach, latem i zimą. Niektórzy z nas zapłacili za to najwyższą cenę. Łukasza poznałem gdy był w ogólniaku, wspólnie wydawaliśmy podziemne piśmiennictwo. Był przełom roku '88 i '89. Zanim wsadziła nas bezpieka, Okrągły Stół zakończył władzę komuny i w ten sposób nie zostaliśmy męczennikami za sprawę. Później nasze drogi się rozeszły. Minęło 6 lat. Pewnego dnia na ścianie na Nowowiejskiej rozpoznałem znajomą twarz. "Łukasz Wajs, o ile się nie mylę?" zapytałem. W ten sposób odnowiła się nasza znajomość. W następnych latach wiele się razem wspinaliśmy, robiąc między innymi długie drogi w Dolomitach i Alpach. 23 lutego 1998 jadąc samochodem usłyszałem w radiu wiadomość o śmiertelnym wypadku w Tatrach... Przestałem wspiąć się zimą.

Od tamtej pory śmierć w górach towarzyszyła działalności Klubu, co jakiś czas zabierając przyjaciela lub znajomego. Coraz jednak więcej osób wstępowało do Klubu i chciało działać. Trudno nawet wymienić wszystko, co pojawiło się wtedy, gdy najpierw byłem wiceprezesem (prezesem był Karol Sulej), a od 2000 r. prezesem: pierwsza strona internetowa, pierwszy numer BUKI (redaktorem oczywiście Kuba Radziejowski), logo Klubu zaprojektowane przez Janka Mioduszeńskiego, nowe legitymacje, oferta zniżek, klubowe koszulki i nagrody za najlepsze przejścia.

Było też oczywiście wspinanie na bunkrach w Janówkach, Czosnowie (tam wędkę powiesiłem ze zdechłego samochodu), a także trawersy na trasie Łazienkowskiej i pod Grotem.

Przed wszystkim jednak wznowiliśmy klubowe wyjazdy w skały i góry. Nie licząc wielu weekendowych grupowych wyjazdów w skałki podlesickie czy podkrakowskie, rozpoczęły się klubowe wypady do Ospu czy Arco oraz letnie obozy w Chamonix. Wyjazdy zagraniczne miały również charakter zaopatrzeniowy – buty, liny, plecaki, kurtki – wszystko pracownicy przewoźiliśmy przez liczne wówczas granice. W trakcie jednego z powrotów z Chamonix, polscy celnicy po otworzeniu bagażnika i sprawdzeniu ile to cennych lin i plecaków przewożymy, zapytali podchwytliwie kierującego w tamtym

momencie Marka Kalicińskiego – „A co powie prezes waszego klubu, jak się dowie, że szmuglowaliście liny?”. Marek nie stracił jednak czujności, i wskazując na mnie powiedział: „Prezes stoi tu”. Celnicy próbowali jeszcze, choć bez większego przekonania, wymusić łapówkę, ale w końcu uznali nas za przypadek beznadziejny, który może tylko przynieść pecha i puścili.

Potem pojawiły się nowe klubowe ścianki: Siennicka, a następnie Obozowa. Klub stawał się coraz liczniejszy. Zapisy do Klubu prowadziłem na ściankach, wyjmując z plecaka papierową teczkę z dokumentami i służbowy stempel. Do Klubu każdego roku potrafiło się zapisać kilkadziesiąt osób. Wspinanie zaczęło robić się modne.

Coraz częściej zaczęły odbywać się pokazy slajdów w piwnicy na Srebrnej 16. W archiwalnych numerach BUKI można do tej pory znaleźć ekscytujące opisy: pobity kolejny rekord frekwencji: 45 osób na sali, w tym 3 siedzące na szafie. Z pokazami zaczęli przyjeżdżać wspinacze spoza Klubu. UKA robiło się znane. Nieuchronnie więc zaczęła się rywalizacja z KW Warszawa, przybierająca czasem formę meczy piłkarskich, a częściej chłodnej obojętności lub wymiany kąśliwych listów czy obelgowpisów na forach internetowych. Jedną z konsekwencji takiej ciągłej utarczki było przyznanie mi zaszczytnego morskoocznego Jaja – w sumie nie pamiętam już, o co żeśmy się z KW tak spirali przez te lata – w sumie jednak nie powinien dziwić te utarczki pomiędzy nami, wystarczy spojrzeć, co się dzieje pomiędzy dwoma warszawskimi klubami piłkarskimi.

Klub pod swoje skrzydła przyjął sekcję młodzieżową AGAMA, prowadzoną przez Gosię Kusztelak. Zaczęliśmy odnosić sukcesy w zawodach juniorskich, a dzięki Romkowi Głowce, również seniorskich. Śp. Robert Sieklucki, Kuba Radziejowski, Michał Kasprowicz, Marcin Wernik, później Maciek Ciesielski czy Wawa Zakrzewski – oni z kolei swoimi przejściami pokazali co można osiągnąć w górach.

Klub zaczął żyć coraz intensywniejszym życiem. Jako pierwsi ze środowiska sięgnęliśmy po unijne pieniądze, wydając w 2004 r. BUKĘ w ramach projektu topo Europe – opis wspinaczkowych rejonów Europy. Wtedy to było coś, pierwsze CD dołączane do wspinaczkowego pisma ...

Ale oczywiście najwyższe wspomnienia są z licznych wyjazdów wspinaczkowych. Poszukiwanie dobrego wina w Arco (Filip rozglądający się po sklepie... eeee... *vino... vino cartono?* No, no, no – odpowiedź sklepiarz – *solo bottiglia*), poszukiwanie dobrego wina we Francji (Marek po raz pierwszy odważył się kupić wino nie w kartonie lecz w butelce, po 6 franków za sztukę. Ani białe, ani czerwone jednak mu nie podpasowało.



sifa wspinania
sifa internetu



maciejek oczeba na Pata Neury Be S.P. Rodellar. Int. xenia kocel

90 000 czytelników
2 500 000 odsłoneń*

wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy

*statystyki miesieczne serwisu wspilnosc.pl wg Google —
wielkość użytkownicy oraz odwołania wszystkich stron serwisu

Dopiero po ich zmieszaniu był zadowolony, no ale teraz pił wino po 12 franków sztuka), a także znalezienie dobrego wina w Słowenii, nalewanego z kadzi do posiadanych przez nas karnistrów (następnego dnia była droga powrotna do Polski i prośby: Jacek, nie kręć tyle).

Sklamałbym jednak, gdybym sugerował, że na tych wyjazdach w ogóle się nie wspinaliśmy. Pamiętam przerażające płyty Placche Zebrate, gdzie przez 200 m. można było nie uświadczyc jednego chwytu, a człowiek stał bardziej z przyzwyczajenia niż z jakiegos konkretnego powodu. Niby poлого, a jednak wyczerpywało. Tufy na Sardynii czy kaloryfery na Anica Kuk.

No i przede wszystkim te wspaniałe zmiany dekoracji. Wyjazdy z Warszawy naprędce zwołaną ekipą w piątkowy, listopadowy wieczór, by w sobotnie popołudnie prażyć się w prowansalskim słońcu.

Trudno dokładnie określić moment, kiedy ten czas zaczął mijać. Poznane w skałkach narzeczone stawały się żonami, w domu zaczęli pojawiać się kolejni mali ludzie, na horyzoncie byli też już pracodawcy, deadliny, projekty, zamierzania, plany, katastrofy i sukcesy. W końcu w roku 2005 wyjeżdżam na studia doktoranckie do Turynu i rezygnuję z funkcji prezesa. Ale czas swobody będzie się już wiązał w mojej pamięci z UKA, najlepszym klubem wspinaczkowym w tej galaktyce.



fot. J. Mazur

Lata 2007-2013

Natural Born Moaner

Jakub Radziejewski

Przez całe życie starałem się unikać tego typu nie-szczęść. Owszem, gdzieś tam coś organizowałem, gdzieś za coś odpowiadałem, czemuś tam w życiu przewodniczyłem. Ale zawsze tak, by nie musieć angażować się w to sercem. Pracę niby też dobierałem sobie tak, by odpowiadać za efekt, kierować czymś niewielkim, a nie spowiadać się przed przełożonymi. Ale żeby formalnie zostać prezesem stowarzyszenia, organizacji, klubu sportowego? Alpinistycznego?

- Nigdy w życiu, ja się do tego nie nadaję – tak sobie i innym mówiłem i spałem spokojnie.

Jak mi było z tym dobrze!

Eeeech.

I co? Niech żyje niekonsekwencja... Nawet kosztem spokojnego snu.

Po raz pierwszy próbował mnie namówić na tę in-

tratną fuszke, urzędujący jeszcze wtedy Jacek Czabański, który wypominał mi (słusznie) pomoc, jaką dostawałem od UKA na kilku etapach mojego rozwoju wspinaczkowego. Byłem konsekwentny, pewny w argumentacji i zachowawczy w działaniu. Odmówiłem!

Jaki byłem dzielny!

Prezesem został Kali.

Rok później do szturmu przystąpił Wernix. Kto go zna, ten wie, że kiedy mu na czymś zależy, nie odpuszcza, choćby go pechuńko prześladowało, życie rzucało mu kłody pod delikatne stopy, a Radziej nie chciał się słuchać. Był tak męczący i tak upierdliwy, że pokłóciliśmy się dotkliwie.

Z pół roku ze sobą nie rozmawialiśmy.

Pół roku minęło, Wernix zmienił technikę negocjacji i nagabywania, zaoferował wsparcie w pracach zarządu (z czego niezwykle skrupulatnie się przez kolejne lata wywiązywał), pogadał z innymi chętnymi do pracy. No, a na

do datek, w domu też zaczęło się sugerowanie, że może to nie jest taki zły pomysł... Że może powinienem...

... w efekcie kolejnych wyborów, w marcu 2007 roku zostałem wybrany na prezesa UKA.

Mimo, że nadal chciałem się intensywnie wspinać.

Sześć kolejnych lat (czyli trzy kolejne kadencje) minęło w rytmie cyklicznym. Od pełnego zaangażowania w rozwój Klubu – takiego w rodzaju *a muerte*, przez ciężką acz satysfakcjonującą pracę, czasem po kilkadziesiąt godzin tygodniowo, do płaciliwo-przeklinających okresów w stylu „nigdy więcej”, „jaki ja, k...”, „głupi byłem” i „ty debil, stuknij się lepiej w twarzoczaszkę, zanim ci kolejny taki pomysł do głowy przyjdzie” – to ostatnie wyłącznie przed lustrem.

Po czym znowu: *a muerte*, po którym zawsze widoczne były efekty, ciężka praca, po której stres trzymał przez kolejne noce, czasem nagroda w postaci słów uznania i wsparcia, które otrzymywaliśmy jako zarząd, i wreszcie ponownie – frustracja wynikała z takich doświadczeń, jak choćby poznanie nowego typu klubowicza: *homo zniżkus*, którego wiecznym mottem jest: „płacę 70 złotych składki członkowskiej na rok i żądam... najlepiej wszystkiego.”

Całe szczęście wspinałem się nadal dość intensywnie.



Przewodniczyłem trzem zarządom UKA. We wszystkich byli Wernix, Kali, Jarosz i Wierzbą, w dwóch Banaś, w jednym Helmik, Żulu, Romek i Marcinos. Każdy z nich włożył sporo pracy w różnych okresach. Każdy, wliczając prezesa, musiał być w innych mobilizowany. To była dobra współpraca, choć nie zawsze łatwa.

Czy było warto?

Trudno mi to określić z perspektywy klubowicza, choć chciałbym wierzyć, że tak. Z perspektywy społecznika, „z przymusu” odpowiedź nie jest prosta, bo nie do końca potrafię zbilansować koszty (subiektywnie wysokie) i zyski.

Koszty wzięcia na siebie współodpowiedzialności za Klub i ich ocena, to sprawa indywidualna i subiektywna. Myślę, że minie jeszcze trochę czasu, nim będę w stanie nabrać do tego dystansu.

A zysków przecież nie było tak mało.

Kiedy zostawałem prezesem po raz pierwszy, klub miał wpisanych na listę 180 osób, z czego połowa nie miała opłaconej składki za poprzedni rok. Kiedy oddawaliśmy klub sześć lat później, członków UKA było na liście ponad 400. I to pomimo odejścia w tym czasie lub usunięcia, za nieopłacone składki, ponad 200 osób (!). Z tego co wiem, obecnie klub nadal rośnie w podobnym tempie.

Przez te wszystkie lata wyprostowaliśmy kilka formalnych, ale istotnych spraw organizacyjno-instytucjonalnych. Utrzymaliśmy, a nawet wzmocniliśmy spokojne funkcjonowanie finansowe klubu, zrealizowaliśmy całe mnóstwo projektów i działań integracyjno-szkoleniowych, jak choćby pierwowzór pezetowskiej młodzieżówki górskiej (tzw. GMUKA – Grupa Młodzieżowa UKA), o obozach, kursach czy spotkaniach przy ślajdach nie wspominając. Zapoczątkowaliśmy ideę klubowych spotkań wigilijnych w formie przebieganych zawodów bulderowych, które z czasem zaczęły przybierać formułę otwartych zawodów towarzyskich. Przy okazji zorganizowaliśmy lub współorganizowaliśmy kilka innych imprez sportowych (zawodów wspinaczkowych, biegów ŻUKA) dla całego warszawskiego (i nie tylko) środowiska. Okolicznościowe koszulki, nagrody dla najlepszych wspinaczy, warsztaty, konkursy fotograficzne, coroczne wydawanie BUKI to kolejne przykłady „codziennych” działań zarządu.

Kontynuowaliśmy, zapoczątkowaną wcześniej, szczytną ideę obijania skał na Jurze Zawierciańskiej. I owszem chwalić się, bo jest czym, jako środowisko klubowe byliśmy w tym pierwsi i nie jestem pewien, czy którykolwiek inny Klub ma w tej materii więcej na koncie.

Z perspektywy czasu myślę także, że fakt, iż w Warszawie o nowych członków rywalizowały dwa największe, spośród zrzeszonych w PZA klubów w Polsce, to pozytywny czynnik rozwoju obu z nich. Wszak mimo wielu niesnasek, zawirowań i czasem wzajemnych złośliwości, zdrowa konkurencja i rywalizacja przyniosła wiele pozytywnych. Czasem to my próbowaliśmy doszłusować do KWW, nierzadko wśród członków KWW dało się słyszeć: „A w UKA robią to i tamto, czemu tego nie ma u nas?”

Wreszcie, podczas wspomnianych sześciu lat, UKA miał także swój skromny współudział w tym, że osiągnięcia, zarówno sportowe, jak i górskie, naszych klubowiczów należały do najlepszych w kraju. Choć tu klub mógł się wykazać najwyżej formalnym wspieraniem czy skromnym dofinansowaniem najlepszych. Same sukcesy to oczywiście efekt ciężkiej pracy i umiejętności klubowiczów.

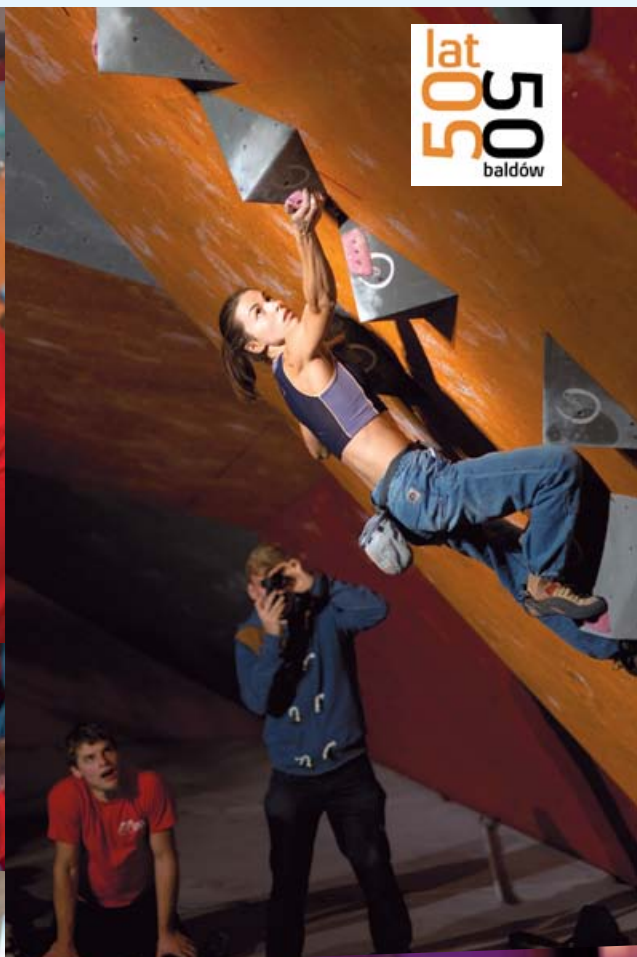
Były też porażki, pozostały rzeczy niezrealizowane. Czasem zabrakło motywacji, czasem sił. Nie wszystko wychodziło też, tak jakbyśmy chcieli. Na nasze działania wpływały czasem niezależne od nas uwarunkowania zewnętrzne, w których przyszło nam funkcjonować (szczególnie podczas ostatniej kadencji), ale *summa summarum*, one wszystkie nie były w stanie zniwelować wielu ciekawych rzeczy, jakie udało nam się zrealizować.

Taką mam nadzieję.

Zawody na 50 lecie UKA

Zdjęcia: Wojtek Ryczer







Rzecz o zawodach

Zbyszek Warakomski

fot. W. Ryczer

Napisanie po raz drugi tekstu na ten sam temat to sztuka nie łąda. Po cichu liczyłem, że uda się wyłgać – w końcu kto chciał, ten przeczytał podsumowanie zawodów na stronie klubowej lub na innym wiodącym portalu. Niestety Aga użyła podstępny i nie mam wyjścia...

50 lat klubu to wyjątkowa okazja, więc impreza powinna być adekwatna. Podjęliśmy się organizacji największych jak do tej pory w historii klubu zawodów – i impreza była całkiem spora.

Szczegóły dotyczące wyników znajdziecie na końcu. Tu kilka wrażeń na temat przygotowań i zawodów, które tam się nie znalazły.

Zawody w liczbach:

50 lat / 3 dni szorowania chwytów / 50 nakręconych baldów / ponad 1500 użytych chwytów / grubo ponad 300 startujących / 20 kg bananów / paleta Oshee / 400 koszulek / 6 statuetek, które zapomnieliśmy rozdać zwycięzcom / 27 wolontariuszy / 7 routesetterów / tylko jedna poważniejsza kontuzja

Od czego trzeba było zacząć – od terminu. Z tym jeszcze poszło całkiem łatwo, wprowadzie Wojtek marudził, że na początku października jest najlepszy warun

na Okienniku i w okolicach, ale został przegłosowany. Dalej nie było już tak różowo – wydawać by się mogło, że przygotowanie logo to prosta sprawa – w klubie przynajmniej kilku artystów, na pewno się uda. Głosowaniom, typowaniom i numerowaniom wersji nie było końca, a ja bez logo prezentacji dla sponsorów i mediów rozpowszechniać nie chciałem. W końcu wziąłem sprawy (i Photoshopa) w swoje ręce, dorzuciłem swoją propozycję (anonimowo) do tych, między którymi miał nastąpić wybór, i na szczęście logo udało się przegłosować. Demokracja ssie ☺.

Fejsbuk to fajna sprawa:

„Cześć, czy w Oshee nie chcielibyście nam dać napojów na takie fajne zawody?

-A ile?

-No, tak może z paletę.

-Ok”.

Fajnie by było, gdyby tak było – tak naprawdę to trzeba się było trochę nagimnastykować, ale udało się i sprawę napojów do pakietów startowych mieliśmy z głowy.

„Ale ładna prezentacja!” powiedziała mi Aneta ☺. Tym samym udało się załatwić bardzo duże wsparcie od adidasa. „Takie zestawy nagród – to chyba naprawdę przyjdzie czołówka”, myślę sobie z zadowoleniem.

Kali: *Do odkręcenia i umycia jest około 1500 chwytów. Przy minucie szczotkowania to daje 1500 minut pracy na szczocie, 25 roboczogodzin.* Tuż przed zawodami mam jakieś mega spiętrzenie w pracy, ale na szczęście wszystko idzie gładko – dzięki wolontariuszom, ekipie Bloco i nadzorowi Prezesa chwytów zostają odkręcone, umyte i są gotowe na nocne sesje kręcenia.

„Tak Marek, wiem, koszulki trzeba zrobić”. Na szczęście niezawodna Iwona Burawska dorysowała do logo elegancką grafikę i udało się wyprodukować koszulki w terminie. Ciut gorzej poszło z dostawą...

Czwartek wieczór:

- Proszę Pana, oczekiwaliśmy na 6 kartonów z koszulkami. Dotarły tylko 4.

- Hmm, na pewno gdzieś są... Nie jestem pewien, czy wyjechały z Rzeszowa... Do jutra się powinny znaleźć.

Piątek, godzina 18:

- Nadal nie wiemy, gdzie są te kartony. Zajmiemy się tym w poniedziałek z samego rana! – Ale jutro w tych koszulkach ludzie mają startować w zawodach!

- Przykro mi, nie jestem w stanie Panu pomóc. Może będą rano w sobotę w magazynie w Pruszkowie.

Telefon o 8 rano, w dniu zawodów do DPD:

- Gdzie są nasze koszulki?

- Tak, mamy je w magazynie w Pruszkowie.

- [...] Jak to mnie Pan nie wpuści do magazynu? Otwieracie za 40 minut? Wtedy, to ja muszę być z tą paczką z powrotem w Warszawie!

Uff, znowu się jakimś cudem udało...

Sceneria jak z thrillera: ciemna noc październikowa, dookoła mury więzienia, droga z nierównych, betonowych płyt. Z otwartych na oścież drzwi pada smuga światła. Dwóch chłopaków w pośpiechu wynosi przez nie duże, metalowe przedmioty i z trudem upycha je w samochodzie. Można by się przestraszyć, gdyby nie to, że to tylko Słowik i ja odbieramy zestaw świateł i statywów do doświetlenia finałowych baldów.

Dzień zawodów. Robi się powoli małe zamieszanie, pojawia się sporo ludzi. Bardzo sporo – już wiem, że jest całkiem spoko, bo listy startujących zapełniają się szybko. Do południa jest na nich znacznie ponad 200 osób. Pod baldami radosne kolejki, ale nikt nie narzeka – jest całkiem towarzysko.

Redaktor Teleexpressu pyta: to jak by Pan w jednym zdaniu powiedział, co to jest ten bouldering? Przed ka-



fot. W. Ryczer

merą drętwięję i zaczynam się delikatnie jąkać. „No to jest takie wchodzenie na kamienie, dyscyplina wspinaczkowa taka...” kręcę delikatnie.

Sajgon, potrzebujemy więcej taśmy klejącej. Sajgon, potrzebujemy markerów. Sajgon, potrzebujemy worków. Sajgon, potrzebujemy... Na szczęście udaje się wszystko po kolei zorganizować. W międzyczasie jeszcze nawet wyprodukować nadruki na koszulkach finałowych.

A czemu nie daliście statuetek? Łapie mnie za ramię ich autor, Rafał Dudek. „Orzeszku...” Odpowiadam – „*bo zostały w kanciapie jak wynosiliśmy nagrody i zapomnieliśmy...*” zaczyna się ganieńnię zwycięzców po całym Bloco, aby wręczyć im wypasione klamki – statuetki.

To o 12 w niedzielę na sprzątanie? – Ok. Jest nas na szczęście z Kalim aż dwóch, więc nie ma stresu. Potem dołącza do nas jeszcze dwóch kolegów, więc nawet nieźle sobie radzimy ☺

Zawody na pewno nie odbyłyby się bez pomocy klubowych wolontariuszy, całej ekipy Bloco i szefa routsetterów w osobie Tomu Oleksego. Dzięki!



fot. W. Ryczer

Ostateczna kolejność po finałach to:

Mężczyźni:

Imię i nazwisko	Topy	Próby	Bonusy	Próby
Aleksander Romanowski	4	7	4	6
Piotr Bunsch	2	4	4	5
Jakub Główka	1	2	4	7
Kuba Jodłowski	1	2	4	8
Piotrek Czarnecki	0	0	3	3
Paweł Jelonek	0	0	2	8

Kobiety:

Imię i nazwisko	Topy	Próby	Bonusy	Próby
Karina Mirosław	4	6	4	4
Kasia Smagała	4	8	4	6
Gosia Rudzińska	3	3	4	4
Paulina Kalandyk	3	4	4	4
Kaja Matejek-Zarębska	3	5	3	3
Ewa Załuska	1	1	4	5

Na podium zawodnicy otrzymali zarówno nagrody finansowe ufundowane przez Uniwersytecki Klub Alpinistyczny i Adidasa jak i ogromny zestaw nagród rzeczowych: ubrania Adidasa, HeartBeat i Yeti, książki od wydawnictwa NaszeSpacery oraz zestawy kosmetyków do pielęgnacji odzieży od Nikwaxa.

Sponsorzy



Patroni medialni



Opieka medialna



Partner





fot. W. Ryczer



NAJWIĘKSZA BULDEROWNIA W POLSCE

ATRAKCYJNE ZNIŻKI DLA CZŁONKÓW UKA

BULDEROWNIA BLOCO
JANA KAZIMIERZA 46/54
WWW.BLOCO.PL

Parę uwag o świecie otaczającym i roku 2013

Jarosław Mazur



Podlasie fot. Jarosław Mazur

96

Pisanie tekstu do Buki jest dla mnie od paru lat okazją do podsumowania minionego roku, zastanowienia się nad tym co się wydarzyło, przyjrzenia się sobie i odpowiedzi na pytanie, gdzie aktualnie jestem. Piszę o swoich przemyśleniach na łamach naszego klubowego pisma, odnoszę się do otaczającego nas świata i roku 2013 między innymi dlatego, że BUKĘ czytają i redagują osoby, z którymi się znam, przyjaźnię, z którymi lubię rozmawiać, spędzać czas i które są dla mnie ważne. Wspinanie od dawna traktuję jako przygodę towarzyską, a szeroko pojęty krajobraz np. w postaci odciągowej rysy i ekspozycji za plecami jest miejscem, wspinanie jest sytuacją, w której się spotykamy. O niektórych opisanych wydarzeniach rozmawialiśmy w samochodach i na podejściach, część przeżywaliśmy wspólnie, o niektórych korespondowaliśmy. Jest tu także parę uwag, którymi wcześniej nie dzieliłem się, a które bez wątpienia składają się na otaczający mnie świat.

Od końca majówki w 2012 r. to był trudny okres w moim życiu. Czułem się jak podczas postępującej hipotermii. Mam wrażenie, że nie była to tylko kwestia dokuczliwej kontuzji oraz przeciągającego się remontu mieszkania.

{
Żyłem,
gdzieś jeździłem,
nawet chyba się
powspinałem,
}

ale „coś zamieniło światło w ciemność”. Wydawało mi się, że „stoję dokładnie tu, gdzie stałem parę lat wstecz, lecz oczy którymi patrzę, zgubiły swój blask gdzieś po drodze”. Gdyby nie firma, którą współprowadzę oraz zajęcia na ścianie, te parę pompek i brzuszków z piosenki Zeusa, które tak wytrwale robię, to na prawdę 2012 r. przeleżałbym w łóżku.

★★★

W styczniu w ramach prywatnych obchodów 150 rocznicy Powstania Styczniowego, wybrałem się parę razy na konie na Podlasie oraz na rocznicowy koncert do Sosnowca. W lutym z Bartkiem, Zuzą i Mariolą pojechaliśmy z kolei na koncert Slasha i Mylesa Kennedy'ego do Katowic, zaliczając przy okazji zimowy pobyt w skałach i koncert Luxtorpedy w Gliwicach. Potem wrócili-

śmy do Warszawy i tuż przed spotkaniem, podczas którego miałem snuć amerykańskie opowieści, zadzwonił Przyjaciół i powiedział, że Mariusz nie żyje. Najpierw pomyślałem, że jest to jeden z kolejnych towarzyskich projektów Mariusza. Miałem jeszcze takie wrażenie podczas uroczystości w kaplicy Cmentarza Północnego. Czekałem aż uśmiechnięty Mariusz wyjdzie zza ekranu, na którym były wyświetlane jego zdjęcia i podziękuję wszystkim znajomym i przyjaciółom za przybycie. Ale tak się nie stało. Urna z prochami spoczęła w ziemi. Było to jak chłusnięcie zimną wodą i uderzenie w twarz. Obudziłem się z letargu. Żałowałem, że nie spotkałem się z Mariuszem mimo, że miesiąc wcześniej zaproponował to w mailu i SMS-ie. Wydawało mi się wtedy, że nie jest mi dobrze, że jestem w „hipotermii” i jakkolwiek patetycznie by to nie brzmiało, minąłem przyjaciela na poręczowce życia.

W marcu pojechaliśmy w Tatry i wspinaliśmy się na Szatanie. Doceniłem kunszt partnera na kruchym odcinku wspinania oraz na wyciągu wyjściowym z czołówki. Na szczycie świeciło słońce i było jak w filmowym kadrze, który, gdyby te słowa były neutralne, można by zatytułować „towarzysze na szczycie”. Schodząc po śladach zjazdu skitourowców spojrzałem w pewnej chwili, pomiędzy rozstawionymi nogami na śniegu u podstawy ściany. Podczas całego zejścia byłem skoncentrowany na tym, żeby się nie potknąć. Na dole ucieszyliśmy się z wejścia Polaków na Broad Peak. Niestety w następnych godzinach i dniach wiadomości były coraz gorsze i gorsze...

★★★

W marcu pojechałem na weekend klubowy do Białej Wody. Patrząc na ilość śniegu na Łysej Polanie zastanawiałem się czy zabierać z samochodu sprzęt wspinaczkowy, czy też ograniczyć się tylko do spacerów na nartach. Jak zwykle głupota zwyciężyła i przez następnych parę godzin ciągnąłem w górę doliny sanki z plecakiem wyposażonym w szpej. Podczas drogi podejściowej zgubiłem i znalazłem telefon, a Paweł

zepsuł i naprawił nartę. W końcu minęliśmy drugi wielki głaz leżący za mostkiem przy potoku i zaczęliśmy chodzić po lesie w poszukiwaniu domku leśników. Kilkanaście minut błędzenia i cel został nareszcie osiągnięty. Rozpalenie ognia i postawienie gara ze śniegiem na piecu, rozpoczęło nasze klubowe chatkowanie lub, jak by to określili Norwegowie husowanie.

Następnego dnia podczas podejścia przez las w poszukiwaniu lodospadu, rozmawiałem z Pawłem i Michałem jak zwykle o... życiu. Mówiłem o tym, że Stanach zarobiłbym pewnie przez parę lat wytężonej pracy na kawałek bagna i chatę i że pewnie udałoby się to zrobić bez brania kredytu do końca życia. Paweł zauważył, że pewnie w Polsce również można w parę lat zarobić na kawałek ziemi z domkiem, dajmy na to w Beskidzie Niskim albo gdzieś na Kielecczyźnie. Oceniałem rodzinny klimat dla przedsiębiorczości, mówiłem o tym, że nie mógłbym mieszkać i pracować w Niemczech, że źle bym się czuł na Wyspach i że gdybym miał wybrać stan do mieszkania, to chciałbym żeby był jak najbardziej tradycyjny. Żeby żyli tam ludzie, którzy, jak w przerysowanych opowieściach, co rano pytają Boga czy mają frytki polać keczupem czy majonezem. Myślałem że odnalazłbym się w sytuacji, w której w rękawicach ze skóry jelenia przygotowuję swoją wielką ciężarówkę do drogi, witam przechodzącego sąsiada, rzucam mu klucze i proszę, żeby w trakcie mojej tygodniowej nieobecności zajrzał ze dwa razy do mojego domu i zobaczył czy nie trzeba w czymś pomóc żonie i sprawdził, czy nie trzeba np. zabrać psa do weterynarza. Idąc przez zaśnieżony las, zastanawiałem się również, co osiągnąłem przez te lata wspinania i doszedłem do wniosku, że jest to umiejętność rozpoznania terenu, w którym można sobie zrobić krzywdę.



Miejsce zejścia lawiny fot. Michał Kasprowicz

Niedługo potem doszliśmy pod próg Doliny Ciężkiej do miejsca, gdzie nie było już drzew i trzeba by dalej trawersować polami śnieżnymi w kierunku lodospadu i Nawiesistej Turni. Stok wyglądał na bardzo lawiniasty, wróciliśmy zatem po śladach, aby śródlęsnym przersedzeniem podejść w kierunku czegoś, co mogło być niewybitnym celem ruchowo-wspinaczkowym na dzień z trzecim stopniem zagrożenia lawinowego, z tendencją rosnącą. Mijałem krzaki i drzewa, czułem się trochę jak dziecko w domu w zapyziałe niedzielne przedpołudnie, kiedy wiadomo że z powodu pogody nie pohasa się po podwórku i że jedynym wyjściem na zabicie czasu jest gapienie się w telewizor. W odległości kilkunastu metrów od skał zmieniliśmy się na torowaniu.

**Wtem poczułem,
że tracę oparcie
dla nóg i bez
widoczności, w bieli,
robię salto do tyłu.**

Zjeżdżałem w śniegu, widziałem otaczającą szarość, czułem ból wykręcanej ręki i nogi. Spadałem w lawinie. Nie czułem strachu. Było mi smutno. Czułem żal. „Aha, to tak wygląda. Szkoda. To wszystko? Tyle tego było?” Zastawiałem się czy będzie bardzo bolało podczas zatrzymania śniegu i betonowania, przypominałem sobie o ruchach pływaka, poczułem, jakie to ślamazarne i nieskuteczne, wyobraziłem sobie akcję lawinową TOPR-u i zobaczyłem prześwietlające przez śnieg niebo. Byłem zatem blisko powierzchni, po chwili widziałem uciekające do tyłu drzewa. Wydawało mi się, że pędzą z prędkością jadącego motocykla. Pomyślałem irracjonalnie, że dobrze byłoby przygrzać w któreś z nich, to przynajmniej bym się zatrzymał...

Jeszcze chwila i siedziałem na śniegu, plecami do stoku i patrzyłem w dół doliny. Bolał bark i kolano, było mi słabo. Oddychałem, uspokajałem się. Wiedziałem, że muszę odwrócić się i zacząć podchodzić, aby odkopać kolegów. Chwilę jednak zwlekałem. Wiedziałem, że będzie to działanie nieskuteczne. Przecież przed upadkiem z trudem szedłem pod górę... a w tej sytuacji? Zdawałem sobie sprawę, że będzie to pozorowanie akcji. „Jak tam podejść? Przecież tak ciężko się szło, gdy byłem jeszcze sprawny... Muszę to jednak zrobić”.

Usłyszałem nawoływania z góry. Okazało się, że wszystkich zostawiło na powierzchni. Później dowiedziałem się, że Michała na samym początku rzuciło na drzewo, którego zdołał się złapać. Widział jak śnieg się nad nim przewalał. Bartkowi i Pawce również się poszczęściło. Podczas schodzenia lawiniskiem, udało się chłopakom znaleźć porwane spod drzewa dziaby i plecaki. Na dole czoło śnieżnego osuwiska zasypało moje, pozostawione przy krzakach, narty. Trudno było ustalić, gdzie stały i gdzie je mogło powlec.

Nagle poczułem tąpnięcie śniegu, krzyknąłem ostrzegawczo i na czworakach starałem zbliżyć się do drzew. Całe szczęście nie ruszyło znowu. Chłopakom udało się odkopać moje narty, pojawiła się grupa znajomych, która wyszła później na spacer i poszła po naszych śladach. Zanim się odezwaliliśmy od razu zauważyli, że coś się stało. Jakie to szczęście, że się nie pospieszyli... Ktoś wziął mój plecak i dużą grupą zaczęliśmy schodzić w kierunku taboru, polany i chaty. Zatrzymałem się, zczekałem aż wyminą nas ostatnie osoby, spojrzałem Michałowi w oczy, rozkleiłem się i powiedziałem: „myślałem, że to koniec”...

Wieczór spędziliśmy na husowaniu. Siedzieliśmy przy piecu i cieszyliśmy się swoim towarzystwem. To wtedy padł jeden z najlepszych tekstów 2013 r. wypowiedziany przez kolegę, który czasem bywał również baristą na jednej z warszawskich ścianek:

**„... kręci się
te chwytły,
czasem człowiekowi
wyjdzie boulder,
a czasem sztuka...
ale kto to
doceni...” ☺**

Rano wszyscy wyszli na spacer. Ciągając jeden kijek za sobą, również pokuśtykałem po śladach i spotkałem się ze znajomymi na progu Doliny Kaczej. Wyglupialiśmy się w słońcu, robiliśmy zdjęcia z wpadania w śnieg. Słyszałem jak kolega przekomarzał się z górami: „... więc to jest ten słynny Filar Ganku. Przecież on nie jest nawet przewieszony. Co za rzęch. Pewnie dlatego jest o niego tyle szumu, bo niewiele osób go widziało...” Było to zabawne i urocze biorąc pod uwagę, że w tamtych warunkach nie dało się pod niego podejść i wygłaszanie takich kwestii nic nie kosztowało ☺.



Dobry czas jest teraz fot. Zuzanna Kwaśniewska

★★★

Zastanawiałem się co zrobić z zejściem. Kolano co jakiś czas puszczało przy rotacji; zaliczałem wtedy spektakularne upadki, które wyglądały jakby były spowodowane kopnięciami wielkiego Ukraińca podczas nielegalnej walki w klatce. Chyba nie byłem w stanie pociągnąć sanek. Nie zdecydowałem się jednak wzywać TOPR-u. Nie wiedziałem czy zabraliby moje rzeczy, nie chciałem robić afery, poza tym przecież wszedłem o własnych siłach na próg Kaczej... Znajomi deklarowali się, że zniosą moje rzeczy, ale niezręcznie byłoby opóźnić kilka osób w marszu... Myślałem, myślałem i po chwili wiedziałem, że zadzwonię do Krzysztofa, który jest akurat na rodzinnym wyjeździe w Chocholowie. Niezawodny Krzys jak zwykle nie widział problemu. Powiedział, że położy dzieci spać i przyjdzie. Spytał czy ma mi coś przynieść, sprawdził czy jest generalnie w porządku i po paru godzinach od rozmowy, pojawił się w chatce. Jak zwykle nie chciał pić gorącego, do spania wybrał sobie gorsze miejsce od strony ściany, po której spływa woda z lodu topniejącego na oknie. O świcie wstał mokry, nie chciał za bardzo jeść, bo nie był głodny po czym zaprzął się do sanek. Rano byliśmy na Łysej. Krzys spytał jeszcze czy w czymś pomóc, po czym wrócił do Chocholowa zająć się organizacją urlopowego dnia dla rodziny.

Moi pradziadowie byli zdunami, strażakami i piekarzami. Zastanawiam się, gdzie mógłbym poznać Krzysztofa, gdybyśmy żyli w czasach, kiedy jeszcze stary porządek społeczny nie został zgwałcony. Myślę, że moglibyśmy spotkać się w kubryku zimującego w lodach zagłowca albo na Spitsbergenie ciągnąc z Hrabią Wilczkiem nansenowskie sanie, albo w styczniowym lesie, albo na etapie, na którym Krzys z pewnością oddałby potrzebującemu swój płaszcz. Gdybym na Zabajkału został z Krzysiem przykuty do taczki, wciąż jeszcze miałbym przeświadczenie, że karta się odwróci i że mimo wszystko szczęście mi dopisuje. Dziękuję Ci Przyjacielu za wszystkie nasze przygody...

W dwa tygodnie po Białej Wodzie wybraliśmy się ze znajomymi na wielkanocny skitouruowy wyjazd w Gorce. Powodem była chęć poznania gór, w których jak do tej pory byłem tylko raz oraz fakt niewystępowania lawin w tamtym rejonie ☺. Dwa dni po fatalnej diagnozie wstępnej i zakazie jakiegokolwiek aktywności ruchowej, szedłem torując przez las i myślałem o tym, że mając narty na nogach i karabin na plecach wyżyłbym jeszcze rodzinę. Zastanawiałem się również, czy w takim terenie dałbym radę jechać konno. Agnieszka, która jest świetnym partnerem powiedziałam, że żałuję że nie mam na plecach broni. Gdy spytała dlaczego, to odpowiedziałem, że wtedy czułbym się jeszcze bardziej chłopacko ☺. Mówiłem również, że idziemy szybko i że jestem dumny z naszego tempa. To była miła wycieczka z chwilami zmęczenia, zachwyty przyrodą i wzajemną uwagą.

Kiedy darłem przez las pod Lubań to miałem nadzieję, że zobaczę tam krzyż, który będzie znakiem, że ta kulminacja jest wierzchołkiem. I nie zawiodłem się. W lesie pod Turbaczem również zobaczyłem krzyż, pod który podszedłem na nartach. Był obwieszony biało czerwonymi wstęgami, obok ze śniegu wystawała Flaga Narodowa. Schyliłem się i wziąłem w palce skraj wstęgi, żeby przeczytać wydrukowany na niej emblemat. Po powrocie do Warszawy przeczytałem, że ziemia na której stoi krzyż pod Turbaczem należy do spadkobierców mjr. Ognia. Pomnik poświęcony Żołnierzom Wyklętym, a konkretnie Zgrupowaniu „Błyskawica” Józefa Kurasia „Ognia” został tam postawiony w 2012 roku.

Duże wrażenie robią na mnie leśne kapliczki. Patrząc na nie myślę, że Bóg Polski poszedł do lasu. Po powrocie do domu wszystko mi się dopełniło i stało się spójne. Mam na myśli atmosferę lasu, kapliczek, mgieł, śniegu i szronu na drzewach. Historie ludzi, ziemi i niepodległościowej idei, za którą oddali życie. I ludzi, którzy dzisiaj pogardzają tą ofiarą.

★★★

W Warszawie prowadzę dalej zajęcia.

**W ruchy wstawiam się
z podobnym skutkiem
i finezją, z jaką
Clint Estwood
w „Bez Przebaczenia”
dosiadał swojego
koniał.**

Czasem wymyślając boulder z jękiem spadam w pył pod ścianę, aby wstać, sztywno podejść i spróbować ponownie. Podobnie jak słynny kowboj wiem, że znalezienie się w siodle jest tylko kwestią czasu i uporu.

★★★



Na drodze Motyki fot. Marcin Wernik

W czerwcu spotkaliśmy się na Wiktorówkach na uroczystości wmurowania tablicy upamiętniającej Krzyśka Sadleja. Po nabożeństwie poszliśmy do Pięciu Stawów. Późnym popołudniem znaleźliśmy się pod Zamarłą Turnią i w pięć zespołów wspięliśmy się na dwóch drogach w lewej części ściany. Po zjazdach, w zapadającym zmroku zapaliliśmy świeczki pod Mo-

tyką. Patrzyłem na ciemniejszy kontur ściany i wspominałem Krzyśka. Noc spędziliśmy pod przepelnionym schroniskiem. Rano spadł deszcz, wyglądało zatem, że się nie powspinamy. Zamiast schodzić na dół postanowiliśmy podejść na Krzyżne, aby przez Dolinę Pańszczycy, Gąsienicową oraz Psią Trawkę wrócić na Rusinową Polanę i dotrzeć do zostawionego pod Wiktorówkami samochodu. Oddalając się od schroniska stwierdziliśmy, że przestało padać, a przecież Zamarła szybko obsycha i że tak naprawdę to trzeba się wspiąć. Dolinkę Pustą zasnuwały chmury, które co jakiś czas odsłaniały Zamarłą. Podeszliśmy pod Motykę i zaczęliśmy się wspinać. W czasie kiedy Marcin zaczynał prowadzić drugi wyciąg, dziewczyny wyczołgały się z połowy pierwszego. Z góry ruchy Agnieszki wyglądały, jak by nie była przekonana do wspinania albo jak by miała jakiś dylemat i miałam wrażenie, że nie była to kwestia mokrych chwytów. W połowie drogi zmieniliśmy się na prowadzeniu. Na początku ostatniego wyciągu znowu zaczęło padać. Postałem chwilę, żeby Marcin założył kurtkę i w coraz mocniej padającym deszczu poszedłem wyżej. Nie grzmiało, więc nie było powodów do zjeżdżania z czterowyciągowej drogi z ewidentnym zejściem po szlaku. Doszedłem do grani, wpiąłem się w stanowisko z łańcucha, wybrałem linę i zacząłem asekurować stojąc tyłem do ekspozycji. Nagle usłyszałem grzmot i obudziłem się w górach... Leżałem na mokrej skale... W powietrzu unosił się lekki zapach siarki. „Gdzie ja jestem?” Patrzyłem na deszczowe góry i niczego nie poznawałem. Byłem wpięty w stanowisko, „lina idzie w dół, więc się chyba z kimś wspinał. Ale z kim? Co to za szczyt i jaka dolina?” Wiedziałem, że przy wspinaniu podczas deszczu trzeba być skoncentrowanym, ale nie wiedziałem jak się tam znalazłem. Byłem zdezorientowany. Nie zdawałem sobie sprawy, ile czasu minęło; zacząłem wybierać luźną linę i kilkakrotnie krzyczeć „chodź”, „możesz iść”. Po chwili pojawił się Marcin trzymając w ręku zwoje liny. „Aha, jesteście na Motyce”, ale i tak nie mogłem sobie przypomnieć konfiguracji terenu jakim doszliśmy do grani. „Obudził mnie grzmot, miałem sen, chyba mi zjadło pamięć krótkotrwałą” – zagałęm do Partnera. Okazało się, że miałem obtarty łuk brwiowy, ale bolała mnie potylicą. Zdjąłem kask, Marcin stwierdził, że nie ma krwi więc zrobiliśmy jeden zjazd na północną stronę do szlaku. Całe szczęście pamiętałem, jak się zjeżdża, nie była to zatem umiejętność zapisana w pamięci krótkotrwałą ☺. Nie ufałem sobie. Bardzo ostrożnie zszedłem po drabinie, a na szlaku z Koziej dopinałem się taśmą do łańcuchów. Pod ścianą, a potem w schronisku z dziewczynami rozmawialiśmy o tym co się stało. Znajomi stwierdzili, że zemdlałem. Trudno mi się z tym było po-

godzić, ponieważ straciłem kiedyś przytomność w wyniku zmęczenia, gorąca i niedocukrzenia i pamiętam poprzedzający je stan. Na potylicy w miejscu, które było chronione kaskiem miałem guza. Podczas zejścia z Piątki poprosiłem Agatę, żeby go obejrzała. Rozgarnęła stopione końcówki włosów i odsłoniła małe oparzenie na skórze głowy, które znajdowało się w tym miejscu, gdzie podczas noszenia kasku umieszczone są jego otwory wentylacyjne.

**A zatem
był to
piorun...**

Potem przyszedł lipiec i dziecięcy obóz sportowo-wspinaczkowy w Podlesicach. Było dużo pracy i bardzo mało wspinania między innymi dlatego, że zapanowała powszechna moda na bieganie. Widząc jak mój wspólnik biega i słysząc o triathlonowych osiągnięciach kolegów, również postanowiłem zawalczyć ☺. W ciągu dnia pracy pomiędzy zajęciami, na przestrzeni dwunastu godzin pokonałem łatwiejszy wariant „Kości Młodości”, przebiegłem z Podlesic do Kroczyca i z powrotem oraz przepląnąłem w poprzek Zalew w Dziżbicach. *No comments* Panowie ☺.

★★★

W sierpniu odbył się Bieg Granią Tatr. Z grupą znajomych, którzy mieli pomóc przy biegu przed spotkaniem organizacyjnym, wspiealiśmy się w dwa zespoły na zachodniej Łomnicy. Był to kolejny dzień w górach, gdzie wspinanie było dobrym pretekstem do znalezienia się w ładnym miejscu, okazją do lepszego poznania się i porozmawiania na stanowiskach. Kolejnego dnia podjechaliśmy z TOPR-owcami samochodem pod schronisko w Dolinie Chochołowskiej i przeszliśmy fragment trasy biegu, który następnego dnia miał być zabezpieczany przez wolontariuszy z UKA.

Podczas marszu granią, wspominałem zimową próbę i przejście sprzed lat – trzydniowy górski spacer z Gogo, kopanie jam, kandyzowane owoce i słoik miodu. Pomyślałem, że miło byłoby przejść po latach tę samą trasę w jeden dzień, a jutro wspiać się gdzieś z Jarkiem, który akurat spędzał czas z rodziną na Hali Gąsienicowej. Pożegnałem się ze znajomymi, obstawiającymi trasę jutrzejszego biegu poniżej Przelączy Gaborowej w okolicy Siwego Zwornika, nabrałem za-

mulonej wody z pobliskiego stawku i poszedłem granią na wschód.

To było piękne popołudnie. Coraz niżej świecały słońce oświetlało chłodne, szeleszczące, pachnące kobierce traw, na których co jakiś czas kładłem się jak pies. Przez jagody na Tomanowej ledwo zdążam przed nocą obejść skałki i znaleźć najlepszą drogę podejścia na Czerwone Wierchy. Poinformowałem telefonicznie Jarka, że idę do niego i poprosiłem, żeby pożyczył dla mnie uprząż i kask na jutrzejsze wyjście.

Zartowaliśmy potem, że to „idę do Ciebie” z okolic Błyszczka, a potem Czerwonych Wierchów brzmiało jak telefoniczne rozmowy pomiędzy półkami w sklepie np.: „widzę Cię przy płatkach, idę do Ciebie”. Kiedy w nocy dotarłem do Murowańca czułem się ogólnie rozruszany i dotleniony; przed zaśnięciem myślałem o chłopakach z klubu, którzy za niedługo wyruszą na trasę swojego biegu.

Rano przy śniadaniu w schronisku poznałem dwóch zakonników. Zanim dowiedziałem się kim są, podczas rozmowy miałem wrażenie niecodziennego spotkania. Nie czułem podczas wymiany zdań nutki rywalizacji, oceniania, autokreacji oraz potrzeby podkreślania własnej indywidualności oraz inteligencji. Po tym jak dopingowani przez nas klubowicze, przebiegli obok Murowańca, poszliśmy z Jarkiem w kierunku Kościelca.

**Po spacerze
z poprzedniego dnia
byłem szczęśliwy,
kiedy na grani
do poruszania się
mogłem zacząć
używać rąk.**

Prawie dwie dekady temu, będąc ze znajomym w górach wprowadziliśmy na Półki Mnichowe panną w Starym Schronisku dziewczynę. Potem zesłaliśmy pod ścianę, wspiealiśmy się do niej jakąś drogą i poszliśmy we trójkę dalej na wierzchołek. W drodze powrotnej powiedziała mi, że jest z jakiejś kościelnej organizacji. Byłem wtedy tym bardzo rozzarowany i zawiedziony ☹. Dziś, po latach żałuję, że tym razem nie miałem okazji związać się liną z dwoma zakonnikami i spędzić w ich towarzystwie dnia w górach...



W drugiej połowie sierpnia potem we wrześniu i grudniu bywałem na Podlasiu gdzie oglądałem z siodła gruzu II Rzeczypospolitej. Aby popatrzeć na te gruzy oczywiście nie trzeba jechać na Podlasie. Nie trzeba nawet wychodzić z domu. Wystarczy wziąć do ręki gazetę albo zalogować się w Internecie.

Jednak jadąc konno czuję się, jakbym podróżował w czasie. Obcując z koniem i szerokim krajobrazem, mam wrażenie odzyskiwania utraconej pamięci. Jest to naprawdę silne odczucie; tak jak by głowa była jeszcze zamglona, a ciało coś sobie przypominało...

Na Podlasiu żyli obok siebie Polacy czterech wyznań. Świadczą o tym kościoły, cerkwie i meczety oraz ruiny synagog. W Bohonikach imamowi miejscowej gminy muzułmańskiej zadałem pytanie o to, czy jego zdaniem (z perspektywy mniejszości wyznaniowej) II Rzeczypospolita była tolerancyjnym krajem i otrzymałem zdecydowaną, twierdzącą odpowiedź.



Przy granicy białoruskiej fot. Norbert Kopczyński

17 września, w kolejną rocznicę Końca Świata, pojechałem motocyklem do Supraśla i Sokółdy na uroczystość pogrzebową 46 Powstańców Listopadowych, których zbiorową mogiłę odkryto jakiś czas temu w rowie na poboczu drogi Krynk – Białystok. Wydobyte szczątki, podzielono i złożono w oddzielnych trumnach.

Podczas uroczystości można było obejrzeć przedmioty znalezione przy ekshumacji. Nie było tego dużo. Parę guzików, kule karabinowe odnalezione pomiędzy kośćmi, prawosławny ołtarzyk do powieszenia na szyi i cudem zachowany przed grabieżą mały pierścionek z rubinem.

Mógł być to
pierścionek dla Niej
albo pierścionek
od Niej na szczęście,
którego zabrakło.

W trakcie mszy wszyscy stojący nad trumnami, zostali wezwani do patriotycznego rachunku sumienia i do zadania sobie pytania co robią dla Polski. Została opowiedziana historia oddziału płk. Józefa Zaliwskiego i powiedziane rzeczy dotyczące godności, świadomości narodu, pamięci, historii, wolności i dobrowolnego wyrzekania się tożsamości. Rzeczy zostały nazwane po imieniu – bohaterowie zginęli bijąc się o wolność z Rosjanami i nikt nikogo za nic nie przeproszał. Umarli zadawali żywym pytanie i to pytanie wisiało w powietrzu. Naprawdę. Wrażenie potęgowało otoczenie. Staliśmy nad ich trumnami, w miejscu gdzie przed 182 laty 7 lipca 1831 r. rozegrała się bitwa, pod dębami, które pamiętają tamte wydarzenia. Nagle czas się skurczył. Skoro Powstanie Styczniowe było zaledwie 33 lata po Listopadowym a dziadek Krzysztofa pamiętał Powstańców Styczniowych (i zwyczaj całowania ich w rękę) to znaczy, że to było naprawdę niedawno.



Późniejszą jesienią po raz kolejny wybraliśmy się w Tatry. Zima miała przyjść za niedługo, ale póki co po chłodnych porankach na Taborze, nastawały ciepłe słoneczne dni. Rano siedzące w śpiworach koleżanki, wyglądały jak motyle wychodzące ze swoich kokonów. Potem w ciągu dnia wirowały kolorowe w ścianie wznosząc się do ciepłej, zalanej blaskiem słońca Galerii.

W listopadzie spędzam ostatni weekend z Kola w skałach. Tym razem noc bez śpiwora minęła nam w samochodzie na parkingu pod Wysoką. Na zewnątrz łapał przymrozek, ubrałem się więc jak na górski biwak, przykryłem kocykiem Koli po czym dygotał mi się do rana. W pewnym momencie żeby się trochę rozgrzać i rozprostować, położyłem nogi na psie, który dał mi do zrozumienia, żebym jednak nie przesadzał. Potem w trakcie dnia poszliśmy, jak się później okazało po raz ostatni pod Lechwora. Kola nie miała siły, bardzo szybko się męczyła, zatrzymywała się co chwila z trudem łapiąc oddech. Trzy razy niosłem ją na rękach. Niedaleko Turni Cyklopa postawiłem ją na ziemi, aby na własnych łapach weszła pod skałę i spotkała się ze zna-

jomymi. Kola asystowała nam przy wspinaniu. W pewnym momencie zmieniliśmy drogę, a ona wstała, po czym położyła się tak, aby przez cały czas mogła nas widzieć. Kochany „DobryPies”.

★★★



Kola w Rzędkowicach fot. Zuzanna Kwaśniewska

W październiku zapisałem się na zajęcia szermierki osadzonej w tradycji polsko-węgierskiej. Szermierkę szabłą traktuję jako naturalną kontynuację podlaskich impresji.

Moje szczęście polega na tym, że mogę czasem wspiąć się z mistrzami skały, prawdziwymi lodowymi wojownikami albo pojechać na konną wycieczkę z Mistrzem Świata w łucznictwie konnym. No i będę w końcu coś trenował ☺.

Jestem Polakiem i nic co polskie nie powinno mi być obce. Potrafię osiodłać i dosiąść konia, strzelanie z mauzera zaliczyłem na Spitsbergenie, teraz kolej na szermierkę. Jak będę potrafił pewnie utrzymać paradę to poproszę Wuję o XIX-wieczne węgierskie żelazo.

Przy najbliższej okazji zapytam Norberta (Mistrza Świata w łucznictwie konnym) czy nie zna kogoś, kto pokazałby jak zaprząć konia do pługa i jak się orze. Po zrobieniu prawa jazdy na tira może to być kolejne ciekawe doświadczenie.

**Ostatnio
często
zastanawiam
się,
co mnie
określa.**

Nie jest to majątek, wykształcenie, na pewno nie praca, wspinanie i sposób spędzania wolnego czasu. Myślę, że również nie określa mnie mój związek. Jutro mogę się nie wspiąć, bliscy mogą odejść, życie ulegnie zmianie. Zatem co to jest? Mam wrażenie, że określa mnie tradycja, przynależność do określonego kręgu kulturowego, język którym się posługuję i miejsce z którego pochodzę.

★★★

Kończy się 2013 r. Wiele się w tym czasie wydarzyło, nie o wszystkim tutaj napisałem. Kiedyś w przeszłości czekałem na zmianę, na ekscytujący, dobry czas, który miał dopiero nadejść. Dzisiaj mam wrażenie, że pomimo wielu trudnych sytuacji, dobry czas jest teraz. To wrażenie jest szczególnie silne podczas Świąt, spędzanych z rodziną w Zabrze i warszawskiego Sylwestra z przyjaciółmi.



Z Chorążym Orszańskim Andrzejem Kmicicem
fot. Tomasz Książek / Zuzanna Kwaśniewska

Zwykle opisuję emocje za pomocą odniesień do nowych aktywności i fascynacji. Dawno, dawno temu było to wspinanie. Teraz wspinanie jest ważną częścią życia ale jest zwykłe, żeby nie powiedzieć codzienne. Później była to jazda na motocyklu, a obecnie konie i szermierka. Zatem na zakończenie słowo o szermierce. Na początku i końcu każdego treningu stajemy w szeregu przed flagami oraz portretami mistrzów, oddajemy honory bronią, kreślimy główniami w powietrzu znak krzyża i mówimy „Boże błogosław Polskę”. W dzisiejszych czasach, w świeckiej przestrzeni społecznej, jest to dla mnie, osoby niewierzącej, za każdym razem mocne i wzruszające przeżycie. Kiedy trener chce nas zmotywować do wysiłku oraz większego zaangażowania w ćwiczenia, to prosi wtedy o większy szacunek dla przodków.

A zatem więcej szacunku dla przodków. Plecy wyprostowane. *En garde!*

Korzystając z okazji dziękuję firmie adidas za wsparcie sprzętowe.

ZNIŻKI dla członków UKA

YETI

Producent profesjonalnego sprzętu puchowego
www.yeti.com.pl



RABATY: przy zakupach indywidualnych **15%** przy zamówieniach zbiorowych większe zniżki (szczegóły na stronie uka.pl)

SALEWA

15% na produkty SALEWA, DYNAFIT. Sklep znajduje się przy ulicy Nowy Świat 2 (Pl. Trzech Krzyży)



CUMULUS

NIŻKA DO 20% w zależności od wartości zamówienia
www.cumulus.pl/
E-mail: info@cumulus.pl



MAŁACHOWSKI

NIŻKA 20% nie dotyczy szycia na specjalne zamówienie
<http://malachowski.pl>



MONTANO

NIŻKA do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl



Black Diamond



Marmot

NIŻKA do 25%
Przy zamówieniach zbiorowych
Koordynacja zakupów:
Marcin Wernik (marcin@uka.pl)



Hi Mountain

HI MOUNTAIN

NIŻKA 10%
Sklepy w Warszawie
www.himountain.pl

SKLEP

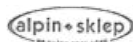
PODRÓŻNIKA NIŻKA 7-10%

na sprzęt turystyczny,
NIŻKA 15% na sprzęt wspinaczkowy
www.sp.com.pl/Sklep.php
E-mail: sklep@sp.com.pl



SHERPA

SKLEP GÓRSKI I TURYSTYCZNY
WARSZAWA, UL. ŻELAZNA 59
SHERPA – Sklep górski
NIŻKA 10%
www.sherpa.pl
E-mail: sklep@sherpa.pl



W TĘ BRANŻY NIE MA ZARÓWNO
SPRZĘT TURYSTYCZNY
DLA NAJLEPSZYCH

ALPIN SKLEP

NIŻKA 10%
Ul. Batorego 39
www.alpinskiel.pl/main.php
E-mail: bomar@alpinskiel.pl



HORYZONT

NIŻKA 7% (większa zniżka do negocjacji przy zamówieniach „hurtowych”)
Biuro Obsługi Klienta
tel. **58 554 02 55**
www.e-horyzont.pl/
E-mail: info@e-horyzont.pl
E-mail: bok@e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne HORYZONT
ul. Mariensztat 8, Plac Konstytucji 5



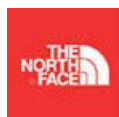
HIMAL SPORT

NIŻKA 10%
E-mail: himal@himalsport.com.pl
www.himalsport.com.pl/

SKLEP

NORTH FACE

NIŻKA 10%
WARSZAWA
Galeria Mokotów
ul. Wołoska 12



MAMMUT

NIŻKA 10%
Sklepy firmowe firmy Mammut
Warszawa
ul. Niepodległości 227/233,
www.climbrock.pl
E-mail: sklep@climbrock.pl



INTERNETOWY SKLEP
TURYSTYCZNY **Alpenski.pl**
NIŻKA 10%
biuro@alpenski.pl



NAPRAWA BUTÓW

WSPINACZKOWYCH
Zniżka w wysokości **5%** przy pojedynczym zamówieniu
Zniżka w wysokości **10%** przy zamówieniu grupowym powyżej 15 par



TKsport

www.tksport.pl oraz w sklepy w Nowym Sączu, Tarnowie oraz w Rzeszowie
15% dla wszystkich członków klubu
20% dla instruktorów



Monkey's grip
www.monkeysgrip.com/
10% dla wszystkich członków klubu
15% przy zamówieniach powyżej 2000 PLN



10 Smart

Lina dynamiczna o prostym wzornictwie. Odznacza się znakomitą wytrzymałością oraz wysoką wartością użytkową za korzystną cenę. Dostarcza wymieniony komfort użytkownikowi i staje się w ten sposób właściwym wyborem dla szerokich kręgów wspinaczy.

10 Smart



średnica (mm)	10
waga (g/m)	67
ilość odpadnięć	8
siła graniczna (kN)	8
posuw oplotu (%)	0.1
statyczne wydłużenie (%)	5.7
skurczenie (%)	1.9
wytrzymałość na rozciąganie (kN)	30
wydłużenie dynamiczne (%)	35
węzłowatość	0.9

Fatra Hurtownia, UL. Podgórze 1, Sandomierz 27-600, ☎+481 583 246 26, E-mail: info@hurtowniafatra.pl

LANEX Polska Sp. z o.o., UL. Rapackiego 22, Dąbrowa Górnicza 42-520, ☎+483 226 478 81-3, E-mail: lanex@lanexpolska.pl

LANEX a.s. Hlučínská 1/96, 747 23 Bolatice, Czech Republic
Phone: +420 553 751 111, Fax: +420 553 654 130, E-mail: info@mytendon.com, www.mytendon.com

**TENDON**
feel it



niezawodna przyczepność

terrex scope

Zewnętrzna podeszwa STEALTH w nowych butach Terrex Scope GTX® to doskonała i niezawodna przyczepność na trudnym, skalistym podłożu.

STEALTH

Zostań odkrywcą i wygraj.
adidas.com/outdoor

Nasi sportowcy też są niepokonani.
Zobacz na: www.facebook.com/adidasoutdoor

